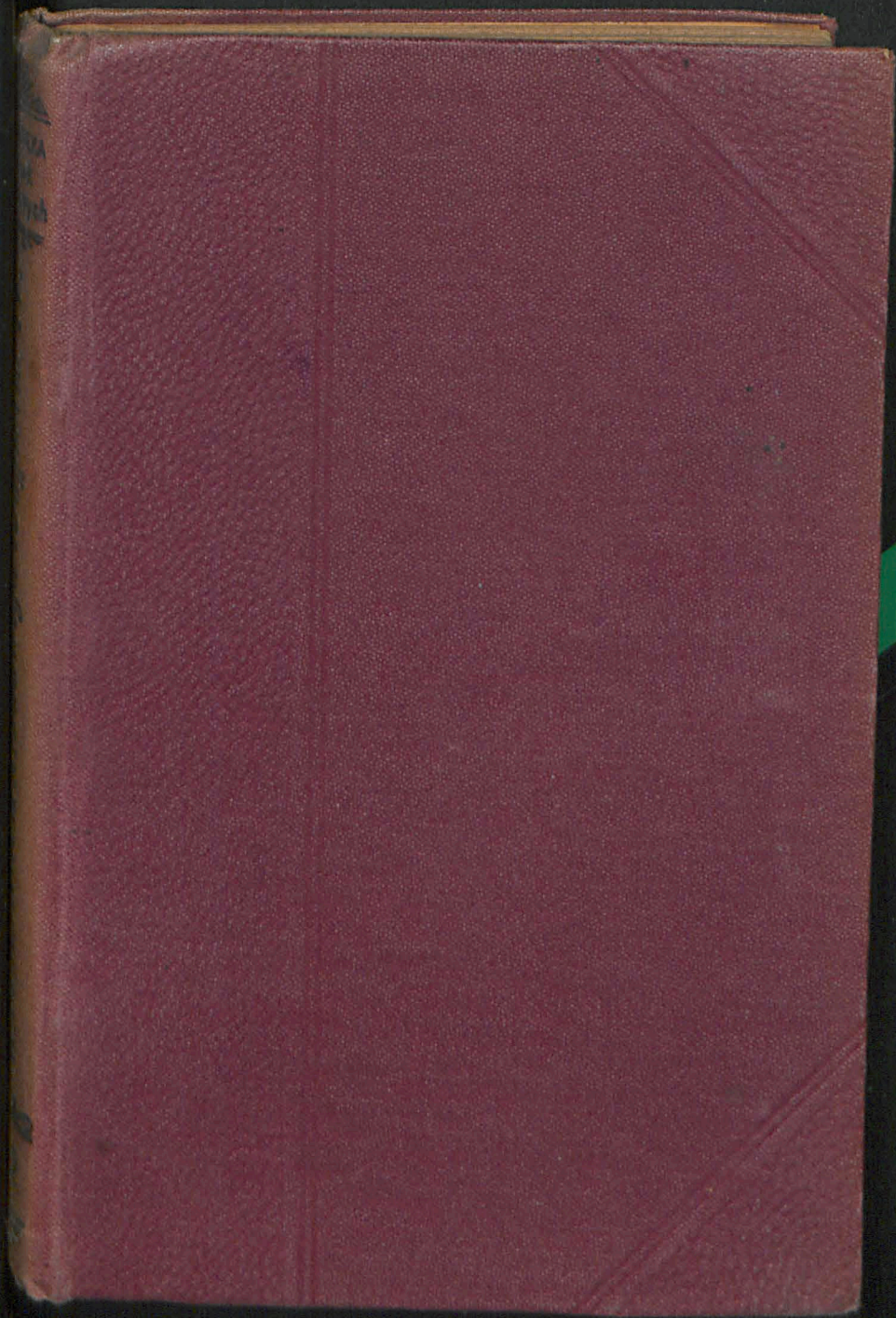




BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

wychodzi co tydzień

w objętości jednego tomu.

WARUNKI PRENUMERATY

we Lwowie i całym Państwie Austriackim

Rocznie .. (52 tomy)...	złr. 14
Półrocznie. (26 tomów) .	" 7
Kwartalnie (13 tomów)..	" 3 cent. 50
Miesięcznie (4—5 tomów)	" 1 " 20

Cena każdego tomu 30 cent.

REDAKTOR I WYDAWCA

Franc. Jul. Granowski.

Redakcyja i Administracyja: Warszawa, Nowy-Swiat 47.—Telefonu 1670.
we Lwowie Plac Maryacki 1. 4.

Drukarnia A. T. Jezierskiego, Nowy-Swiat 47.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

Nr 222.

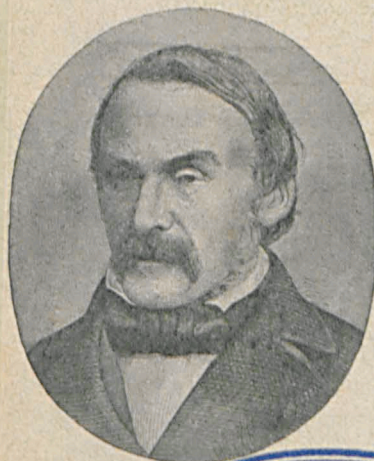
Kisielewicz

JADWIGA I JAGIEŁŁO

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

napisał

Karol Szajnoch.



Część IV.

Cena 30 cent.

W prenum. 26⁷/₁₀ ce



ODPOWIEDZIALNY ZA REDAKCYJĘ WE LWOWIE

Edmund Kolbuszowski.

Adres wydawnictwa: Lwów, plac Maryacki 1. 4.

JADWIGA I JAGIEŁŁO.

Karol Szajnocha.

JADWIGA I JAGIEŁŁO

1374-1413

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

Część IV.



WARSZAWA

DRUKARNIA

A. T. JEZIERSKIEGO

47. Nowy-Swiat 47.



8349



8349

943.8:
928

Дозволено Цензурою.
Варшава 18 Февраля 1902 года.



10013784

XII. KORONACYA, KRAKÓW.

Obrzęd koronacyjny. Miasto i mieszczaństwo krakowskie. — Urzędy miejskie. — Cudzoziemczyzna. — Wielka ludność. — Dwórki szlacheckie. — Mieszczaństwo przeciw szlachcie i duchowieństwu. — Młodzieńczość miasta. — „Bogacze i Ubodzy”. — Rozliczność i obyczaje cechów. — Stan kupiecki. — Stosunki i drogi handlowe. — Trakt bałtycki. — Miedź i sukna polskie. — Trakt wschodni. — Czerwiec. — Trakt wrocławski. — Hansa. — Moneta. — Weksle. — Procenty. — Szalbierstwo. — Żydzi krakowscy. — Zamożność i wykwintność. — Pożycie domowe mieszczaństwa. — Strój zbytkowy. — Łakocie. — Wygody. — Rozrywki. — Kuglarze. — Zamiłowanie w muzyce. — Zabawy mężczyzn i kobiet. — Wesela. — Rękawka i Konik. — Miłosierność i wojenność. — Wędrowność mieszczaństwa. — Kopernikowie. — Pierwsze czynności Jadwigi. — Dokumenty. — Fundacje. — Nabożeństwo powszechne do M. Boskiej. — Czasy łaski. — Zabytki czci Bogarodziecy. — Klasztor Paulinów na Jasnej Górze. — Rozślawienie się Częstochowy. — Pielgrzymki jubileuszowe. — Miejsca cudowne. — Wizye. — Polityka.

O ile przyjazd Jadwigi długo odwlekał się, o tyle spieszyły teraz dalsze jego następstwa. Zaledwie Jadwiga wypoczęła z podróży, przystąpiono do koronacji. Nie było już żadnej wątpliwości co do miejsca tego obrzędu. Po upadku wielkopolszczyzny zniknęła dla Gniezna wszelka nadzieja koronacyjnego przed Krakowem pierwszeństwa. Koronowany w Krakowie król nie potrzebował już lękać się, aby, jak niegdyś Kazimierza W., tylko „krakowskim” nazywano go królem. Jakoż, odraczając na później sprawę zaślubienia

Jadwigi, postanowiono przedewszystkiem ukoronować ją w Krakowie i, podobnie jak się stało z jej siostrą w Węgrzech, ukoronować ją pod męzkim mianem „króla” polskiego.

Brakowało wprawdzie męskiej ku temu korony Bolesławów, którą król Ludwik po koronacji uwiózł z sobą do Węgier, a której nawet Jadwiga nie przywiozła do Polski, lecz gorąca chęć panów polskich uzupełniła wszelki niedostatek ceremonijny. Uznano dawną koronę żeńską, służącą do koronowania małżonek królewskich, a przeto bez obawy pozostawioną niegdyś przez Ludwika w skarbcu krakowskim, za całę dostateczną do ważności koronacji króla polskiego. Temci mniej chciano czekać, aż niedawne uszczerbki państwa, osobliwie zaś opanowane przez Ziemowita zamkikujawskie, powrócą napowrót koronie. Odbył się terazniejszy obrzęd koronacyjny już w kilka dni po przybyciu młodej królowej, jak się zdaje, w sam dzień św. Jadwigi, w niedzielę, 15 października.

Zgromadzili się dnia tego zrana w zamku krakowskim wszyscy dostojnicy koronni, najprzedniejsi panowie świeccy i wszelkie obecne w Krakowie duchowieństwo. W niemałej jego liczbie odznaczał się przybyły z Węgier przewodnik i doradca Jadwigi, arcybiskup strygoński i legat papieski w Polsce, kardynał Dymitr, mający w swoim towarzystwie czarnadzińskiego biskupa Jana. Duchowieństwu polskiemu przodkowali: arcybiskup gnieźnieński Bodzanta i „mały biskup” krakowski Jan Radlica.

Po zmówieniu modlitwy wstępnej i pokropieniu Jadwigi wodą święconą wyruszył dwór cały w uroczystym pochodzie ku pobliskiej katedrze. Przodem ciągnęli panowie i szlachta świecka, za nimi panowie duchowni: opaci z pastorałami w infułach, biskupi w szatach pontyfikalnych, arcybiskup polski z arcybiskupem-kardynałem węgierskim. Po nich postępowali dygnitarze koronni z insygniami władzy królewskiej. Koronę niósł zwyczajnie kasztelan kra-

kowski, berło wojewoda krakowski, jabłko i szczyrbec inni wojewodowie. Teraz wszystkie te klejnoty spoczywały w skarbcu węgierskim, a przed Jadwigą chyba jakieś inne dzierzono znaki.

Tuż za temi godłami, pod baldachimem złocistym, przez resztę panów i urzędników trzymanym, szła czternastoletnia królowa w stroju koronacyjnym, w kapłańskiej albie, tunice, dalmatyce, w sandałach złocistych, w kapie, czyli płaszczu królewskim, z rozpuszczonemi włosami. Przy boku młodocianej królowej znajdowało się kilka niewiast dostojnych, mianowicie jedna i druga z księń i przeoryszek krakowskich. Towarzyszyły wreszcie orszakowi koronacyjnemu tłumy dworzan i szlachty z zapalonemi świecami, a zamykało go liczne grono trębaczy i fletnistów, przygrywających ochoczo pochodowi.

Z wejściem do kościoła, gdzie w pośrodku na podniesieniu ustawiony był tron królewski, złożono insygnia królewskie na ołtarzu. Królowa, otoczona orszakiem dworskim, pozostała u stópni tronu. Rozpoczęła się msza święta. Przed odczytaniem Ewangelii przystąpiła królowa do ołtarza. Arcybiskup zapytał ją, czy chce zachowywać wszystkie prawa, swobody i przywileje narodu? Odpowiedź królowej: „Chcę, tak mi Boże dopomóż!” miała wagę przysięgi. Późem uklekła Jadwiga, a arcybiskup w Oleju św. umaczał palec wielki, aby namaścić krzyże i prawe ramię królowej. Zastosowana do tego suknia koronacyjna odchyliła się z łatwością dokoła ramion.

Skończywszy tę ceremonię, wziął arcybiskup koronę z ołtarza i włożył ją na skronie Jadwigi. Zagrzmiały wszystkie trąby i fletnie, wzniósł się stułgłosny okrzyk na cześć nowej królowej. Po odczytaniu Ewangelii odprowadzono ją napowrót do tronu, uscielonego z kosztownych złotogłowiów, gdzie Jadwiga usiadła. Aby ciężka, dużemi kamieniami wysadzona korona nie gniotła zbyt długo skroni dziewiczych, podnieśli ją dwaj dostojnicy koronni nieco w powie-

trze i trzymali ją tak przez cały czas ponad głową.

Jak podówczas w kościele katedralnym, tak dziś przed oczyma naszymi siedzi Jadwiga w okazałości królewskiej na rzeźbie wielkich pieczęci majestacyjnych. Widzimy tam w bardzo misternej robocie, na tronie w kształcie gotycko rzeźbionego ołtarza, o dwóch szeroko rozwartych podwojach, czyli niżach tejże samej struktury, młodocianą, wyniosłą postać dziewczęcą. Pod rozstłoniętym płaszczem królewskim rysuje się smukła kibić w obeistym, aż pod szyję zapiętym stroju. Wysoka korona na głowie osobliwym uderza kształtem. Składa się ona naprzód z szerokiej, kamieniami wysadzanej obrączki, z której wysokimi łodygi wystzelają dokoła lilie rozkwitłe. Pomiedzy każdą parą kwiatów tkwi niższy pręcik liliowy, zakończony pączkiem zamkniętym. Rozłożyste kielichy wyższych lilij unoszą się ponad niemi nadobnym wieńcem u góry.

Jestto może owo „liliami ozdobne” ubranie głowy, które sławna babka Elżbieta zapisała testamentem Jadwidze. Z pod korony spływają dokoła według francuskiej onego czasu mody długie szerokie wstęgi. Prawa ręka trzyma wysokie berło, rozkwitające podobnież liliowym w górze kielichem. W niżach z prawa i z lewa stoją dwaj aniołowie. Obocza i podnóża tronu ozdobione są herbami głównych ziem polskich. Wiszą takie wizerunki pieczęciowe u pergaminów na jedwabiu zielonym i czerwonym.

W dalszym ciągu mszy, przy *Offertorium*, zstąpiła królowa z tronu i w szczerozłotem naczyniu złożyła chleb i wino w ofierze na ołtarzu. Za przykładem królowej każdy z panów ofiarował co łaska. Poczem, wróciwszy znowuż na tron, pozostała tam Jadwiga aż do Komunii kapłańskiej. Wtedy udała się jeszcze raz do ołtarza i uklękawszy w pokorze, przyjęła Ciało i Krew Pańską. Był to ostatni akt ceremonii kościelnej. W zakończeniu ozwał się zno-

wuż gwarny chór trąb i fletni. Przy ich ciągłym odgłosie wrócił cały orszak koronacyjny tym samym porządkiem w bramy zamkowe. Czekala tam wszystkich świetna w obecności królowej uczta. Jadwiga zasiadła przy niej na przygotowanym u stołu tronie. Goście chwalili sobie w takim razie nad wszystko „obfitość wina i ryb”.

Czem się obrzęd koronacyjny w Krakowie różnił od podobnych obrzędów zagranicznych, to chyba tem, iż stan miejski żadnego nie miał w nim udziału. Gdy zagranicą sami królowie powoływali mieszczan do spółuczestnictwa w tym akcie, u Polaków tylko świeccy i duchowni panowie, jakby wyłącznie dla siebie, koronowali króla nowego. Dopiero na-
zajutrz udawał się ukoronowany król w pośrodek miasta na rynek, i tam przed ratuszem, tym stołecznym zamkiem mieszczaństwa, odbierał hołd i przysięgę wierności miejskiej. Musiała też i Jadwiga dopełnić tego „starożytnego zwyczaju”.

W okazałym pochodzie, w stroju królewskim, objechawszy główny plac miasta, zasiadła młoda królowa na tronie przed ratuszem, gdzie uderzyli czołem przed nią burmistrz, dwudziestu czterech rajców czyli konsulów apostolskich, grono jedenastu sędziów-ławników z dwunastym wójtem na czele, i wszystka wreszcie pospólność miejska, wiedziona przez swoich „starszych”, których bywało do czterdziestu. Jako pierwszą oznakę łaski otrzymywali mieszczanie zwykle potwierdzenie dawnych przywilejów i praw. Jadwidze zaś nastroczała ta scena hołdu pierwszy widok właściwego wnętrza stolicy, tak odmiennem od reszty Polski napełnionego życiem, tak różnego od niej swoim gwarem, strojem i obyczajem. Aby je poznać, opuścimy na jakiś czas naszą królową, powracającą ze swoim szlacheckim i kapłańskim dworem na zamek, i pozostawszy wśród tłumu miejskiego, obejrzymy się po ówczesnym Krakowie, w ściślejszem jego znaczeniu, t. j. w obrębie murów głównego miasta.

Naprzód wpadają nam w oczy budynki. W tej mierze Kraków za dni Jadwigi nie różni się zbyt znacznie od Krakowa czasów późniejszych. Na tym samym rynku wznoszą się też same gmachy, wszystkim z większych miast magdeburskich właściwe. Był to ratusz z izbą sądową, ze skarbcem przywilejów i aktów miejskich, z podziemiem tortur prawa magdeburskiego. Obok ratusza — ogromne Sukiennice, dwójakiego pierwotnie przeznaczenia. W swojej dolnej, wewnętrżnej części były one miejscem postrzygania i sprzedaży najpowszedniejszego z ówczesnych towarów — sukna, w górnej tak zwanym smatrusem, czyli bazarem kupieckim, dookoła zaś gmachu zewnątrz zbiorem kramów „bogatych” i „ubogich”. Pod kramami „bogatymi” rozumiano kramy kupieckie, pod „ubogimi” rzemieślnicze; kupiectwo bowiem zwało się z urzędu stanem „bogatym”, rzemieślnicy zaś mieli nazwę „ubogich”. Opodal od Sukiennic, około starożytnego kościoła św. Wojciecha, stoi również wielki budynek — waga, źródło bardzo znacznego dochodu dla miasta. Według dawnych bowiem praw i zwyczajów, musiały wszystkie przez Kraków przechodzące towary być wprzód wystawione w Sukiennicach na „składzie” miejskim, a nim to stać się mogło, szedł każdy towar, za dość znaczną opłatą, na wagę miejską.

Dalej za kościołkiem św. Wojciecha piętrzy się wspaniały kościół parafialny Maryi Panny, z przybożną kaplicą św. Barbary, jeszcze nie ukończoną. Głównymi osobliwościami nowej budowy kościelnej — wieżyca niebotyczna, cudnie malowane okna i żelazne obręcze, w których, dawnym magdeburskim zwyczajem, wystawiano na obelgę publiczną występów i występ czynnie pomniejszych, jak np. opalców, kłótników i t. p. W szeregu otaczających rynek kamienie znaczący nie jeden z budynków po dziś dzień istniejących, jak np. sławną kamienicę Wierzyńków i dom

pod Baranami, znane jeszcze z czasów Kazimierza W. Podobnież znane są już wtedy wszystkie prawie ulice z rynku na pobliskie przedmieścia, jak np. Grodzka, Żydowska, Szwiecka, Floryańska, Mikołajska, Sienna, Bracka, czyli Bosacka i t. d.

Temi ulicami wychodzi się w przyległe części miasta, czyli jego cztery *viertle* albo kwartały, t. j. grodzki ku zamkowi z południa, garncarski na zachód ku ulicom Żydowskiej i Szwieckiej, rzeźniczy ku północy w pobliżu ulicy Floryańskiej, sławkowski dalej na północ i ku wschodowi. Różne miejscowości tych firlów mają odrębne nazwy, jak np. *Okol*, czyli południowy zakątek miasta pod zamkiem, brzmiały ustawicznym łoskotem osiadłej tu zgrai kotlarzy, i *Grunda*, przyległa mniejszemu zamkowi, czyli Gródkowi. Najokazalszemi zaś gmachami, jakie, oprócz tegoż zamku mniejszego, wznoszą się w najludniejszej części miasta między wielkim zamkiem a rynkiem, są dwa starożytne, rywalizujące z sobą klasztory: Franciszkański, czyli, jak go wówczas zwano, „bosacki”, leżący bliżej zamku wielkiego, po lewej stronie ulicy Grodzkiej, i klasztor Dominikański, zwany wówczas klasztorem „Pawłów”, zajmujący szeroką przestrzeń z przeciwka ku Gródkowi.

Zresztą, okrom wielu kościołów we wszystkich stronach miasta, nie brak onych osobiwie w tej niewielkiej, najludniejszej dzielnicy, między owymi dwoma klasztorami a zamkiem. Stoją tu kościoły św. Piotra, Marcina, Idziego, tuż pod zamkiem; św. Michała i Jerzego na zamku, a starożytny pomiędzy niemi kościół św. Jędrzeja, grubej warownej budowy, i często przeto dawniejszemi czasy za twierdzę używany, sam za trzeci w razie potrzeby uchodził zamek. W ogólności już za czasów Kazimierza W. liczono w Krakowie przeszło 24 kościoły. Przy każdym znajdowała się większa lub mniejsza szkoła. Z niektórymi łączyły się szpitale. Obok szkół i szpitalów

dymiły się również użyteczne a tak ulubione podówczas łaźnie, których niekiedy po kilka naraz przynawala królowie w darze mieszczanom.

Każdy z tych duchownych, szkolnych, dobroczynnych i sanitarnych zakładów miejskich służył pospolicie osobnej klasie ludności. Inną ulicę do mieszkania, bramę do strzeżenia, nawet świątynię lub pewny odrębny ołtarz w świątyni do nabożeństwa miało każde pojedyncze rzemiosło. Ten zasadniczy średnich wieków obyczaj odosobniania ludzi nadawał każdej stronie miasta pewną odmienną barwę. To przyczyniało się do malowniczości ogółu miasta, a już w wydawanych przez Kazimierza W. rozporządzeniach, „aby place miejskie nie oszpecały się budynkami nieporządnymi”, przebiegała potrzeba ozdoby zewnątrz.

Mimo tego, nie widać jeszcze śladów oświecenia ulic z wieczora, a nader niedostateczny bruk nie zaradzał obfitości błota, na którą jeszcze w dwieście lat później utyskiwali w Krakowie goście ze sfer południowych. Teraz, jeżeli miano użytek zrobić z kamienia, wołało mieszczaństwo użyć go do powiększenia murów około miasta. Od lat wielu pracowano ciągle nad niemi. Przykładał się do tego Leszek Czarny, król Wacław, Kazimierz W. Z tem wszystkim daleko jeszcze było do zupełnego obmurowania stolicy, wymagającego znacznych kosztów, które miészczanie pragnęli podzielić się kiedyś ze skarbem królewskim.

Co do osiedlonej w tych murach ludności, ta wyróżniała się od innych wielkich miast magdeburskich osobiście swoją nierównie mniejszą samowładnością. Podczas gdy pierwotnie stolice magdeburskie pod swoimi wójtami, t. j. sędziami, w rzeczy zaś dziedzicznymi naczelnikami obywatelstwa i prawie zupełnymi panami miasta, nieograniczonej wewnątrz używały niezawisłości, w Krakowie, szczególnym zbiegiem wypadków, mianowicie skutkiem stanowczego w dzie-

jach krakowskich buntu wójta Alberta, sprężysty urząd wójtowski z przydanem sobie gronom ławników utracił swoje pierwszeństwo na korzyść podrzędnego dotychczas urzędu radzieckiego, a ten przez oddanie corocznego wyboru rajców w ręce wojewodów królewskich uległ wraz z całym miastem wpływowi najwyższej władzy krajowej. Ponieważ bowiem wszystkie główne zwierzchności miejskie, jako to urząd burmistrzów, czyli przełożonych najwyższej rady miejskiej, wybieranych z pomiędzy nowych rajców, i urząd ławników, czyli sędziów miejskich, obsadzany zwyczajnie członkami dawnej rady, wypływały z koła konsultatu miejskiego, przeto, uczyniwszy wybór konsułów zależnym od woli wojewodów krajowych, ogarnęła władza królewska wszystkie sprężyny tak potężnego podówczas w całej Europie życia miejskiego. Wójtostwo, zaszczycone godnością przewodniczenia trybunałowi ławników i zawsze jeszcze dziedziczne, postradało wszelkiej politycznej przewagi. Republikańska organizacya wielkich ówczesnych miast i połączona z nią nadzieja tak bujnego wzrostu Krakowa, jak tego spodziewać się kazały magdeburska samowładność i teutoński monopolizm wszystkich polsko-niemieckich miast onej daty, poniosła uszczerbek nienagrodzony. Ów zamek „mniejszy”, który niegdyś u Mikołajskiej bramy zagroził miastu, stawał się od roku do roku mniej potrzebnym, i gości też rzeczywiście coraz więcej w pamięci ludzkiej.

W powszechnem od lat kilkudziesięciu rozbudzeniu się narodowości krajowej zniknęło już niebezpieczeństwo tych przyczyn, które wywołały grozę zamku mniejszego; nie zniknęła atoli ciągle jeszcze obecny, tylko już nieszkodliwy ich widok. Owszem, był on jeszcze nader jaskrawym i przedstawia nam Kraków ówczesny wcale oryginalnych rysach. Są temi przyczynami: teraźniejsza cudzoziemczyzna Krakowa i nieproporcjonalna wielkość miast średniowiecznych.

O cudzoziemczym charakterze Krakowa przekonują najpobieżniejszy rzut oka na jego właściwą ludność miejską. Składa się ona z samych prawie teutońskich nazwisk, mówi prawie wyłącznie po niemiecku, słucha niemieckiego u Panny Maryi kazania, układa w tym języku wszystkie zabytki pisemne, np. akta sądowe, wszelkie zapiski miejskie i t. p., żyje wreszcie obyczajem mieszczan niemieckich.

Nie zawsze atoli było tak w dotychczasowym Krakowie. Liczy się to dopiero od nowej fundacji Krakowa po zburzeniu miasta i wyludnieniu kraju przez Tatarów. Dawniejszy Kraków, Kraków pierwszych czasów piastowskich, miał wcale odmienną postać. Ten był całkowicie słowiańskim, polskim. Mimo swoje drewniane po największej części budynki, posiadał on znaczną ludność, zwyczajne urzędy miejskie, radę tak zwanych „konsulów” miejskich, o wiele wcześniejszych od późniejszego konsulatu magdeburskiego. Wtedy, stosownie do staropolskiego zwyczaju szeroko rozpostartych siedzib, zadziwiał Kraków rozległością swych granic miejskich, liczbą swoich placów targowych, zielenią swoich pomiędzy temiż placami, budynkami i dworami kwitnących sadów i ogrodów szerokich. Z tego też czasu pochodzą liczne jeszcze w mieście za dni Jadwigi dwory i posiadłości szlacheckie. Mieszkańcy tych dworów, dostojnicy owych urzędów konsularnych, mówią tylko po polsku. W głównym podówczas kościele miejskim, u św. Trójcy, a po oddaniu św. Trójcy zakonowi Dominikańskiemu u P. Maryi, odprawiają księża nabożeństwo w języku polskim. Techniczne wyrazy starożytnego górnictwa w blizkiej Wieliczce, przytłumione później narostem terminologii niemieckiej, brzmią pierwotnie po polsku. Kraków nie wie, co niemieczyzna.

Wszakże od zupełnej zagłady miasta przez Tatarów, od wypłenionej przez nich już to jasyrem, już mieczem ludności okolicznej, od rozbieżenia się re-

szty mieszkańców po różnych stronach świata, wszystko inny przybrało widok. Powtórna fundacja Krakowa przez Bolesława Wstydliwego oparła się głównie na nowoprzybyłych osadnikach niemieckich. Ci przedewszystkiem znienacka ścieśniają obręb miasta, kupią się teutońskim obyczajem wokoło rynku, wprowadzają język i zwyczaje teutońskie. W ratuszu, w smatruzie, po kramach, w głównym kościele u P. Maryi—wszędzie słyszysz sądy, targi i kazania niemieckie. Polski język brzmi chyba w dawnych dworach szlacheckich lub na odleglejszych, pozamiejskich targach zbożowych.

Skutkiem koniecznej mieszaniny obudwóch języków przechodziły z języka polskiego w język niemiecki tytuły panujących dostojnictw krajowych, wyrazy przywiązania do polskiej matki, nazwy przyjętych od ludności polskiej rodzajów uczt dorywczych—z języka niemieckiego w polski przedewszystkiem miana strojów i gmachów miejskich. W ten sposób Polacy przyswoili sobie *smatruzy*, *cekaury*, *rańtuchy*, *obercachy* niemieckie Niemcy zaś mawiali *meine liebe matken*, *herr krakischer podsendeck*, *kein snadeyn* (żadne śniadanie). Przeważał jednak wpływ obczyzny, a gdy jeszcze w kilkadziesiąt lat po Jadwidze zapytał ktoś za granicą, jakim też właściwie miastem, polskiemli czy niemieckiem jest Kraków, dochodziła go od wieloletniego wychowanka stolicy nadwiślańskiej odpowiedź następująca: „Mogę cię upewnić, że lubo w Krakowie mówią po polsku i po niemiecku, Niemcy przecież górują. Kaznodzieje niemieccy miewają kazania w głównym parafialnym kościele, kaznodzieje polscy w przyboocznej kaplicy i na cmentarzu. Toż samo dzieje się w Koszycach i w Budzie na Węgrzech...” Za czasów przyjścia Jadwigi działało się to w sposób jeszcze bardziej rażący. Nie dziw więc, że najwyższa władza krajowa nie mogła dozwolić miastu zupełnej samowładności.

Druą tego przyczyna, wielkość, ludność i we-

wewnętrzna potęga miasta, była wszystkim ówczesnym krajom właściwą. Średnie wieki, jako pora młodszej, nieudoskonalonej organizacyi społecznej, przedstawiają osobliwsze widowisko najwzszechstronniejszych przeciwności i sprzeczności pozornych. Są to czasy ciemnoty, a pojedyncze szkoły uczone mają daleko większą liczbę uczniów, niż dziś. Są to czasy ubóstwa, a odzież ludzka świeci powszechnie trudnym do uwierzenia przepychem, wystawiającym na widok całe mienie właścicieli. W podobnym też stosunku im rządzą, im niejednostajniejszą bywała ludność siół, kraju wogóle, tem tłumniejszy mieszkaniec ciskał się w miejsca niektóre, w miasta stołeczne.

Ztąd nawet w krajach, gdzie stan miast nie pogorszył się później, miewały komuny ówczesne większą niż dzisiaj ludność. Toż samo wiemy ze wspomnień i zabytków miejscowych o wielu dawniejszych miastach polskich, jak np. o Sandomierzu, Bydgoszczy, Kruszwicy i t. d. Toż samo należy rozumieć o Krakowie. Ścieśniony obręb jego nowej fundacyi wrzał nadzwyczajnie tłumną ludnością. W czasie powietrza z r. 1350 umarło w Krakowie do 20,000 ludzi. Nie jest to liczba przesadna. Zgadza się ona z dokładnemi wiadomościami, jakie pozostały o podobnych klęskach miast innych, a według których z tejże samej przyczyny utracił Gdańsk podówczas ludzi 13,000, Toruń 4,000, Elbląg 6,000, Królewiec 8,000. W Krakowie ubytek owych 20,000 mieszkańców nie sprawił żadnej wiadomej nam różnicy w zaludnieniu. Wynagrodził go wkrótce napływ nowych zewsząd przybyszów.

Ze wszystkich bowiem stron tuliło miasto gości w swem łonie. Oprócz pierwotnej ludności polskiej, oprócz Niemców, oprócz gęsto za króla Ludwika osiedlających się Węgrów, mieszkali w Krakowie, według świadectw dokumentowych, owszem należeli do pełnienia niepoślednich funkcji publicznych Rusini i Tatarzy, reprezentanci bogatego handlu ze wscho-

dem, utrzymującego wówczas tylu tatarskich kupców we Lwowie. Ileż nadto żydów, ile wreszcie niestałej włóczęcej się ludności miast tamtoczesnych powiększało tłum miejski! Widziałeś w nim wszystkie narodości i stany: gęstą szlachtę krajową i kupców zagranicznych, „bogatych” kupców miejscowych i „ubogą” bracię rzemiosła; widziałeś ludzi świeckich i nadmiar osób duchownych.

Owszem, tych ostatnich było w Krakowie stosunkowo najwięcej. Niezwyczajna ich mnogość wydawała się podróżnikom zagranicznym od najwcześniejszych aż do późniejszych czasów charakterystyczną cechą Krakowa. Zaczawszy od wędrownego kupca Araba w XII wieku, aż do podróżnego żywociarza, św. Jana Kapistrana, w w. XV słynie Kraków u wszystkich dziwną mnogością swoich uczonych i uczących się, a wiadomo, iż w średnich wiekach mnogość uczonych była to mnogość duchownych. Za czasów Jadwigi zbytnia obfitość księży idące za tem owładnięcie przez nich nazbyt wielu obowiązków społecznych, jak mianowicie opiekuństwa nad małoletniemi, zagroziły miastu niemałą szkodą. Przy wszystkich ucztach miejskich, ograniczanych ustawami co do ilości spółbieszczników, osoby duchowne należały do liczby gości, których nie godziło się liczyć. Dla tej to mnogości księży, przechodzącej bezwzględnie stosunkową mnogość kościołów, nazywano Kraków oddawna „drugim Rzymem.”

Cheąc zaś obaczyć, jak się miały do siebie cyfry różnostonowej ludności w Krakowie, można uwzględnić obliczenie z czasów późniejszych, niewiele zapełnione odbiegające od istoty rzeczy za dni Jadwigi. Otóż bywało później w Krakowie po 1344 kamienie i dworaków mieszczańskich 648 duchownych, 146 szlacheckich. Obecnie stosunkowa ilość tych ostatnich musiała być nieco większą. Prawie wszyscy bowiem tegoż panowie możni, jak np. młody nasz wojewoda krakowski, Spytko z Melsztyna, syn starego ka-

sztelana krakowskiego, Krzestaw, kasztelan sandecki, Jaśko z Tęczyna, podskarbi, Dymitr z Goraja, Jaśko Kmita, okazują się w dokumentach właścicielami domów w Krakowie.

Tak znaczne spólistnienie przeciwnego mieszczaństwu żywiołu pobudzało właściwych mieszczan, zawsze kilkakrotnie liczniejszych od mieszkańca duchownego i szlacheckiego do zawziętej z nim walki. Postradawszy nadzieję niezawisłości zewnętrznej, od pozamiejskiej władzy królewskiej, chciało mieszczaństwo przynajmniej wewnątrz swych murów utrzymać przewagę swego teutońsko-miejskiego prawa, języka, obyczaju. Ztąd od lat kilkudziesięciu biła wszelka jego usilność w to, aby zakupieniem posiadłości szlacheckich w mieście uwolnić się od spótożywatelstwa tak różnorodnych sąsiadów. Obowiązywali się mieszczenie solennymi pomiędzy sobą przyrzeczeniami nie sprzedawać żadnych placów lub domów miejskich szlachcie krajowej. W potwierdzeniach starodawnych przywilejów miejskich warowało sobie miasto wyraźnie, iżby zamek krakowski, to ziemskoszlacheckie czoło Krakowa, nie mógł nigdy połączony być murem z właściwym miastem teutońskim, lecz „iżby zawsze zamek dla siebie, a miasto pozostało dla siebie.”

Przemysliwano też gorąco, jakby prędzej, czy później otrząsnąć się z pod wpływu duchownego, zabraniając księżom przyjmować opiekę nad małoletnimi sierotami miejskimi, a blizki wistocie czas spełnił życzenie mieszczan w tym względzie. Dążąc zaś do wyzwolenia się od niebezpiecznego spótożywatelstwa duchownej i świeckiej szlachty, starało się miasto przeciwnie rozszerzyć jak najdalej granicę swego prawa i zwierzchnictwa miejskiego przez zakupywanie coraz dalszych gruntów i posiadłości w koło Krakowa. Dawniej wolno było Krakowianom, podobnie jak innym miastom teutońskim za granicą, rozprzestrzeniać w ten sposób jurysdykcję swojego miasta na obręb jednej linii. Przed kilku laty, za przy-

chylnego miastom ojca Jadwigi, uzyskało mieszczaństwo krakowskie w r. 1378 wolność zagarnięcia z czasem dwumilowej przestrzeni w granicę miasta, i zakupiło wtedy na własność górę Lasoty, czyli św. Benedykta, dziś Krzemionki. Dobijano się tego wszystkiego tem uporczywiej, ile że ta sama młodzieńcza krzepkość, skrzętność i przedsiębiorczość, jakąśmy widzieli już w życiu szlachty ówczesnej, jeszcze nie-skończenie silniej ożywiła mrowią rojność ówczesnej ludności miejskiej.

Jakiż to ruch, jaki pośpiech w życiu tych mieszczan! Chcieliby najstarszym, najzamożniejszym dorównać miastom. Znana przypowieść „nie odrazu Kraków zbudowano” miała właśnie hamować zbyt niecierpliwą żądzę nagłego wzrostu. Toć cały prawie Kraków obecny ze wszystkimi swoimi gmachami i przedmieściami urosł w dziwnie krótkim przeciągu czasu. Było w nim już prawie wszystko jak później, lecz wszystko było nowe. Zamek krakowski świecił niedawnymi murami i ozdoby Kazimierza W. Katedra zamkowa została dopiero przed dwudziestu kilkulety skończona. Kościół Panny Maryi jest w ciągłej jeszcze budowie. Toż samo dzieje się z kościołami św. Katarzyny, Bożego Ciała. Sukiennice dopiero Kazimierz W. wystawił. On też pozakładał przedmieścia Kazimierz, Kleparz, Garbary. Od niego dopiero wziął początek Zwierzyniec. A pomiędzy temi nowymi murami, nowymi ogrodami, nawet Wisła nowym płynie korytem.

Przy takim pośpiechu niepodobna było obejść się gdziekolwiek bez partactwa. Jakoż ludzi by się każdy, mniemając, że owe czasy zawsze „na wieczność budowały.” Ileż to gmachów, zaledwie wybudowanych, porysowało się jak po najlżejszej fabryce i runęło! Wszak to w samym kościele Panny Maryi, tej naczelnej ozdobie miasta, właśnie pod obecną porę Jadwigi tak niedbale około sklepień pracują, że po latach niewiele główne sklepienie zapadnie się nad głowami. Gdy zaś jedni ładajako murowali z po-

śpiechu, inni w chęci śpieszniejszego zubożenia się folgowali sumieniu w handlu, fałszowali swój towar. Oto przed kilku właśnie laty doszło niektórych rzemieślników krakowskich upomnienie, aby w topieniu kruszców i wyrabianiu naczyń kruszczowych nie wazyli się oszukiwać materiałem spodlonym.

Nie dziw tedy, że czasem dopuszczono się lekkomyślności z pośpiechu. W tych gęsto zaludnionych, drewnianymi budami i budynkami zapchanych miastach, zapaloną słomą oczyszczano kominy. Przy ulubionych podówczas tryumfach i igraszkach ogniowych bywał ten mniemany środek ostrożności często powodem samejże klęski. Wiele z tak częstych onego czasu pożarów wybuchało jedynie z tej młodzieńczej, śpieszącej się, nieskrupulatnej lekkomyślności.

Widać ją było zresztą w tysiącu innych szczegółów życia miejskiego. Wchodząc w społeczne jego stosunki, uderzeni jesteśmy naprzód owym podziałem całego obywatelstwa na „ubogich”, czyli stan rzemieślniczy i „bogaczy”, czyli stan kupców. W miastach zagranicznych wynikały ztąd ustawiczne zaburzenia i zmiany, dające wnet jednej, wnet drugiej stronie przewagę i samowładztwo. W Krakowie starała się zwierzchność krajowa utrzymać obiedwie połowy w równowadze. Gdy około św. Michała nadeszła pora wyboru rajców przez wielkorządcę i wojewodę krakowskich, miano według rozkazu króla Kazimierza ściśle przestrzegać, aby jedną połowę rajców wybrano z pomiędzy rzemieślników, drugą zaś z pośród kupców.

Nie słyhać też o żadnych gwałtownych zajęciach między stanami. Żyły one w rzadkiej pod one czasy zgodzie ze sobą. Wszelka niezgodność przenosiła się na pole narodowych sprzeczek między Niemcami a Polakami. Co do różnych stanów niemieckich, z tych, o ile kupcy górowali swoim „bogactwem”, o tyle rzemieślnicy ciężyli na szali swoją mnogością. Ledwieby kto uwierzył, jak wielka liczba

najrozmaitszych cechów mieściła się pospolicie w każdym mieście pomniejszem. Oprócz zwyczajnych cechów szwieckich, krawieckich, piekarskich, rzeźniczych i t. p., napotykały prawie wszędzie pasomników, sukienników, postrzygaczy, kordybanników, białoskórników, czerwogabarbarzy, paśników, czapników, roztrucharzy, łączników, kaletników, kobierników, płatnarzy, munsztukarzy i t. p. W jednym z miast pośledniejszych, w Sochaczewie, liczono dwadzieścia i dwa cechy.

W Krakowie powszechnie bractwa i cechy małe-miejskie dochodziły niezwykłej świetności, a obok wszystkich owych kunsztów i rzemioł sochaczewskich kwitnęły nadto wykwiłne cechy stołeczne, tylko potrzebom dworu i wielkiego świata właściwe. Pośród zwyczajnych bractwami odznaczali się mianowicie potężni niegdyś za Łokietka rzeźnicy, głośni w ulicy Grodzkiej kotlarze i nader zamożni wówczas kuśnierze, trzymający później prym pomiędzy cechami krakowskiemi. Również bogaci sukiennicy i postrzygacze byli właściwymi gospodarzami Sukiennic, gdzie zwyczajem miejskim żaden z tysiącznych postawów sukna nie mógł iść pierwiej na sprzedaż, póki miejscowi sukiennicy nie postrzygli go i nie rozcięli. Z wykwiłniejszych kunsztów stołecznych słynęli w Krakowie osobliwie złotnicy, spółzawodnicząc liczbą i zamożnością z kuśnierzami, malarze i snycerze, balwierze z perukarzami i haftarzami, a nawet fabrykanci pewnego instrumentu muzycznego, znanego już wówczas pod nazwą *clavicordium*.

Nadto każdy z cechów ówczesnych rozpadał się w dalsze podziały. Skutkiem tego np. jeden z cechów złotniczych zajmował się wyrobem różnych towarów z kruszców szlachetnych, drugi służył jedynie do częstego wtedy przetapiania pieniędzy. Jeden z cechów haftarzy trudnił się wyszywaniem haftów jedwabnych, drugi haftował perłami. Jeden cech malarski malował na blasze lub na drewnie, inne na szkłe. Jeden cech balwierski utrzymywał kramy, czyli apteki

lekarskie, drugi łaźnie, trzeci pełnił obowiązki chirurgów. Jeden cech snycerski pracował w kamieniu, inne w drewnie lub ulubionym wówczas do ofiar kościelnych wosku.

Wyroby tych różnych rzemiosł były nierównie nadobniejsze, niż obyczaje ich mistrzów. W niczem zapewne nie objawia się tak jaskrawym sposobem rubaszna prostaczość czasu, jak w pożyciu tych klas rzemieślniczych, zwłaszcza rzemiosł niższego rzędu. Naprzód uderza surowy separatyzm, jakim wszystkie cechy odgradzały się wzajem od siebie. Każde rzemiosło miało swoje „mysteria”, swoje właściwe ceremonie przyjęcia, wyświęcania i t. p., swój własny sposób wyrażania się, niezrozumiały komu innemu. Co wszystko otaczało niekiedy ten albo ów cech takąż samą tajemniczością, jaką np. widzimy w średniowiecznem bractwie „wolnych mularzy.” Wynikająca ztąd ścisłość pożycia między członkami tegoż samego cechu zgromadzała ich bardzo często w tłumne, zgiełkliwe posiedzenia, mające tylko niekiedy ceł urzędowy, zresztą jedynie wspólnej poświęcone zabawie, t. j. wyłącznie pijatyce, i ztąd też zwykle *bruderbier* zwane. Przy takich biesiadach, przy pracy w domu, kiedy tylko nie szło o wystąpienie ceremonialne, panował w stroju braci cechowych cynizm najnieprzyzwoitszy, przeciwko któremu rada miejska długo bezskutecznie walczyła.

Nie wiele też dbano w cechu o nabożeństwa świąteczne, które, owszem, dla swego natłoku ludzi uważane bywały za najlepszą porę do targu, czy to po cmentarzach koło kościoła, czy to po drodze i wszystkich miejscach pobliskich, zastawianych towarami rzemieślniczymi. Cały dzień poniedziałkowy, cały niemiecki *montag*, już wówczas solennie obchodzony, szumiał pijaństwem i rozpustą. Podzielały ją z czeladzią rzemieślniczą tłumy niewiast wesółych, z którymi nie troszczono się o żadne przepisy kościelne albo moralne. Lada przyrzeczenie małżeństwa z wyprawionym na tę intencję bankietem uchodziło u braci

rzemieślniczej za związek prawy. Ztąd można było tym sposobem mieć kilka mniemanych żon. Ustawy pewnego cechu w Wrocławiu opiewały wyraźnie: „Którén czeladnik miałby więcej, niż jedną ślubną żonę, tego żaden majster nie powinien trzymać u siebie.” Według takich pojęć o małżeństwie sam wyraz „sprawić pijatykę” znaczył u zachodnio-europejskich mieszczan „poślubić,” a statuta synodalne napróżno im tłómaczyły, iż samo „obłanie” przyrzeczenia nie stanowiło jeszcze związku ślubnego.

Dla jakiegokolwiek zarady złemu nakazywały rozporządzenia cesarskie, aby żaden czeladnik nie mógł na majstra być wyświęconym, któryby nie miał rzeczywistej, wobec Kościoła pojętej żony. Jedna małżonka rzeczywista zdawała się najlepszym stróżem moralności majsterskiej. W razie potrzeby dopomagały jej kuny żelazne u Maryi P., w które na widok całego ludu wpijano niepoprawne grzeszniki. Kogo i kuny nie poprawiły, tego śród tłumnego pochodu, przy pośmiewisku powszechnem, z zapalonemi w rękę świecami „wyświecano” publicznie z miasta. Jakby na znak, iż karane tym sposobem zepsucie ma uchodzić w tę samą stronę zkad przyszło, wyprowadzała w Krakowie ulica tego wyświecenia—na zachód. Wistocie, dość przypomnieć sobie głośnie pochwały, oddawane niegdyś przez cudzoziemców słowiańskiej czystości obyczajów, zwłaszcza nieposzlakowanej wierze małżeńskiej i równie świętemu poszanowaniu niewinności dziewiczej — aby sobie wyobrazić, jak przykre, jak odstręczające od miast wrażenie musiał wzbudzać w szlachcie i ludzie polskim widok tej cudzoziemczej rozpusty miejskiej.

Niekiedy doznawali krajowcy bezpośredniej szkody od cechów. Gdy bowiem kmiecie okoliczni przywieźli na targ do miasta zboże lub inny towar wielki, bractwa rzemieślnicze, dzięki swej organizacyi wspólnej i jednomyślną działającą zgodą, narzucały im dowolne ceny i miary. Ztąd bywało obowiązkiem wojewodów i starostów krajowych dawać w tej mierze

pomoc ludowi, wyznaczać w pewnych porach roku stałe ceny targowe. Pozostał nam takż urzędowy spis ziemiopłodów krajowych, ustanowiony za spólną zgodą urzędników królewskich, mianowicie marszałka i kuchmistrza nadwornych i rajców miejskich, a obwołany publicznie podczas jarmarku na świętego Stanisława w maju. Później uchwalono nawet kilkakrotnie, acz bezskutecznie, zupełne rozwiązanie cechów po miastach.

Żywsze współczucie znachodził u rządu stan kupiecki. Gęste po całym kraju cła, czynsze z książeńskich zwyczajnie Sukiennic, sklepów i kramów, myta różnego rodzaju, tem obfitsze im żywiej krążył handel po kraju, stanowiły główne źródło dochodów państwa. Protegowano więc wszelkiemi sposobami handel i kupców. Dzielili oni się podówczas na dwie klasy: na kupców miejscowych i podróźnych. Podczas gdy dziś wszystek prawie handel za pośrednictwem miejscowych toczy się kupców, za dni powieści naszej liczba kupców podróźnych, tak zwanych gości, Niemców, Szkotów, Ormian, Saracenów czyli Tatarów, osiadających zwykle według narodowości na osobnych ulicach, nazwanych z czasem od swych mieszkańców, dorównywała liczbie krajowych. Oni też musieli ponosić główne ciężary opłat handlowych, od których kupiectwo miejscowe zwykle wolne bywało.

Osobliwie kupcy krakowscy używali znamienitych swobód i przywilejów. Od czasów Leszka Czarnego i Łokietka służyła im w całej koronie zupełna wolność od ceł. Natomiast każdy kupiec przejezdny, czy to z Węgier, czy z Prus krzyżackich, musiał w Krakowie wystawiać towary swoje na sprzedaż, opłacać koszty wagi i najmu sklepów, ulegać wszelkim uciążliwościom nadanego Krakowianom przez Władysława Łokietka „składu towarów.” Zdarzyły się wprawdzie różne w tym względzie uszczerbki i nadużycia. Przyjazny Krzyżakom król Ludwik wyjął kupców toruńskich z pod przymusu składu w Krakowie. Nierzetelni „goście” sprzedawali swoje towary

pokątnie po gospodach, po domach. Wywieszona u okna chorągiewka zapraszała do handlu przemysłowego. W końcu atoli umiano poradzić sobie przeciw niedogodnościom podobnym i zapewniwszy się od przewagi kupiectwa podróźnego, podejmowano, owszem, własne w daleką stronę przedsięwzięcia kupieckie. Otwierały się handlowi krakowskiemu mianowicie trzy walne kierunki zagraniczne. Były to: strona bałtycka, ruska i szlązka, czyli wrocławska.

Ku Bałtykowi głównym polskim gościńcem była Wisła. Oprócz tej bieży w tym samym północnym kierunku do Prus ku Toruniowi dwie drogi suche, zwiedzane osobiłwie przez kupców cudzoziemskich. Pierwszą przecinał Polskę handel niemiecki, ciągnąc z Wrocławia na Ostrzeszów, Kalisz, Konin, Radziejów do Torunia. Druga służyła handlowi ruskiemu, dążącemu do tegoż samego celu ze Lwowa i Sandomierza na Opoczno, Łęczycę, Brześć. Wszystkim tedy strumieniom handlu bałtyckiego stał u granic ówczesnej Polski nieprzebytą zaporą Toruń krzyżacki, obdarzony podobnem prawem przymusowego składu i targu towarów transportowych, jakie u południowej granicy miał Kraków.

Tym sposobem przechodził w Toruniu cały prawie bałtycki handel Polski w ręce Prusaków. Cóż za różnica między tak ograniczonym, przeciętym handlem a drogą wprost aż do morza! Jakoż nim Krzyżacy zaciężyli na Pomorzu, posiadała Polska całą wolną drogę do Gdańska, a utraciłszy ją od lat kilkunastu, tęskniła do niej gorąco, jako do jednego z najpiękniejszych życzeń przyszłości. Szły tą drogą różne krajowe i zagraniczne towary. Pomiędzy obcymi, przewozowemi, z Węgier na Sądziec i Kraków spławianemi, celowała miedź osobiłwie. Dziwną obfitością swoją wystarczała ona niegdyś do z bogacenia całych miast i pokoleń. Wszakże jeszcze w wieku XVI miewała jedna rodzina kupiecka, Fuggierowie krakowcy, po 68 okrętów z tą kupią u brzegów gdańskich.

Z towarów krajowych wywożono podobnież miedź, zwłaszcza później z Miedzianych gór i Kielc, ołów ze Sławkowa i Olkusza, sól z żup bocheńskich. Nie brakło, jak łatwo pojąć, zboża, zwłaszcza umielonego, mąki, które razem ze słoniną i wędlinami wysyłano z wielkim zyskiem aż na morze flandryjskie. Dalej płynęły szkuty i ciągnęły wozy kupieckie z woskiem, futrami najrozmaitszego gatunku, osobliwie ze zwierza drobnego, jak kun, łasic, wydr, bobrów i t. p. Najciekawszym atoli z ówczesnych towarów polskich, idących tą północną stroną do Prus, a ztamtąd dalej ku zachodowi i wschodowi hanseatyckiemu, jest sukno polskie, *polensche Laken*, jak ówczesi Niemcy mawiali. Było ono bardzo obfitym i pożądanym przedmiotem handlu, zdolnym utrzymać współzawodnictwo z najlepszym tego rodzaju towarem zagranicznym, ze sławnym sukniem flandryjskiem. Chodzili w niem królowie, jak np. ojciec margrabiego Zygmunta, nieprzyjazny Polsce Jan Luksemburczyk, król czeski, używający go za swoją odzież codzienną.

Właśnie w czasach oczekiwania Jadwigi w Polsce stało się sukno nasze powodem żwawych sporów pomiędzy handlowcami miastami hanseatyckimi. Wszystkie spieniężały swój towar najkorzystniej na targach wschodnich w Nowogrodzie. Zachodnio-niemieckie miasta handlowały tam chętnie bliższem sobie sukniem flamandzkim; pruskie, czyli pomorskie, jeły przeciw upoważnieniu sąsiadów zachodnich przemycać tam sukna polskie. Pomyślny skutek tego pokątnego handlu skłonił kupców pruskich do żądania na sejmach hanseatyckich 1383 r. jawnej sukien polskich sprzedaży. Nie pozwolono im tego w r. 1384, ponieważ handel zachodni ucierpiałby na tem za wiele. Na co bynajmniej nie zważając, wywożono 1385 r. z Prus sukna polskie, jak dawniej, do Nowogrodu. Zachodnie zaś miasta nie umiały wynagrodzić sobie szkody inaczej, jak; iż same za przewodem Lubeki zaczęły handlować na wschodzie naszym sukniem. Owszem, szło ono

pod nazwą „szarych sukien ze wschodu” do samychże Niederlandów, tej ówczesnej stolicy przemysłu i fabrykacyi.

Wiązało się to z tysiącami okolicznościami owej epoki, osobliwie zaś z mniejszą uprawą gospodarstwa polnego a lesistszem obliczem ziemi i towarzyszącem temu rozleglejszem pasterstwem, mianowicie powszechnym chowem owiec. Jakoż mnożenie z owych czasów wzmianki uboczne poświadczają znaczne rozwinięcie się tej sukiennej produkcji kraju. Fabryki późniejszego sukna, folusze, bywały daleko częstsze, niż teraz. Rzemiosła, trudniące się wyrobem sukien, liczyły nadzwyczajną ilość różnorakiej czeladzi, tkaczy, krajowników, postrzygaczy i t. p. Zbytni tłum pracowników wyrażał nieraz spory pomiędzy różnymi ich rodzajami, podobne np. długoletniemu sporowi poznańskich tkaczy i krajowników. Pomiedzy towarami zwyczajnych targów miejskich sukna pierwsze trzymają miejsce. „Wszystko ma być oszacowane, cokolwiek idzie na sprzedaż — prawia statuta koronne z owych czasów — czy to zboże, czy sukna, czy jakiegokolwiek inne rzeczy krajowe, które zwykle przywożą kmiecie na targ.” Nawet klasztory brały udział w tem wyrobnictwie, a sukna konwentu paradyskiego znalazły niemały zapewne odbyt, skoro im osobną wzmiankę poświęcono w przywilejach klasztornych... Czytamy też o zwykłym w Krakowie handlu szarem płótnem krajowem....

Również żywy handel wiedziono ze wschodem, z Rusią. W tym poprzecznym kierunku biegły przez Polskę od granic zachodnich ku wschodnim dwie główne drogi. Jedna szła od Poznania ku Włodzimierzowi wołyńskiemu, druga od Krakowa na Lwów ku stronom morza Czarnego. Gościniec poznański albo kierował się wprost na Konin, Łęczycę, Stryków, Brzeziny, Inowłódz i Przytyk do Radomia, albo zbaczał z Poznania ku południowi, na Śrem i Poniec do Wrocławia, zkąd na Bolesławiec, Wieluń, Brzeźnicę, Radomsk, Przedbor, Żarnów i Skrzyn stawał

w Radomiu i łączył się tam ze swoją odnogą północną. Z Radomia ciągnął połączony gościniec dalej na Zwolen, Kazimierz, Lublin, Krasnystaw, Hrubieszów do ruskiego Włodzimierza lub Bełza. Tu miał kupiec wędrowny całą Litwę i Ruś przed sobą. Był to główny szlak handlu przewozowego cudzoziemskiego, osobiście Hansy niemieckiej, która, pomijając morską drogę bałtycką, posyłała znaczną część swych towarów tym suchym polskim traktem na Ruś.

Drugi, wzdłuż Karpat biegnący gościniec ruski, szedł z Krakowa na Jarosław, ten główny skład towarów i cła w tej stronie, ku Lwowowi, gdzie dwójka otwierała się droga. Jedna prowadziła ku południowi do Multan i Wołoszczyzny, mając ostatnim celem Czarogród. Druga dążyła w stronę wschodnią, Podolem, ziemią tatarską ku Czarnomorzu. Osobiście ten tatarski gościniec opłacał się hojnym zyskiem za wszystkie trudy. Półwysep Krymski i okolice ujścia Donu do Czarnomorza, osiedlone bogatymi koloniami geneuńskimi i weneckimi, stanowisko całego karawanowego handlu między Europą a Azją, olbrzymi bazar kosztownych towarów orientalnych z Chin, Indyj, Małej Azji — świeciły kupiectwu europejskiemu oddawna obiecaną ziemią urokiem. Ztąd posiadanie wolnej drogi handlowej przez Ruś Czerwoną, t. j. posiadanie samej Rusi Czerwonej, było również gorącym żądaniem kupców krakowskich, jak z innych pobudek duchowieństwa i szlachty.

Od Kazimierzowskich też czasów starali się kupcy krakowscy wykluczyć najprzód wszystkich kupców zagranicznych od tego handlu, następnie zaś uwolnić się od przymusu „składania” towarów swoich we Lwowie. Póki król Kazimierz żył, działało się dobrze kupcom krakowskim... Z wykluczeniem wszelkich kupców zachodnich, mianowicie czeskich, szlązkich, wrocławskich, zmuszonych przez to do zakupywania sobie towarów orientalnych w Krakowie, handlowali Krakowianie swobodnie aż po Czarne morze i Don.

Lecz od czasów króla Ludwika, a zwłaszcza po objęciu Rusi Czerwonej przez Władysława Opolczyka i późniejszym wcieleniu jej do Węgier, zmieniły się stosunki.

Kupcy zagraniczni, mianowicie pruscy, toruńscy, znaleźli wspaniałego w Ludwiku łaskodawcę. Podczas gdy dla nich przywileje królewskie warowały wolną drogę na Ruś, kupcom krakowskim zaczęto teraz zagradzać dalszą drogę ku stronom wschodu, utrzymując, że mają prawo handlować jedynie aż po Lwów, gdzie z trzeciej ręki zakupywać mogą towary wschodnie. Zaczem, bez zysku dla Rusinów, ile że odjęte polskiemu kupiectwu korzyści spłynęły nie na nich, lecz na Prusaków, nastąpiło dla Krakowian krótkie omdlenie tego handlu wschodniego. Przypadło to właśnie w porę przyjścia Jadwigi, od której przez to i nasi kupcy krakowscy nie mieli nic pilniejszego do żądania, jak zwrotu Rusi Czerwonej. Cóż dopiero, gdyby za jej przyczyną mogło nastąpić połączenie Polski z Litwą, panującą właśnie nad dalszemi szlakami tego handlu wschodniego, nad Wołyniem i Podolem po Czarne morze, gdzie przy lasce polsko-litewskich ksiąząt mógłby ten zyskowny handel w trójnasób ubezpieczyć się i ustalić.

Wywożono na wschód i zbywano najczęściej już po drodze, po ziemiach ruskich, przedewszystkiem wyroby przemysłu zachodniego, których i Polska nie miała dostarczać. Były to fabrykaty sukienne, złotnicze, miedziane, platnerskie i t. p. Przywożono zaś natomiast bogate towary orientalne, drogie kamienie, złotogłowy, kobierce, przednie rzeczy skórzane, bakalie i t. p. Wszystkie te artykuły handlu miały wówczas daleko większe zastosowanie w życiu, niż dziś, a nie musiały walczyć ze współzawodnictwem fabryk zachodnich. Płynęły więc niezmiernie z nich korzyści i bogacili się kupcy takimi nawet towarami, o których obecne pokolenia zgoła nie wiedza.

Należy tu osobiście ów rodzinny towar Rusi Czerwonej, czerwiec farbierski, od którego ona po-

wziąć miała swą nazwę, a którego nadzwyczajna wówczas ilość i użyteczność nie da się już wcale pojąć obecnie. A przecież jeszcze w sto kilkadziesiąt lat po Jadwidze pamiętano nadzwyczajną pokupność tego towaru. W czasach bliższych Jadwidze rozechodził się czerwiec ruski drogą krakowską po całej Europie, po targach włoskich do Genui i Florencyi, nawet do miast azyjskich, zastępując wszędzie nieznana jeszcze w lepszym gatunku farbę czerwoną, nadzwyczajnie poszukiwaną do farbowania sukien, safranów i t. p. Jakoż znaczna ilość owego w Polsce wyrabianego sukna, znaczna część onej czerwieni, która, jako obyczajowa odznaka szlachectwa świeciła na karmazynowej szlachcie polskiej i zagranicznej, zafarbowywała się ruskim czerwcem.

I powinowacił się ten materiał farbiarski innemi jeszcze względami z ówczesnem suknem polskiem. Jak obfite wyrabianie sukna głównie w obfitszym chowie owiec przyczynę miało, a obfitszy chów owiec z ówczesną nieuprawnością szerokich obszarów ziemskich się łączył, tak też uprawie czerwca ruskiego dogadzał bardziej dziewiczy stan ziemi, nie znającej pługa i bruzd, oddanej szerokimi obszarami swobodnemu krzewieniu się rośliny czewcowej i gnieźdźcego się w niej owadu czewcowego. Gdy tłumniejsza ludność zachodu dozwoliła przemysłowi fabrycznemu w niespodziewane urosć rozmiary; gdy koszenia amerykańska okazała się farbowniejszą od czerwca; gdy wreszcie coraz więcej pastwisk owczych w Polsce, a pól czewcowych na Rusi zaczęło iść pod uprawę rolniczą—ubyło dawnych towarów w handlu i razem z przewożoną przez Polskę niezmierną ilością miedzi zniknęły sukna polskie w Nowogrodzie i Flandryi i zniknął czerwiec ruski we Włoszech.

Ku zachodowi mieli Krakowianie przed sobą wcale bliższy targ zagraniczny. Otwierały się tam znamienite miasta handlowe: na Szlaku Wrocław, w Czechach Praga, w Rakuziach Wiedeń. Szły w tę stronę z płodów krajowych te same po największej

części towary, co na północ, t. j. miedź, ołów, sól, miód, воск, łój, bydło, w szczególności woły, mięsowa wędzone, futra, smoła i t. p. Oprócz tego największa część przywożonych do Czarnego morza towarów wschodnich ciągnęła dalej ku zachodowi, na targowiska Niemiec i Włoch. Przywożono zaś z tamąd broń, której wyrób w Polsce, jak różne głosy ówczesne uskarżają się, był zawsze niedostatecznym, odzież gotową, sól, korzenie, wino, śledzie i t. p. Wszakże, o ile cały prąd dziejów parł głównie z zachodu ku wschodowi, o tyle i ten handel polsko-niemiecki ulegał powszechnemu parciu stosunków i płynąc walczył z Niemiec ku Polsce, niż na odwrót, był w ręku cudzoziemców. Podczas gdy sami kupcy krakowscy, posłuszni nadmienionemu prądowi uniwersalnemu, cisnęli się najgoręcej ku wschodnim stronom, towary handlu zachodniego bywały przywożone do Polski przez kupców wiedeńskich, wrocławskich, czeskich i dalszych hanseatycznych.

Był to zaś tak korzystny handel, że wszystkie uczestniczące w nim miasta starały się przywłaszczać go sobie wyłącznie. Osobliwie między Wrocławiem a Pragą z jednej, Wiedniem zaś z drugiej strony, toczyły się długie spory w tej mierze. Właśnie w latach przyjścia Jadwigi uzyskały sprzymierzone z sobą miasta Wrocław i Praga u czeskiego i niemieckiego króla, Wacława, wykluczenie kupców wiedeńskich od handlu z Polską. Jakoż zwłaszcza Wrocławianom szczęściło się na targach polskich, będących głównem źródłem ich bogactw. Zakupowane tam towary orientalne szły przez ich ręce w dalekie strony zachodu, aż do Wenecyi. Zupełna zmiana stosunków wszystko dziś w innym przedstawia świetle; wówczas atoli, przed odkryciem Ameryki i przyładka Dobrej Nadziei, znaczna część bogactw obudwóch Indyj płynęła złotym strumieniem przez ziemie polskie. Jak Lwów, tak i Kraków był znamieniem stanowiskiem handlu wschodniego.

W posiadaniu takich kanałów obrotu, wywołując

ku północy największą krajowych produktów ilość, jeżdżąc ku wschodowi po towary oryentalne, mając wreszcie od strony zachodu w kupiectwie południowo-niemieckiem, cisnącem się tłumnie do Krakowa, getowych nabywców swego towaru różnostronnego, nie potrzebowali kupcy krakowscy sojuszków z handlowcami związkami zagranicznymi, jak np. z Hanzą niemiecką. Lubo więc wspomniano niekiedy na pochwały Krakowa, iż należał do wielkiej Hanzy zachodniej, nie można do tej jego sławy wielkiego przywiązywać znaczenia. We dwa lata po traktacie kożyckim dzieje się w aktach hanzeatyckich pobieżna wzmianka o Pradze, Wrocławiu, Lignicy i Krakowie, w których to miastach najwyższa zwierzchność hanzeatycka zalecała kotlarzom i cynownikom używać w swoich wyrobach kruszeu czystego. W trzydziści lat po śmierci Jadwigi wymieniony jest Kraków w tychże aktach, jako usuwający się stanowczo od wielkich obrad hanzeatyckich. Oprócz tych dwóch napomnień, nie znajdują się ani za granicą, ani w samym Krakowie dalsze w tym względzie ślady. Najwyższa władza krajowa była zapewne przeciwną podobnemu poddawaniu się miastu pod jakąkolwiek zwierzchność obcą. Jak w tej samej myśli przecięta została przez Kazimierza droga do najwyższego trybunału magdeburskiego, tak prawdopodobnie i związki z Hanzą doznawały pohamowania. Nie za granicą więc, nie w stosunkach ze stołecznymi miastami Hanzy, ale na rynkach Lubeki, Bremy, Hamburga, szukało kupiectwo krakowskie pola popisów. Starczył temu sam Kraków, a Hanza z Magdeburgiem zacierały się coraz obojętniej w pamięci.

Samo też, z wykluczeniem wszelkich, ile możności, spółzawodników, pożywało kupiectwo krakowskie bogate handlu ówczesnego korzyści. Był on już daleko wymyślniej rozwiniętym, niżby się zgadzało na pozór z prostotą czasów. Przy wypłatach nie zadowalał go lada pieniądź; potrzeba mu było często niszczać się monetą zagraniczną, jako lepszy mającą

kurs. A gdy, za przykładem kupców, także szlachta krajowa, tak świecka, jak i duchowna, zaczęła od kmieciów swoich żądać wypłaty czynszów i dziesięcin w monecie zagranicznej, musiał król Kazimierz „pod utratą gardła i majątków” nakazać, „aby żaden arcybiskup, biskup, kanonik, prałat, proboszcz, lub jakakolwiek osoba duchowna, a z osób świeckich: żaden starosta, baron, szlachta, albo nieszlachta, nie ważyli się wymagać innej od poddanych monety, jak tylko monety, czyli pieniędzy królewskich, w królestwie kurs mających, a to z tej przyczyny, że gdyby się działo inaczej, moneta króla Jegomości w wieczystej pozostałaby wzgardzie”.

Dzięki pozawiazywanym już w najdalszych stosunkach kupieckim, używano w handlu odleglejszym oddawna monety papierowej, weksłów, poznanych przez Europejczyków naprzód w handlu na wschodzie, a potem przez Żydów po całej Europie upowszechnionych. Czy zaś brzęczącą, czy papierową wypłacano monetą, niezmiernie zawsze korzyść płynęła z targu. O mierze ówczesnych zysków handlowych może nam dać wyobrażenie stopa procentu średniowiecznego. Owoż, jeszcze za Kazimierza Wielkiego procentem urzędowym, uświęconym powagą statutu wiślickiego, było pół grosza na tydzień od każdej grzywny, to znaczy na rok od 48 groszy kapitału 25 groszy procentu. W trzydziści lat później niezmiernie niskim procentem, jaki królowie niekiedy wyjednywali u podległych zwierzchnictwu swojemu wierzycieli, był już tylko 1 grosz na miesiąc od 1 grzywny, to znaczy: na rok od 48 groszy kapitału 12 groszy procentu.

Przy tak zwanych wyderkafach, lub „kupnach czynszu”, najpewniejszym i najłatwiejszym dla wierzyciela rodzaju pożyczek tamtoczesnych, kupowano zwykle sumą 10 grzywien procent 1 grzywny czynszu rocznego. Jakież dopiero bywał procent nieprawy, jakie zyski ciągnięto z handlu, dającego się zamienić

w monopolii. W zapale chciwości średniowiecznej nie wzdragano się zdzierstwa jawnego, nawet oszustwa. Owszem, szczegółowe opisy handlu owych stuleci pełne są wzmianek o różnorakich oszukaństwach w gatunku, miarach i sprzedaży towarów. Osobliwie moneta sfalszowana służyła za zwyczajny środek oszustwa. Krążyło jej nader wiele po rękach ludzkich. Gdy, bywało, księża, po zebraniu jałmużny odpustowej, otworzą skarbonkę kościelną, znachodziło się le dwie nie w każdej setce monet po kilkanaście fałszywych.

Największym atoli zyskolubstwem i zdzierstwem grzeszyło bankierstwo owych czasów. Będąc niejako ostatnim stopniem kupiectwa, jakoby kupiectwem gotowemi pieniędzmi, spoczywało ono wyłącznie w ręku Żydów. Przywilejowały ich na to starodawne ustawy Kościoła chrześcijańskiego, wychodzące z zasady, iż tylko praca żywi, wszelki zaś „pieniądz bezpłodnym jest i martwym”. Ztąd wzbroniono chrześcijanom wypożyczania pieniędzy na procent, wzbroniono zwłaszcza lichwy, w ogólności wszelkiego handlu gotówką, zostawiając go wzgardzonym od społeczeństwa niechrześcijanom. Ponieważ zaś życie społeczne nie mogło obejść się bez podobnego przemysłu finansowego, więc korzystali Żydzi chciwie z pomyślnej wzgardy, ubezpieczającej im monopol operacyj lichwowych i żyli wyłącznie z pożyczek i procentów. Już to z własnej obojętności, już to z niechęci i zazdrości kupiectwa chrześcijańskiego wykluczeni od spółki w zwykłym ruchu handlowym, nie trudnili się oni handlem właściwym, lecz za to, czy to biskup na podróż po konfirmację do Rzymu, czy nasz Ziemowit Mazowiecki na wojnę o koronę, czy ktokolwiek inny zapotrzebował w innym celu pieniędzy, wszystkim Żydzi gotową natychmiast ofiarowali pożyczkę.

W takim razie moralna prostactwość wieku objawiała się osobliwszym trybem postępowania. Uboższymi ludziom pożyczali Żydzi chętnie pieniądze na goły podpis, gdy w przypadku nieuiszczenia się dłużnika

nie trudno było uzyskać wyrok egzekucyi i wyegzekwować sumę należną z jakiej takiej resztki ubóstwa. Ludziom możniejszym, względem których egzekucya nie miała podlegać trudnościom, nie powierzano szeląga bez zastawu. Dlatego chroniło zwyczajnie prawodawstwo klasę uboższą od ruiny lichewnej tem, iż zabraniało Żydom pożyczać na cyrograf, pozwalając jedynie na pożyczki zastawne, przez co zdzierstwo wierzycieli i krzywda dłużników bywały poniekąd umniejszane. Królowie zaś, chcąc najskromniejszą pożyczkę sumkę, musieli, jak Kazimierz Jagiellończyk, zastawiać srebra stołowe, albo nawet atlasową suknię królowej, nie gorszą w tej mierze od znanej nam tyary papieża Urbana VI w częstej zastawie u wierzycieli. Atoli ta powszechna nieufność, jeden z najszpetniejszych rysów obyczajowej epoki, źródło niezliczonych przy każdym zobowiązaniu się przysięg, dokumentów, poręk, zakładów i t. p., nie psuła dobrego porozumienia między lichwiącymi Żydami a publicznością. Tylko niektórzy królowie w ulubionych swych krajach, jak np. ojciec Jadwigi w Węgrzech, okazywali się surowymi względem Żydostwa, wypędzali je ze swoich granic.

Pospolicie, już to dla wygody poratowania się u nich gotową zawsze pożyczką, już też dla znacznych opłat od ich zarobku procentowego, bywali Żydzi pożądanymi powszedy gośćmi. Znale są łaski i przywileje, potwierdzone im z dawnych czasów przez Kazimierza W., a pozwalające wierzycielowi żydowskiemu, w razie nieuiszczenia się dłużnika szlacheckiego, wejść w rzeczywiste posiadanie zastawionych dóbr ziemskich. Za granicą, w Niemczech, zostawali Żydzi pod bezpośrednią władzą i opieką cesarzów, którzy tylko w szczególniejszy dowód łaski i przychylności darzyli książąt i panów przywilejami trzymania Żydów, poczytywanych powszechnie za źródło obfitego dochodu. Do krajów bez wszelkiego przemysłu, jak np. do ziem litewskich, zwabiano Żydów przywilejami zupełnej równości z szlachtą krajową, ile że każda Żydowi wy-

rzędzona krzywda, albo obraza, ściągająca tam karę, ustanowioną przeciw obrazie szlachcica. Zresztą nierównie mniej liczni, prawie jeszcze bez wyjątku zamożni, tylko w stołecznych miastach, jako najprzemysłniejsza klasa wielkomiejskiej ludności i wielkomiejskiego życia osiedli, nie różnili się Żydzi ówczesni ani strojem, ani stopniem wykształcenia od chrześcijan. Jakoż żyli oni z chrześcijanami na zwykłej stopie towarzyskości, ucztowali z nimi przy jednym stole i lubo już statut wiślicki gorzko o ich zdzierstwie wyrażał się, uważani byli w powszechności bez onego wstrętu religijnego, jaki dopiero późniejsze wzbudziły zajścia — uchodzili za możnych, przebiegłych cudzoziemców.

Już to więc bankierstwem podobnem, już też zwyczajnym handlem dorabiało się kupiectwo średnich wieków niepospolitych dostatków. Mieszczanie, kupujący dobra ziemskie, należeli do powszednich przykładów zamożności. Majętniejsi byli w stanie wchodzić w spekulacye pieniężne z książętami, pożyczać pieniądze monarchom zagranicznym, jak np. późniejszemu cesarzowi Karolowi IV, zadłużonemu za czasów Kazimierza W. u krakowskich mieszczan, Wierzyńska i Kępicza. Najbogatsi, jak tenże sam rajca krakowski, Wierzynek, podczas zjazdu wielu królów i książąt w Krakowie, na wesele wnuczki Kazimierza W. z cesarzem Karolem IV, mogli pięciu monarchów podejmować w swym domu i złożyć im w darze upominki, blizkie wartości stu tysięcy czerwonych złotych.

Dodajmyż do tego dobrego bytu mieszczaństwa średniowieczną żądzę bawienia się, a zdołamy powziąć wyobrażenie, jak wesołe życie wiódł nasz Kraków mieszczański. Zastosujmy zaś do wyobrażenia o powszechnej zabawie i wesołości znany już rys prostactwa umysłowego ludzi ówczesnych, a będziemy mogli zrozumieć, jak rubasznie jaskrawymi barwami świeciła ta zabawa mieszczańska, jak szumnie, zgieł-

kliwie i rozpustnie wynurza się wesołość naszych „bogaczy” krakowskich.

Przedewszystkiem wysiłał się każdy na przepych stroju. Nie pojmowano powagi i zamożności bez wystawy i bogactwa odzieży. Ztąd wszyscy urzędnicy i znamienitości miasta poczytywali sobie za obowiązek błyszczeć od srebra i złota. W ślad za pierwszymi patrycyuszami garnął się lada mieszczanin, lada rzemieślnik, nie chcący uchodzić za gorszego. Ta chęć dorównania każdemu, ten najsroższy ze wszystkich przymusów, przymus obyczajowy, ciążył dotkliwą plagą na domowem życiu mieszczańskiem. Już to więc dla przyniesienia ulgi w tej mierze, już też zawierowania sobie samym przywileju najokazalszej powierzchności, wydawała rada miejska częste w średnich wiekach prawa o zbytku w strojach, podobne do siebie we wszystkich miastach niemieckich, lub zniemczających. One to dostarczają nam rysów do obrazu strojności i zabaw miejskich.

I oto nawet w porze największego ograniczenia przepychu w strojach widzimy panów rajców i urzędników miasta w długim, szerokim płaszczu, w kapełuszu o trzech srebrnych gałkach, w szerokim, srebrnymi lamami wysadzonym pasie, czyli obręczu, u którego wisi kord w srebrnej pochwie. Kupiec ma na sobie jedwabny żupan, a na palcu obowiązkowy pierścień złoty, na którym wyrzeźbiony jest kupiecki jego *cech*, czyli znak. Każdy inny mieszczanin nosi suknie z pośledniejszego sukna, srebrnymi przecież haftkami i świecidłami upstrzone. Gdzie mniej surowa cenzura karciała przepych stroju, świecili panowie mieszczanie aksamitnymi szatami o szerokich, rozcinanych rękawach, srebrnych guzach i klamrach, z kosztownem szerokiem bramowaniem. Pod spodem bywały takie suknie podbite najdroższymi futrami, po wierzchu zaś dawna moda opinała je srebrzystymi obręczami, zawieszając na nie srebrno-oprawne torebki, czyli tobole, przyczepiała srebrzysty kord. Według prawa nie powinny były te ostatnie przydatki stroju zawierać w so-

bie więcej srebra nad 4 grzywny; drogie futra miały służyć tylko za podbicie kapeluszy o dużych kreskach, a bramowaniu, czyli pasamonom, wolno było mieć tylko jedną piędź szerokości.

Skromna, niewymyślna ludność polska, wierna w tem starodawnej prostocie Słowian, nawet w swej żeńskiej połowie bardzo mało wogóle troszczyła się do późnych czasów o pstrociznę i przepych stroju. Ztąd, jak cudzoziemcy z podziwem postrzegali, „gdyby nie rańtuch, ledwie mógłbyś rozróżnić strój męzki od żeńskiego”, rozróżnić jednostajne kożuchy i szuby ojców i braci od takichże samych kożuchów i szub niewieści. W zetknięciu z ludnością miejską patrzyli Polacy z najwyższem zadziwieniem na zbytkowność stroju miejskiego, a gdy z czasem i dla nich nadeszła pora większej strojności, musiał obfity słownik toalety niemieckiej przyjść w pomoc ubogiemu w tej mierze językowi polskiemu i utworzyła się owa dziwaczna polsko-niemiecka terminologia strojów, której dziś prawie zgoła nie rozumiemy.

Łatwo pojąć, iż strój dam miejskich był jeszcze zbytkowniejszym. Nawet w miastach oszczędnych musiało im pozwolić na aksamity do czepków, złotogłów do sukien i szerokie złote galony. Córkom rajców wolno było stroić się w wieniec z pereł albo ogniwek srebrnych, uboższym w jakiejkolwiek ozdoby i świecidla fałszywe. W miastach rozrzutańszych nie umiały panie miejskie znaleźć miary wysokości czepców i czubów, długości sukien. Napróżno nakazywały ustawy, aby żadna sukna ani falbana u sukni nie ważyły się być tak długie, iżby je ktoś trzeci mógł przydeptać, a czepcom broniło prawo wspinać się wyżej nad pół łokcia wrocławskiej miary. Wszakże panie mieszczańki nie dały się tem odstraszyć i w takich nawet miastach, gdzie umiarkowany strój męzki nie dawał powodu do zakazu i ograniczeń, w naszym właśnie Krakowie, przesatzały się w złotych i srebrnych pasamonach, haftach i wyszywaniach bądźto

perłami bądź złotem, osobliwie zaś w kosztownych kanakach, czyli ubraniu głowy.

Przeciwnie tym żeńskim zbytkom ustawy, wzbraniając kanaków i pereł na sukniach, złociстых pasamonów, zalecały skromne pasamony po 6 groszy łokieć krakowski. Licząc po 24 łokcie na suknię, była to w czasach drożyzny na bydło, nawet po królewsku płacąc za wołu, cena trzech wołów roboczych. W czasach grabieży i rozsyпки wojennej, jak właśnie podczas wojny Nałęczów z Grzymałami, można było za cenę takich skromnych pasamonów u jednej sukni panieńskiej kupić nierzadko 6 par wołów, a trafiwszy szczęśliwie, i całe stado, t. j. siedemdziesiąt i kilka sztuk po 2 grosze za wołu. A toć znane jest słowo zdziwienia, jakie przy wjeździe do jednego z ówczesnych miast flamandzkich wyrzekła królowa francuska na widok zbytkownej toalety witających ją mieszczek. „Myślałam — zawołała małżonka Filipa IV — iż jam tu jedna królową, tymczasem widzę ich sześćset!” Takiemu przepychowi w strojach hołdowały wszystkie bogatsze miasta średniowiekowe.

Wogóle starano się w tych miastach, jak zresztą w całym świecie ówczesnym, nierównie cheiwiej niżli w świecie dzisiejszym, o dogodzenie wszelkiemi sposobami ciała milemu. Były te starania zapewne daleko mniej wymyślne, subtelne, wykształcone, niż dziś, kiedy po dalszych półtysiącu leciech towarzyskiego pożycia umiejętność dobrego bytu musiała się koniecznie wydoskonalić. Lecz niższy w owych czasach stopień tej umiejętności nie sprzeciwia się bynajmniej nieskończeniu gorętszemu popędowi do jej praktyki. Owoż pieszcząc ciało kosztownym, błyskotnym strojem, umiało mieszczaństwo krakowskie pochlebiać mu jeszcze miękkim łóżem, długim spoczynkiem, smacz-nem jadłem. Piernaty, bety wysokie, bywały nierównie powszechniejszym przyborem łoża niż dziś. Przy ucztach weselnych, przy złogach mieszczek krakowskich świeciły jedwabne poduszki i piernaty, kosztownie tkane kołdry. Przerywanie snu urzędnikom

krakowskim zdało się tak bolesnem, iż osobne zastrzeżenia przywilejów króla Kazimierza nakazywały wszystkim po zachodzie słońca skrzywdzonym udawać się po sprawiedliwość do wójta i do nikogo więcej, „aby przymusem wstawania nocą z łóżek nie molestować panów ławników”.

Gdy zaś przypadkiem zdarzyło się, że panowie rajcy z powodu ubliżenia królowi poszli pod areszt, w którym żywiono ich na koszt miasta, nielada powszednia strawa godziła się tam więźniom królewskim. Gotował im osobno płatny kucharz, stały do wyboru różne rodzaje piwa i wina, dbano o świeży codziennie chleb i pieczywo. Panowie rajcy, przebierając w przysmakach, przestawali zaledwie na francuskim winie i jakichś delikatnych konfektach. W pozamieszczkańskich wykwiutności stołowej sferach posuwano wymysły gastronomii, jak o tem gdzieindziej nadmienimy, do nierównie wyższego jeszcze stopnia. Za toż traktamenty mieszczańskie bywały nieprzewyższenie wesołe.

Każdej uczcie, każdej uroczystości, każdej scenie pożycia towarzyskiego dodawały smaku tłumy obowiązkowych rozśmieszcicieli. Dzisiejszą rozrywkę teatralną, ograniczoną na jedno miejsce i jedną porę dnia, sprawiano sobie wówczas wszędzie i zawsze. Żądał wprowadzić rubaszny smak ówczesny od artystów przedewszystkiem śmiechu i żartów, i to śmiechu z całego gardła, a żartów ile możliwości sprasnych. Wszakże mimo taką jednostajność wymagań, potrafił ogół artystów ówczesnych rozramienić swoje rozśmieszcające rzemiosło w mnogie różnorodne gałęzie. Należąc do urzędowego kompletu ludności miasta, otrzymywali ci „wesołowscy” od rady miejskiej przywilej na pewną liczbę członków, po którą każdy niepowołany intruz nie długo bruzdzić zdołał kolegom upatentowanym.

Zaczynając od zabawników najpośledniejszych, mamy wymienić na pierwszym miejscu oprowadzaczy niedźwiedzi tańczących, przedrzeźniaczy i naśladow-

ców śpiewu ptasiego, tudzież innych tym podobnych mistrzów ulicznych, z którymi spotkaliśmy się już w opisie ziemi i obyczajów krzyżackich. Wyżej od nich stali różnoracy linoskoczkowie i kuglarze, bawiący widzów łamaniami sztukami, a tak niezbędnie potrzebni do uświetnienia każdej chwili solennej, że czy to młodą królowę przy wjeździe do Paryża, czy starego króla w bramach Krakowa, nie umieli mieszczanie lepiej zabawić, jak wywracaniem w ich oczach koziołkami najętej zgrai kuglarzy. Najrzeczniejsi, najdowcipniejsi z takich krotofilników, jak np. wspomniany już raz Sowizdrzał, ulubieniec czasów Kazimierzowskich, pozyskiwali szeroką sławę, odbywali nakształt dzisiejszych artystów podróże po miastach i krajach okolicznych i wspólnie z tymże niemieckim *Eulenspiegelm* plużyli nieraz w łaskach książąt i królów.

Jeszcze wyższy stopień zajmowali tak zwani rymownicy, czyli deklamatorowie, wygłaszający mowę, opowiadaniem, lub, gdy ich więcej zebrało się, dialogiem utwory ówczesnych poetów gminnych. Były to, jak widzimy, małe grona artystów dramatycznych, gotowych do popisów na każde zawołanie, pod każdym dachem. Z powodu zwykłej nieprzystojności swych deklamacyi uchodzili rymownicy w oczach rządu za ludzi zgorszenia i zepsucia, których według dostownego nakazu rozporządzeń Kazimierzowskich należało „wypędzić z koła biesiady i za drzwi wypchnąć”. Mniejszem niebezpieczeństwem groziła obyczajom opera tamtoczesna, złożona z najrozmaitszego tłumu śpiewaków i muzykantów. Sauli się oni po kraju w niezmiernej liczbie, w dziwnie pstrej zamieszce stroju, języków i instrumentów. Tu wędrowny Serb z gęślą opiewał bohaterów swojej ojczyzny; ówdzie wajdelota litewski, szczęśliwszy od swego w Malborgu wysmianego kolegi, bawił słuchaczy polskich hymnami na cześć Wejdwuta; gdzieindziej niemiecki pieśniarz z lutnią nucił rubaszne śpiewki miłosne; wreszcie gdzieś w cieniu lipy wiejskiej srebrno-brody dziad z lirą gło-

sił żale Ludgardy; u dworu zaś śpiewali „cytarzyści” nadwornici.

Wogóle wszelkie dzisiejsze zamięłowanie muzyki, jakkolwiek żywe i szeroko uorganizowane, niemoże iść w porównanie z wesołą średnich wieków ochotą do śpiewu i szumnej wrzawy tonów. Nie z tysiącem to lat wspomnień na barkach śpiewa ludzkość ochoczo. O połowę tego życia młodszy świat tamtoczesny nie tylko rad przysłuchiwał się gędźbie, lecz owszem, sam ile miał siły nucił, wyśpiewywał, przegrywał. Wesołą piosnką przy lutni uprzyjemniali sobie, jak wiemy, prawie wszyscy biskupi polscy chwilę wczasu miłego. Wesołym chórem witała ludność każdego miasta przybywających gości dostojnych. Wesołym wybuchem śpiewu rozpoczynało najwykwintniejsze towarzystwo gody taneczne. Nie płacono inaczej, jak śpiewając.

Ze wszystkich miast ówczesnych nie kochało się żadne tak namiętnie w muzyce, jak nasz Kraków. Komu rozum i uczoność nie mogły dać utrzymania, ten dźwięcznym głosem i znajomością muzyki łatwo dośpiewywał się chleba. Jeden z najślawniejszych mężów stulecia, zanim później zaczął uczyć filozofii Krakowian, żył pierwaj z wesołego przyspiewywania im za pieniądze. Zamięłowanie w muzyce wiodło do fabrykowania w Krakowie wcześniej, niż w wielu innych miastach, nowego kształtu i dźwięku instrumentów muzycznych, *klawikordów*, znanych już za Jagiellę. Toż gdy bywało zjawia się w Krakowie kaznodziejscy apostołowie zrzeczenia się zabaw i rozrywek światowych, jak np. święty Jan z Kapistrana, pierwsze pioruny ich pobożnej wymowy biją zwyczajnie w tę namiętność muzyczną.

Wtedy po skończonem pod gołem niebem kazaniu, uniesione zapalę religijnym tłumy słuchaczy ze łzami i wykrzykami skruchy wyrzekają się grzesznej namiętności, i oto tysiące pogruchotanych fletów, lutni, piszczałek padają w stos płomienny, rozżarzony u nóg uradowanego męża bożego. Wszakże i po-

bożnych wiele zwyczajów winno być swój początek temuż muzycznemu miłośnictwu Krakowian, a owa „słodka harmonia fletów i innych instrumentów dętych”, która niegdyś ze wszystkich wież Krakowa odzywała się codziennie poranną modlitwą na powitanie zorzy wschodzącej—ów hejnał starożytny, ograniczony później do jedynej wieży maryackiej, zdaje się niezaprzeczoną pamiątką tych czasów śpiewu. Nastał on prawdopodobnie za węgierskich rządów ojca Jadwigi, ile że nazwa jego wzięta jest z języka węgierskiego i znaczy w nim „jutrzeńkę”.

Tak strojnie, śpiewnie, ochoczo, wstępował za możny mieszczanin z małżonką w pożycie towarzyskie. Mieli oni oboje, tak mężczyźni, jak i kobiety, swe osobne w niem sceny i ceremonie. Mężczyźni dostojniejsi, po większej części kupcy, bawili się najpowszechniej w codziennych zgromadzeniach wieczornych, uorganizowanych w sposób rozrywkowych posiedzeń bractwa stałego. Wmożnych miastach ościenych, jak np. w Toruniu, Gdańsku, w miastach łużyckich, nie różniących się co do obyczajów mieszczańskich prawie niczem od Krakowa naszego, zwały się te bractwa ku pamięci sławnych biesiad króla Artusa i jego towarzyszy „zborami Artusowemi”.

W niedziele i w święta zaraz po wczesnym obiedzie, w dniu powszednie dopiero po niesporach, kiedy tak zwany „piwny dzwonek” zawezwał do spoczynku po pracy, zbierali się „bogacze” miejscy, z wykluczeniem rzemieślników, kramarzy i mężów, którzy jawną pojęli nierządnicę, w zwykłej sali kucpieckiej i tam pod przewodnictwem wybranej przez się starszyny, przy niezbędnym dźwięku szumnej muzyki zasiadali do kufła i rozmowy. Z nadejściem nocy zastawiano wieczerzę, po której wracały znowuż dzbany cynowe. Niekiedy zapraszano kobiety, a natenczas już to w sali, już to na dworze w dziedzińcu rozpoczynały się płasy i śpiewy.

Kto chciał, mógł w ciągu wieczora wchodzić w handlowe z kolegami umowy, od których przecież,

jako od wykroczeń przeciwko właściwemu celowi zabawy towarzyskiej, małą składał opłatę. Wykluczeni zaś mniej zamożni mieszczenie bawili się tymczasem po swojemu, równie wesoło i ochoczo, jak tamci, lecz nierównie rubaszniej, a często nawet nieobyczajnie. Działo się to osobiście przy tak zwanych „biesiadach porannych”, przy wieczornem „piwie braterskiem”, w tem liczniejszej zwyczajnie zgrai spijanem, ile że gdzieniegdzie prawa miejskie dla większego dochodu z szynków nie pozwalały wcale sprzedawać piwa do domu, nakazując pić je tylko „pod wiechą”, wyjąwszy w razie choroby.

Towarzystwo niewieścia jaśniała najokazalszym blaskiem dopiero w pewnych wypadkach peryodycznych. Należały tu przedewszystkiem złogi mieszczeń krakowskich. Były one porą najgęstszych odwiedzin żeńskich. Ile tylko znaleźć się mogło krewnych, bratanek, przyjaciółek, wszystkie śpieszyły do położnicy, starającej się zadziwić kosztowną pościelą, jedwabnymi piernatymi i poduszkami, złotogłowem kołdrami i czepcami. Nie przestając na samej pastwie próżności, łączyły się takie odwiedziny z obfitym rozlewem piwa, którem ówczesne panie miejskie tak chętnie się raczyły, że cała uroczystość niniejsza zwie się od niego *kindelbier*, „piwko przy nowonarodzonym”. Po szczęśliwym połoгу następował uroczysty pochód do kościoła, z niemiecką *kirchgang*, w tłumnym towarzystwie krewnych i przyjaciółek. Jeśli ich naliczono tylko dwadzieścia, znaczyło to, że gospodyni uroczystości zastosowywała się do oznaczonej wilkierzami miejskimi liczby, co oczywiście poczytywano za sknerstwo i niegościnność. Wystrzegano się tedy każda z pań miejskich zarzutu podobnego i ciągnęła po mieście w orszaku kilkudziesięciu matron. Za powrotem z kościoła pozwalały wilkierze sprawić przyjaciółkom ucztę przystojną. Rubasność obyczajów zamieniała ją najczęściej w nieprzystojną.

Cóż dopiero działo się przy weselach! Miano je za najświetniejszą uroczystość domową, wymagającą

wysilenia wszelkich dostatków. Ztąd ogłaszane były osobne wilkierze „o weselach”, wzmocnione potwierdzeniem królewskim, dążące do powściągnięcia zbytków. Tym to ustawom zawdzięczamy obraz godów weselnych. Już na tydzień przed właściwym obrzędem zgromadzają się goście na ucztę wstępną. Cały dalszy tydzień upływa wśród coraz żywszych uciech. Państwo młodzi i goście składają sobie dary nawzajem. Pan młody musi bogdaj kilku przyjaciół, panna młoda kilka przyjaciółek udarować całkowitem odzieniem nowem. Goście wywzajemniają się drobnostkami, albo gotówką.

Według wilkierza wolno było państwu młodym rozdać tylko cztery pary całkowitej odzieży i tylko po dwa grosze od mężczyzn i mężatek, po jednym groszu od pańien przyjąć w podarku. Mimo szczupłość tej kwoty, zbierała się z niej razem sumka niemała, wystarczająca do opędzenia większej części kosztów godowych. W ten sposób miał powszechny podówczas obyczaj obdarzania się wielce zrozumiałą podstawę. Wynikał on naprzód z powszechnej żądzy bawienia się, która takim podarunkowym ułatwieniem sobie okazuj do zabawy, uczt tłumnych, mnożyła je w nieskończoność. Następnie drażnił ten obyczaj nader tkliwą wówczas żyłkę chciwości, która, lubo rzeczywiście nie zyskując wiele na tych darach wzajemnych, miała zawsze przyjemną złudę, iż albo sama coś brała, albo pozwalała brać innym.

Udarowawszy się tedy wzajemnie, przystępowało do obchodu ceremonii samegoż dnia ślubnego. Pomawiali ją ludzie o brak okazałości, jeśli tylko 90 osób, nie licząc jednakże pańien, księży i kupców przejezdnych, miało w niej dozwolony wilkierzem udział. Do uweselenia tych gości służyło kilkunastu najetych kuglarzy, deklamatorów i muzykantów, ograniczonych wilkierzem do liczby dwunastu, t. j. 4 muzykantów, a 8-ju kuglarzy. Zaczynała się ceremonia od sutego śniadania, które również uchodziło za ładajakie, jeśli nie zastawiono na stole więcej, jak tylko przepisane

wilkierzem piwo i wino, z dodatkiem mięs w wołowych i skopowiny. Po śniadaniu udawała się panna młoda w towarzystwie całego tłumu niewiast (według wilkierza tylko dwudziestu) śpiewnym po ulicach pochodem do łaźni miejskiej. Tam strojono pannę młodą do ślubu, z którego nowym głośnym pochodem wróciwszy do domu, zasiadano do głównej uczy weselnej. Przedstawiała ona ciekawy widok. W ustrojonej zieleni sali, przy długich, wązkich stołach biesiaduje kilkudziesięciu gości, bez różnicy stanu i wieku, mężczyźni i kobiety, panny i księża, mieszczanie krakowscy i handlowi podróżnicy ze stron obcych, niekiedy kilku możniejszych Żydów z żonami. Przed nimi pienia się kufle z piwem i dymią się misy z jadłem, tak rozstawione, iż z każdej je zawsze po trzy osoby.

Razem ze zmysłem smaku rozkoszują także uszy i oczy. Przygrywa muzyka, brzmia rubaszne pieśni weselne, tłum kuglarzy bawi gości łamaniami sztukami, rymownicy niemieccy deklamują zastosowane do uroczystości oracye i dyalogi, pełne grubych żartów i jaskrawych aluzji, niekiedy zgola nieprzystojne i sprośne. Tymczasem po uprzątnieniu jednego dania następują nowe misy i nowe dzbany. Co więcej, gdy jedna uczta skończyła się, a nieleniwe towarzystwo wstawszy od stołu, ulżyło sobie tańcem kilkogodzinny, następowała druga i trzecia uczta. Czemu granicę chcąc położyć, nie pozwalały wilkierze więcej nad jedno posiedzenie u stołu, a przy tej jednej biesiadzie na więcej niżli pięć dań.

Nie zważano jednakże na to, również jak i na dalszy zakaz wilkierza, wzbraniający uczt poweselnich, odprawianych zwykle w oktawę ślubu. Owszem, główną w takim razie zabawę tańców przepłatano znowuż kilkakrotnym wypoczynkiem i posiłkiem u stołów, obchodzono solennie *przenosiny*, i co osobiście pochlebiało próżności, łączono chętnie z godami weselnymi publiczne po ulicach pochody, mogące okazać całemu miastu swoją zbytkowność. W tej myśli

przeciągał orszak weselny tłumnie i wrzawnie do łaźni, do kościoła, do domu pana młodego, wstępował po drodze do cudzych domów i wbrew wszelkim zakazom wilkierzowym, ucztował tam po całych nocach śród piasów i swawoli.

Zdarzały się naostatek zabawy i uroczystości, w których już nietylko pojedyncze rodziny, lecz cała ludność miejska uczestniczyła. Z tych najczęściej powtarzało się strzelanie do kurka, znane już w XIV stuleciu u mieszczan sąsiedniej ziemi pruskiej, a już w połowie XV wieku jako stary zwyczaj praktykowane w Krakowie, najsolennie w drugi dzień Świątek Zielonych, na tak zwanym *celstacie* na Kleparzu, wobec wesołego zbiegowiska całej stolicy. W trzeci dzień świąt wielkanocnych odbywał się wokoło zachodniej mogiły uroczysty obchód starożytnej „rękawki”, połączony z różnemi zapasami i igrzyskami. W wigilię oktawy Bożego Ciała przypatrywał się lud na dziedzińcu klasztoru Norbertanek widowisku „konika Zwierzynieckiego”, wyprawionemu przez licznych podobczas włoczków, czyli rybaków, na pamiątkę dokonanej przez nich dawnemi czasy przewagi bohaterkiej w wojnach tatarskich. Ileż to innych obrzędów i uroczystości podobnych, bawiących wówczas chciwą zabawy ludność, znikło do dziś bez śladu w zwyczaju i pamięci!

A taż sama młodzieńczość uczucia, której Krakowianie winni byli swoją ochotą do zabaw, przejmowała ich również ochotą gotowością do zadośćuczynienia wszelkim innym sprawom i potrzebom życia społecznego. Ztąd niepospolita poządlwość wziętku nie zamykała serca wzruszeniom dobroczynności; zmysłowe zamięłowanie w wygodach nie odejmowało wojennego pochopu do stawiania z orężem w obronie miasta. Te obadwa rysy ostatnie, miłośerność i wojenność publiczna, uzupełniające obraz ówczesnego życia miejskiego, nie występowały zaprawdę tak wydatnie w obrazie miast średniowiecznych, jakbyśmy dziś to radzi mniemali. Wszakże uboczne okoliczno-

ści działały nazbyt gwałtownie i wytrwale, aby nie rozbudzić uczuć wspomnianych. Duchowieństwo pu-kało ustawicznie przeróżnemi sposoby po jałmużnę do sere pobożnych, a brak wojska stałego, które dziś każdego niezołnierza uwalnia od obowiązków rycerskich, zdawał wówczas całą obronę miasta, całą odpowiedzialność za szkodę w razie napadu nieprzyjaciół na samoż obywatelstwo miejskie. Jakoż słuchało ono nieobojętnie upomnień duchownych do jałmużny i zbroiło się sierzdżicie przeciw nieprzyjaciołom.

Co do jałmuż, mając tu przedewszystkiem do broczynność ludzi względem ludzi na oku, mniej nas obchodzi obfitość datków mieszczaństwa na budowę kościołów, których temi czasy tak wiele budowano w Krakowie. Ta bowiem miała zawsze własne dobro dawców, własną ich duszę na pierwszym celu; a jeśli z każdym kościołem łączył się zwyczajnie jakiś przytułek dla żebractwa, była to głównie zasługa duchowieństwa, zajmująca podrzędne miejsce w uwadze dobroczyńców. Rzadko kiedy pamiętali oni sami o materialnym pożytku swoich fundacyj duchownych. Jednym z ciekawszych wyjątków znamy nadanie klasztoru św. Ducha w Krakowie, zalecające „zbudować przy nim miejsce schronienia i poratunku dla ludzi ubogich, dokądby także mogły być znoszone potajemnie zrodzone dzieci, aby tam ocalały od uduszenia i utopienia.”

Zresztą mało wyraźnych zastrzeżeń na rzecz niedoli w podobnych zapisach średniowiecznych. Ztąd pamiętniejszym zwyczajem zda się nam udzielanie jałmużny bezpośrednio w ręce ubóstwa, praktykowane po każdym zwyczajnie nabożeństwie, po każdej mszy, przez rozdawanie chleba pomiędzy żebractwo zgromadzone. Największą jednak wagę przywiązujemy w tym względzie do obowiązków dobroczynności, wkładanych wówczas nierzadko na całe stowarzyszenia i zakłady publiczne. I tak np. czytamy w niejednej ustawie cechowej o powinności wzajemnego

wspierania się współczłonków, określonej dokładnie co do miary i sposobu jałmużny bratniej. Niektóre zakłady miejskie, jak np. tak ulubione podówczas łaźnie, miawały w pozwoleniu swojej fundacyi nałożony sobie warunek, aby jeden dzień w tygodniu poświęcały bezpłatnej usłudze ubóstwa świeckiego, a co dwa tygodnie służyły podobnie zakonnikom.

Obronność wojenna wymagała głównie starań o mury dokoła miasta i dostateczny zapas broni ówczesnej. Pierwsze, rozpoczęte jeszcze za Kazimierza W., miały dopiero w lat kilkanaście po przybyciu Jadwigi opasać miasto wszechstronnie. Wtedy to otrzymała każda część obywatelstwa miejskiego, cech każdy osobną część murów i basztę osobną do obrony codziennej. Wtedy nastali osobni dowódcy każdej baszty, dbający o utrzymanie jej w stanie należnym, tak zwani starostowie basztowi. Wtedy też pomnożyła się znacznie zbrojownia miasta, która już i teraz nie była do pogardzenia. Przynajmniej już w 10 lat po koronacyi Jadwigi, jak to z jednej ze zwyczajnych w tej mierze lustracyj okazało się, miało samo praedmieście Kazimierz 101 ciężkich kusz z łukami, rozpodzielonych pomiędzy cechy w stosunku do liczby głów w jednym cechu.

Posiadali w ten sposób kowale kazimierscy kuszy 4, piekarze 4, krawcy 5, tkacze 8, szewcy 14, rzeźnicy 36, gmina pospołu 30. Jeszcze większe zapasy oręża znajdowały się oczywiście w samem mieście. Pod względem wymagań orężności kierowały się miasta teutońskie zwyczajnie tą zasadą, iż w którym domu znajdowały się kosztowniejsze przybory stroju, jako to srebrne wience, kanaki, pasy, w tym musiały także znajdować się kosztowniejsze rodzaje broni. Wogóle nie odmawiano u nas wówczas żadnemu mieszczaninowi używania oręża, a niemiała część rzemieślników, jako to: płatnerze, łucznicy, pawężnicy i mnożdy inni, trudnili się wyrobem broni.

Jeśli zaś Kraków za dni Jadwigi w porównaniu

ze stanem miasta po latach kilkunastu wyglądał mniej warownie i zbrojnie, tedy zgadzał on się w tem z ogółem miast ówczesnych. Prawie wszystkie pobliskie miasta zachodniej Europy obmurowały się dopiero w tej samej porze XIV stulecia, w której i rycerstwo zachodnie przywdziało na się cięższą zbroję żelazną. Kiedy dawniejszymi czasy i miasta i wojownicy mieli nierównie bezbronniejszy, nierównie mniej groźny widok, teraz i osady ludzkie i ludzie najeżyli się srogim ogromem gładów, baszt żelaznych, przyłbic, koleczastych nakolanków, nagolenników i t. p. Zważając, jak gwałtownymi burzami wrzały one bezbronniejsze czasy poprzednie, można było mniemać, iż przy teraźniejszym najeżeniu się świata murami i żelazem, przy wchodzących świeżo w używanie działach ognistych, spłoną wszystkie narody w coraz krwawszym pożarze wojny. A tymczasem, wbrew wszelkim pozorom ludzkim, zorza spokojniejszego bytu, rządniejszego i świetlejszego pożyicia jaśniała już na widnokręgu...

Naostatek świadczyła o rzeźkości ówczesnych mieszczan sama ich gotowość do przesiedlania się z miasta do miasta. Jak ludność siół ówczesnych, tak osobliwie wędrowne kupiectwo i rzemieślnictwo miejskie zmieniało snadnie siedzibę. Sprawdziła się to mianowicie w przykładzie jednej z teraźniejszych rodzin mieszczaństwa krakowskiego, której nazwisko zasłynęło później po całym świecie. Jest to uboga mieszczańska rodzina Koperników, pierwotnie Koppirników, trudniąca się rzemiosłem. Pochodziła ona najprawdopodobniej ze Szlązka, mianowicie ze starożytnej osady biskupstwa wrocławskiego Koppernik, od której pierwszy założyciel imienia na podobieństwo nader wielu mieszczan ówczesnych, nazwanych od miejsca pochodzenia bez dodatku przyimka z, jak np. Paweł Piotrków, Wojciech Modliszewo, Mikołaj Budziszyn, Jan Zmigród, Mikołaj Chrzastów i t. p., otrzymał prostą nazwę Koppirnik, później Kopernik,

Płynąc powszechnym prądem kolonizacji ówczesnej, przybyli Kopernikowie w sześć lat po koronacji Jadwigi do Krakowa, gdzie im nadano obywatelstwo miejskie. W kilka lat później, około r. 1400, widzimy ich w Toruniu, dokąd zawędrowali bądź to z Krakowa, bądź bezpośrednio ze swojej pierwiastkowej okolicy rodzinnej, którą tem niewątpliwiej jest Szlązk, ile że ci toruńscy Kopernikowie, pisząc się w latach następnych „z Frankenstejnu na Szlązku,” sami nam skazówkę swego szlązkiego gniazda pozostawili. Dalsza wędrówka zaniósła Koperników na Ruś, do Lwowa, miejsca pobytu powroźnika Mikołaja Kopernika, przybysza z krakowskiego Kleparza. Po którym to rozkrzewieniu się w różnych stronach znikają Kopernikowie z czasem w tych wszystkich miastach, nietyłe zapewne przez wygaśnięcie, ile skutkiem zwyczajnej wówczas niestałości i zmienności nazwiska.

W ten sposób zagnieżdżali się, biesiadowali, kupczyli — mieszczanie krakowscy za dni Jadwigi. Podobnie jak w tłumie szlachty ówczesnej, tak też pomiędzy nimi brzmiały już wtedy imiona rodzin, powtarzane tak często w wiekach następnych. Już dookoła tronu przed ratuszem krakowskim, na którym teraz córka króla Ludwika odbierała hołd mieszkańców stolicy, można było oprócz dawnych panów Wierzyńków widzieć sławnych później Bonarów, Morsztynów, Fiolów, Wierzbietów. I nie potrzebowałeś szukać ich długo w tłumie, gdyż każdy cisnął się checiwie naprzód, przed oblicze młodej królowej, po darowiznę, po łaskę. W tym względzie mieszczaństwo onych lat współzawodniczyło godnie ze szlachtą ówczesną. Owszem, pierwszą łaskę rządów Jadwigi, jakiej pamiętać pisemna zachowała się dotąd, odnieśli właśnie mieszczanie. Nadmienię nam teraz o tych pierwszych urzędowych sprawach córki Ludwika.

Osobliwszy urok otacza początki pobytu Jadwigi w Polsce. Radziłyśmy uobecnić sobie każdy jej krok w tej porze, nieświadomej jeszcze wielkich

a smutnych losów, jakie ją tu czekają. Ztąd wszelki ślad teraźniejszych czynności Jadwigi, choćby tylko wydany w jej imieniu dokument, wielką dla nas ma wagę. Pojawiło się dotąd podobnych dokumentów i wzmianek o dokumentach jedynie dwie.

Pierwszy, wydany w Krakowie w trzy doby po koronacji, „w sam dzień św. Łukasza Ewangelisty,” t. j. dnia 18 października r. 1374, potwierdził niejakiemu Sydełowi, mieszczaninowi z Nowego Sącza, nabywcy wsi „Januszowa, inaczej *Sonnenschein*,” używanie prawa magdeburskiego, z jedynym zastrzeżeniem opłaty 6 grzywien polskich do skarbu królewskiego, z zupełnem zresztą uwolnieniem od zwierzchnictwa i sądownictwa wojewodów, kasztelanów i sędziów polskich, zamiast których za właściwy Sydełowi i jego kmieciom trybunał ma służyć „prawo teutońskie w królewskim dworze Sandeckim.”

Drugi dokument, wydany w Krakowie w dziesięć dni później, nazajutrz po św. Szymonie i Judzie tegoż roku, czynił zadość żądaniom jednego z możnych stronników rodziny królewskiej, znanego Leliwity Jaśka z Tarnowa, kasztelana sandomierskiego, tylekroć posła do Węgier po Jadwigę. W r. 1376, w czasie pobytu króla Ludwika w Bieczu, otrzymał ówczesny „starosta ziemi Radomskiej,” Jaśko z Tarnowa, zapewnienie królewskie, jako wszystkie szkody w wojnie z jakimikolwiek nieprzyjaciółmi królewskimi mają mu być całkowicie ze skarbu królewskiego zwrócone. Zaraz po koronacji potwierdza córka Ludwika wiernemu Leliwicie toż przyrzeczenie, dające prawo do wymagania od Jadwigi tytułem wynagrody za hojnie obliczone straty wojenne nie lada intratnej królewskiej.

A godziło mu się spieszyć z żądaniem, gdyż uzyskana obecnie łaska należy do ostatnich śladów teraźniejszego kasztelana sandomierskiego z domu Tarnowskich. Po niedługim czasie przeszło kasztelanstwo sandomierskie na dotychczasowego kasztelana

„ziemi Sandeckiej,” Krzesława Kuroźwęckiego „z Chodowa.” Z obudwóch głównych urzędów sandomierskich, województwa i kasztelanstwa, piastowanych temi czasy przez dwóch Jaśków z Tarnowa, przez stryja i synowca, pozostało odtąd przy naszych melżyńsko-tarnowskich Leliwitach jedynie województwo. Dzierżył je przez mnogie jeszcze lata „najukochańszy brat” wojewody krakowskiego, Spytko z Melsztyna, Jaśko Tarnowski, niebawem jeden z najpierwszych możnowładców korony. Co Leliwitom ubyło z kasztelanstwem Jaśkowem, to późniejsza fortuna pana wojewody na Sandomierzu stokrotnie wynagrodziła.

Trzeci ze znanych dokumentów Jadwigi w Krakowie d. 7-go stycznia r. 1385 w obecności Leliwitów: Jaśka z Tarnowa, kasztelana sandomierskiego, i Spytko, podkomorzego krakowskiego, spisany, wynagradza zasługi „szlachetnie urodzonego Spytko,” zapewne podobnie Leliwity i stronnika Jadwigi przez nadanie prawa magdeburskiego jego wsi Lisów w pobliżu Jasła.

Jeden z dalszych dokumentów, ułożony w Krakowie d. 12-go maja r. p. 1385, dotyczył z pewnością innego stronnika rodziny andegawenskiej. Był to Piotr Kmita, kasztelan lubelski, również ważny uczestnik w dziele utrzymania korony polskiej Jadwidze. Przed dwoma laty uzyskał on był od ówczesnego pretendenta do tronu Piastów, margrabi Zygmunta Luksemburczyka, poświadczenie kupna wsi Odrowąż w powiecie opoczyńskim, co królowa Jadwiga nowym obecnie potwierdza przywilejem.

Następny dokument wyszedł również w Krakowie d. 23-go października r. 1385, a ustalił przyjazne stosunki z dawnym przeciwnikiem sukcesji żeńskiej i domu królewskiego a przyjacielem Ziemowitowym, biskupem poznańskim, Dobrogostem z Nowego Dworu. Razem ze swoimi bratankami: Niemierzą, Janem i Abrahamem Nowodworskimi, otrzymał on teraz od królowej zapewnienie znacznej sumy pieniężnej,

za którą, według powszechnej praktyki onego czasu, „obligowano” wszystkim razem, t. j. puszczone w posiadanie dwa królewskie zamki i miasta, Międzyrzecz i Kościan w Wielkopolsce.

Szósty dokument, ogłoszony w Krakowie d. 1-go grudnia r. 1385, a zgodny z przemagającym teraz w Polsce nowym łaodem społecznym, uznawał ważność działu familijnego. Uczynili go między sobą przed laty ośmiu bracia Cztanowie, dziedzice dóbr Strzelce, bratankowie byłego arcybiskupa gnieźnieńskiego, Janusza, zamożni, jak się zdaje, panowie, ile że jednemu z trzech braci, Jakuszowi, dostało się działem wsi 11, pomiędzy którymi dzisiejsze miasteczko Dukla. Obecnie królowa Jadwiga temu w roku 1377 przed sądem ziemskim sandomierskim znanemu działowi nadała swoje potwierdzenie królewskie.

Dwa dalsze dokumenty były aktami pobożności. Jednym z nich, wydanym r. 1384, wznawia młodociana królowa fundacyę altaryi Wniebowzięcia N. Panny w kościele na zamku krakowskim, uczynioną jeszcze przez Kazimierza W. Drugim, z r. 1385, założyła Jadwiga w Bochni na prośbę mieszczan kościoł i klasztor Dominikanów. Osobliwie ta ostatnia fundacya zajmowała uwagę ludzką. Tymczasem, jak często bywa, co w obecnej chwili zdało się główną rzeczą, to z dłuższym lat przeciągiem zgasło w pamięci, a co prawie niepostrzeżenie nastąpiło, to z czasem w powszechną wzmogło się sławę. Dziś napróżno szukamy zatraczonych zgoła wiadomości o bliższych losach bogobojnego zakładu w Bochni, który w ów czas miał za sobą względy ludu, młodej królowej i papieża; a przeciwnie wówczas mało kto wiedział o nastaniu przybytku pobożnego, który później stać się miał narodowi jednym z głównych skarbów duchownych.

Mówimy tu o wizerunku i świątyni Bogarodzicy Częstochowskiej na Jasnej Górze. Zastąpienie obojga w pierwszych latach naszej młodocianej królowej go-

dzi się poczytać im za nader błogą ozdobę. Jak ręka Jadwigi podwoiła następnie materyjalną potęgę kraju, tak wzrastająca teraz świątynia pustelnicza nad Wartą posłużyła mu później za niewyczerpane źródło natchnienia. Cokolwiek zaś w chwilach niedoli wskrzesza siłę moralną, to nigdzie nie może być obojętnem. Dlatego mniemalibyśmy niedostatecznym obraz przyjsia Jadwigi, gdybyśmy nie wspomnieli o współczesnem nastaniu tej świętości, która tak urocze rozpościera nań światło.

Historyczny początek najsłynniejszego z cudownych miejsc dawnej Polski łączy się z całym szeregiem zjawisk podobnych. Na całej przestrzeni katolickiego świata krzewiła się wtedy coraz bujniej nieposwzedniona jeszcze chwała tej Matki Zbawiciela, której wizerunek przybył teraz do Częstochowy. Już wprawdzie od pierwszych wieków chrześcijaństwa słynęła w świecie cześć Bogarodzicy, będąca zawsze przedmiotem mnogich rozpraw i dociekań teologicznych. Wszakże od niejakiemu czasu przed wypadkami naszej powieści, mianowicie od XIV w., rozrosła się ta cześć w nierównie szersze i świetlejsze rozmiary, a co z owych rozpraw uczonych zwyciężkim wypadło rezultatem, to obecnie przeszło w powszechną wziętość i wiarę.

Przekonywa o tem najjawniej liczba dni uroczystych, poświęconych czci Matki Boskiej. Pomiędzy jej kilkunastu większymi i mniejszymi świątami, znanymi dziś kościołowi rzymskiemu, zaledwie 5 sięga czasów dawniejszych od Jadwigi. Od drugiej połowy XIV stulecia po schyłek XV w., w przeciągu lat kilkudziesięciu, nastąpiło 6 nowych świąt, jako to: Ofiarowania, zaprowadzone w kościele zachodnim przez papieża Grzegorza XI; Nawiedzenia, ustanowione przez Urbana VI; *Patrocinii*, przez Benedykta XIII; Zaślubin, Siedmiu Boleści, N. Panny Snieżnej. Prócz tego pomnożono wigilią i postem dawne święto Narodzenia i upowszechniono miejscowe dotąd święto Poczęcia. Poczem, uzyskawszy tak uświęcenie kościelne, rozlał

się ten „tajny pociąg uwielbiania Bogarodziey” krociem pobożnych zwyczajów i ustanowień po całym życiu ówczesnem.

I nie był to pociąg przypadkowy, niezrozumiały. Działy na niego różne wpływy czasowe. Pomijając inne, ważniejsze, nieraz już przytaczane, wspomnimy o jednej podrzędnej okoliczności. Acz niezdolna rozjaśnić całą tajemnicę pobożną, przyczyniła się ona niemało do przejęcia serc ludzkich uczuciem uwielbienia owego. Mówiliśmy już kilkakrotnie o młodzieńczej swobodzie umysłu tamtoczesnych pokoleń, o ich weselu wewnętrznem, śmiejącem się pełną piersią do świata i wszystkich jego uciech. Ta lekka, swobodna myśl, posuwająca się aż nazbyt często do zupełnej płochości, ułatwiała wówczas obojętne znoszenie tyśiąca klęsk, które przerażają rozważę ludzi dzisiejszych, znachodziła dziecinną pobudkę do wesołości i śmiechu w chwilach i rzeczach, które *my* oziębłością albo powagą zbywamy. Toż płochoradosne usposobienie wywnętrzało się dalej powszechną namiętnością zabaw, nieskończenie częstszych i szumniejszych, niż dziś.

Księgi dziejów nie mają zwyczaju zajmować się szczegółowym opisem scen wesołości codziennej. Potrzeba dopiero pilnego wczytania się w kroniki średnich wieków, aby pojąć dokładnie, do jak wysokiego stopnia posuwała się ta namiętność godów, piasów, rozrywek. Bawiono się do upadłego, zawsze i wszędzie, na dworze królewskim, w kole panów i pań turniejowych, w domach mieszczkańskich, w ratuszu, w klasztorze, nawet w kościele. W tym ostatnim owe przez papieży tak często wzbranianie widowiska i maskarady pobożne, owe rubaszne obchody głośnego *święta ośłów* i innych, dopiero po długich trudach duchowieństwa albo zupełnie ustąpiły, albo skromniejszą przybrały postać. Jakoż niepodobna nie przyznać, że sama niezmierna mnogość świąt uroczystych, odrywając tak często i na tak długo od pracy, dodawała czasu i ochoty do wesołych godów i piasów. Sami

też ludzie onego czasu dziwowali się swej własnej wesołości, i zastanawiając się nad jej źródłem, kładli ją na karb rozprężenia umysłów po kilkakrotnie wzmagających się dżumach.

Owóż czas taki nie był odpowiedni do pobożności surowej, do skruchy i pokuty, do polegania na zasłudze swoich dobrych uczynków. Potrzeba mu było przede wszystkim zaufania w nieskończoność miłości Bożego, potrzeba mu było łaski, przebaczenia, odpustu. A w takim dziecięcounym usposobieniu, coż naiwnemu ówczesnej ludzkości umysłowi mogło wróżyć łatwiejsze dostąpienie tej łaski, jak wstawienie się u Boga uosobionej miłości rodu ludzkiego, jak pośrednictwo Matki miłosierdzia w niebiesiech? Nie śmiać tedy stawać osobiście modłami swemi przed Bogiem, którego zdawna nauczono się pojmować surowym i wymagającym, garnęła się ludzkość w przestankach swego wesela z ufnością kochającego dziecka do stóp swojej Matki niebieskiej po łaskę u Syna obrażonego. Jest to właśnie jedna z najpiękniejszych chwil w historii religijnego życia ludzkości.

Zaczem, co tylko w nabożeństwie dotychczasowem odnosiło się ku czci Matki Boskiej, to obecnie nadewszystko pociągało ku sobie serca ludzkie. Teraz dawna modlitwa „Pozdrowienia anielskiego,” dzięki papieżkiemu w roku 1327 zapewnieniu indulgencji wszystkim odmawiającym ją na kolanach, największe znalazła upowszechnienie. Teraz dawny przepis kościelny, poświęcający sobotę, dzień męki Pańskiej, nabożeństwu do Matki Boskiej, jako jedynej niegdyś duszy ludzkiej na ziemi, która na widok syna na krzyżu nie zwątpiła w jego zmartwychpowstanie — skoro w całym świecie katolickim osiągnął posłuszeństwo. Teraz od r. 1318 zaprowadzony został obyczaj dzwonięcia pod wieczór ku czci Bogarodziey na „Anioł Pański.” Liczba dawnych modłów do Matki Boskiej powiększyła się niezmiernym przyrostem pochwał wierszem i prozą. Upowszechnił się ułożony w XIII

wieku psalterz N. Panny, w którym wszystko, co Dawid śpiewał o Bogu, zastosowano do jego Matki Najświętszej.

„Śpiew kościelny—mówi jeden z uczonych dziejszych — był w tym czasie prawie wyłącznie poświęcony uwielbieniu Bogarodzicy.” Wszystkie stany ubiegały się o pierwszeństwo oddania hołdu Królowej niebios. Jak się rozumie, przewodniczyły w tem osobliwie zakony owego czasu. Karmelici czcili Ją w drugiej połowie XIII stulecia zaprowadzeniem Szkaplerza, który dał powód nastaniu bractwa szkaplerzowego i święta Matki Boskiej Szkaplerznej. Dominikanie dorównali Karmelitom ustanowieniem Różańca, od którego wzięło początek bractwo różańcowe i święto Matki Boskiej Różańcowej. Franciszkanie wstawili się zwycięską obroną wiary w niepokalane poczęcie. Ze stanów świeckich, rycerstwo wszystkich krajów zaciągało się chętnie pod znaki orężnych zakonów Maryi Panny, jakimi na przykład byli rycerze pruscy, rycerze Bogardzicy—francuscy, utworzeni około r. 1380 przez króla francuskiego, Karola VI; rycerze N. Panny de Montesa, ustanowieni przez Jakóba II Aragońskiego w r. 1305; tak zwani rycerze gwiazdy, czyli Matki Boskiej Dostojnego Przybytku, obwołani około r. 1350 przez księcia Burgundyi Jana Dobrego.

Poeci, jak np. najslawniejsi śpiewacy Niemiec w onej epoce, Walter von der Vogelweide, Gotfrid ze Sztrasburga, Konrad Wireburski, tudzież mnodzy bezimienni, jak np. autor poematu „Pozdrowienia N. Panny,” najrozmaitszemi rytmami głosili chwałę Bogarodzicy. Gmin pobożny coraz tłumniejszemi pielgrzymkami zagęszczał drogę do słynniejszych jej świątyń. Większa ich część nastąpiła właśnie w tych czasach. I tak np. najstawniejszy z przybytków Maryi Panny, ów domek, w którym Ona w Galilei urodziła się, mieszkala i zwiastowanie Pańskie powzięła, stanął dopiero około r. 1295 w swoim teraźniejszym miejscu w Loreto, a dopiero stulecie naszej Jadwigi

rozstawiło go między ludźmi. Podobnie kilka innych świątyń cudownych, jak np. głośne na cały świat katolicki kościoły N. Panny w Marya-Cell w Styryi i w Einsiedel w Szwajcaryi, zasłynęły w tym samym XIV wieku.

Wtedy to i nasza Częstochowa wzięła początek. A jeśli czas jej nastania był porą powszechnego szczenia się czci Matki Bożej, tedy i naród, dla którego wzniosła się teraz świątynia pustelnicza na Jasnej Górze, okazywał się zdawna szczególnie oddanym chwale Bogarodzicy. Toć główne jego świątynie, jak np. kościół archikatedralny w Gnieźnie, katedralny w Kruszwicy, parafialny w Krakowie, zostały założone pod Jej wezwaniem. Najznamienitsi jego królowie, jak np. Bolesław Krzywousty, pamiętny osobliwym nabożeństwem do Matki Boskiej, której wizerunek miał nosić zawsze na piersiach, jak Władysław Łokietek, zaszczycony Jej cudownem w Wiślickich skałach widzeniem, uznawali Ją łaskawą opiekunką swych losów. Księżna polska, Kinga, Bolesława Wstydlivego małżonka, słynna cudownem w niemowlęctwie wymówieniem *Ave Regina*, przyczyniła się tym cudem niemało do powszechnej wziętości modłów, zaczynających się od tych wyrazów. Dość zresztą przypomnieć starożytność i wielką w całym kraju powagę naszej pieśni „Bogarodzica,” aby się przekonać o dawnym pochopie narodu do wzmiankowanej tu czci.

Mianowicie też w czasie, który wypiastrzał naszą Jadwigę i w gronie ludzi, którzy ją otaczali, daje się widzieć gorąca skłonność do coraz żywszej chwały Matki niebieskiej. Toć nawet ów płochy kanclerz króla Ludwika, biskup krakowski, Zawisza, nie zeszedł ze świata bez pamiętki swego nabożeństwa do Maryi Panny. Pozostała po nim znamienita fundacya siedmiu przy katedrze krakowskiej mansjonarzy, którzy swoim kolejnym śpiewaniem *officjów* do N. Panny sprawić to mieli, aby „zamek krakowski we dnie i w nocy brzmiał bezustanną jej chwałą.”

Dziad królowej Jadwigi, węgierski król, Karol Robert, odmawiał po 100, niekiedy po 200 „Zdrowaś Marya.”

Babka Jadwigi, Elżbieta, niemniej gorliwa czcielka Maryi, upamiętniła się odnowieniem kaplicy N. Panny Egipcjanki na zamku niższym. Nad wszystkich jednakże celował w tej mierze rodzony ojciec Jadwigi. On to wskutek ślubu bogobojnego przed rozpoczęciem wojny tureckiej około r. 1363 założył ową świątynię styryjską w Marya-Cell, która później razem z Częstochową tak głośno zasłynęła łaskami. On to na cały świat oznajmiał w swych dokumentach „że Przenajświętsza Panna wspiera go i chroni we wszystkich przygodach życia, dozwala mu swoją szczególną opieką tryumfować ze wszystkich nieprzyjaciół, i wszystko na tym padole ziemskim obraca mu w błogosławieństwo i szczęście.” Możemy ztąd poznać miarę, w jakich uczuciach względem niebieskiej patronki swojego ojca wychowana została córka Ludwika. Jakoż jednym z najwcześniejszych śladów jej pobytu w Krakowie widzieliśmy przed chwilą akt nabożeństwa ku Matce Boskiej, wznowienie altaryi Jej Wniebowzięcia.

W takim usposobieniu umysłów za granicą w kraju założony został monaster Najświętszej Panny w Częstochowie. Należała ta osada razem z przyległymi zamkami Olsztynem i Wieluniem, do posiadłości znanego nam Opolczyka, księcia Kujaw. Dzielono ją powszechnie na dwie części: Częstochowę Starą i Nową. Tamta, dawna wieś polska, przypierała do stóp samotnej góry, nazwanej Starą. Wznosił się na jej szczycie pochylony wiekiem kościółek, poświęcony N. Pannie.

Była to nader starożytna świątynia pierwotnej budowy z tramów jodłowych, niska, ciemna i nieozdobna. O pół milia ztamtąd nastąpiła z czasem większa, budowniejsza osada, miasteczko Nowa Częstochowa. Świetniejsza w każdym względzie od dawnej Częstochowy, przyćmiła ją Nowa także swoim

okazalszym, miejskim kościołem, dla którego skromna (ówczesnym wyrazem mówiąc) „cerkiewka” drewniana na Starej Górze poszła w zaniebanie u ludzi. Nie stało ją nawet na osobnego plebana. Miał go wprowadzić zastępować proboszcz Nowo-Częstochowski, lecz ten, zajęty służbą Bożą w swoim miejskim kościele, rzadko bywał na Starej Górze. Szczupła ludność Starej Częstochowy przyzwyczała się chodzić do miasteczka na nabożeństwo. Nikomu nie zależało na zgrzybiałej, opuszczonej świątyni. Gdyby ktokolwiek zażądał odstąpienia jej sobie, Nowa Częstochowa bez trudności zrzekłaby się swego nad nią zwierzchnictwa.

Korzystał z tego rozsądny i oszczędny Opolczyk, książę kujawski. Na wzór swego suwerena i dobrodzieja, Ludwika, miłował on wielce zakon pustelników św. Pawła, od lat kilkudziesięciu za Ludwikowego ojca Karola urosły w Węgrzech i rozmnożony. Dla przypodobania się Ludwikowi, któremu powszechnie przypisują wielki w tym razie wpływ na postanowienie Opolczyka, umyślił tenże zaprowadzić Paulinów w Polskę. Przyczyniła się do zamierzonej fundacyi inna jeszcze okoliczność. Wracając przed kilku laty z Rusi Czerwonej, przywiózł Naderspan pobożną z sobą pamiątkę, jakie zwykle z tamtych stron unoszą na zachód. Był to starożytny obraz Bogarodzicy na drzewie w stylu bizantyńskim, pochodzący pierwotnie z Grecyi.

Dostawały się ztamtąd obrazy takie w pobliże Polski jużto skutkiem bezpośrednich stosunków książąt ruskich z cesarstwem Carogrodzkim, jużto za pośrednictwem łupieżkiej Litwy, która plądrując greckie osady i klasztory Chersonu czyli Krymu, unosiła z nich bogatsze naczynia i obrazy, idące później sprzedaż lub zdobyczą z Litwy na Ruś. Napływało ich tym sposobem tak wiele w strony ruskie, iż nastąpiła tam osobna klasa podobnych zabytków greckich, zwanych powszechnie Chersońskimi lub Korsuńskimi. Gwałtowne uprzedzenie zachodu przeciwko greckiemu

chrześcijaństwu na Rusi skłaniało wszystkich katolików zachodnich, którzy bądźto wojenną bądź kupiecką wyprawą gościli w ziemiach ruskich, do uwożenia ztamtąd jaknajwiększej liczby takich upominków duchownych. Mniemano pospolicie, iż uprowadzane w ten sposób relikwie cieszą się z swego wyzwolenia z rąk greckich, z przejścia „w ręce prawdziwych chrześcian.”

Podobna myśl towarzyszyła (zdaje się) obrazowi, który Opoleczyk przyswoił sobie w jednym z zamków czerwono-ruskich, aby go przenieść na Szlązk, do swego rodzinnego Opola. Kilka dniami przed śmiercią króla Ludwika, w pierwszej połowie września r. 1382, kiedy spodziewany następca Ludwików w Polsce, margrabia Zygmunt, wraz z swymi doradcami oblegał Bartosza Wissemburczyka w grodzie Odolanowskim, znalazł się „Ruski” w swych posiadłościach Olsztyńskich, w Częstochowie, o kilkanaście mil od Odolanowa. Wtedy widok opuszczonej, łatwej do uzyskania świątyni na Starej Górze, zamiar zbudowania Paulinom klasztoru w Polsce i chęć stosownego umieszczenia wizerunku Bogarodzicy, odwiodły Opoleczyka od pierwotnego zamysłu. Zamiast przenieść relikwię do szląckiego Opola, postanowił on założyć monaster eremitów św. Pawła przy samotnym kościółku na Starej Górze pod Częstochową i poruczyć im obraz cudowny. Dnia 9 września w obecności księcia i jego dworu, mianowicie wielkorządcy książęcego Merboty, Frączka ochmistra, czterech burgrabów czyli starostów i trzech panów duchownych, skreślony został w miasteczku Częstochowie dokument fundacyjny, stanowiący po dziś dzień główną podstawę bytu monasteru Jasnogórskiego.

Oznajmiał tym dokumentem książę Władysław, iż dla zbawienia duszy swojej nadaje kościółek parafialny na Starej Górze przy Częstochowie braciom zakonu św. Pawła, w celu założenia konwentu. Na utrzymanie przeznacza fundator darowiznę pobliskie wsie Starą Częstochowę i Kawodrzę wraz z hutą że-

lazną i rybnikiem, tudzież folwark książęcy przyległy kościołowi. Nadto otrzymują Paulini dziesiątą część dochodów celnych w Ostrzeszowie i Nowej Częstochowie, dziesięcinę snopową w pięciu okolicznych siołach książęcych, dziesięcinę zboża i słodu z wszystkich książęcych młynów w Nowej Częstochowie i Żarkach i dziesięcinę z miodu w ośmiu wsiami innych. Wreszcie służy im uwolnienie od wszystkich danin i obowiązków, z wyjątkiem dwóch znanych groszów z każdego łanu kmiecego.

Od nadania dokumentu do wejścia fundacyi w życie upływał nieraz przydłuższy przeciąg. Dwuletnie zamieszki w kraju, poprzedzające przyjazd Jadwigi, nie mogły przyspieszyć osiedlenia się pustelników zakonnych w starej świątyni. Zaledwie tedy jednocześnie z przybyciem młodocianej królowej polskiej nastąpił w Polsce skarbiec tylu cudów późniejszych.

Ani też odrazu objawiła się ludziom świętość miejsca świętego. Już od lat kilku założony był monaster Częstochowski, a pobożność mieszkańców okolicznych zwracała się nierównie chętniej do innych nieznanych dziś miejsc cudownych, jak np. do saskiego miasteczka Wilsnak, słynącego podówczas cudami krwi Chrystusowej. Sama królowa Jadwiga nie do Częstochowy, lecz do tego Wilsnaku syłała w pierwszych latach bogobojne dary z Krakowa. Wszakże ten sam zapał religijny, który na czas krótki rozgłosił sławę Wilsnaku, który wrzał pobożnym niepokojem pielgrzymek odpustowych, a namiętnie pożądał mistycznych widzeń i cudów, nie dozwolił także pozostać w długim ukryciu obrazowi na Jasnej Górze. Jaki wkrótce ścisł przybyszów pobożnych panować miał w Częstochowie, możemy sądzić z natłoku gości pielgrzymich, oblegającego podówczas każdą znaniejszą świątynię.

Główną w tej mierze podniętą stały się upowszechnione w XIV wieku pielgrzymki jubileuszowe do Rzymu. Przysłuchując się słowom mniemanej b. li papieżkiej, w której nakazano było aniołom

pańskim, aby duszę każdego zmarłego w drodze rzymskiej pielgrzymy unosili natychmiast z czyśćca do raju, śpieszył lada możniejszy czempredziej do progów apostolskich. Ubożsi pocieszali się nadzieją łaski odpustowej u progu bliższych kościołów, zaszczyconych niekiedy nieprzebrany skarbem odpustów. I tak np. w niedalekim Wrocławiu słynęła relikwia Krzyża św., którą 636 biskupów na mocy przynależnej im władzy obdarzyło razem 25,440 dniami odpustu. W tymże, samym Wrocławiu, w jedynym kościele św. Wincentego, można było w jednej kaplicy za 50 pacieryz dostąpić odpustu lat osiemdziesięciu, w drugiej za 3 lata 30, w trzeciej za tyleż lat 12, w czwartej lat 9 i t. p.

Okazała się wprawdzie aż nazbyt rychło szkodliwość nadużyć odpustowych i, jak o tem wyraża się jeden z ówczesnych kapłanów pruskich, „z obawy, aby tem więcej grzechów nie działo się na karb łaski zbytycznej, odwołano niejedyn odpust.” Wszakże dany raz popęd nie przestał działać na lud pobożny. Każdy pragnął ulżyć sumieniu i biegł, ciśnięt się dalej po łaski odpustowe. Toż gdy do szczególnie ubłogosławionych miejsc, np. do bogatej w podobne skarby Pragi, zgarnął się niekiedy nawał pielgrzymów z całego kraju, drżało miasto trwogą śmiertelną, aby lada iskierka swaru nie podżęgła tłumów do opanowania i złupienia stolicy. Niechże jeszcze gruchnęła wieść o głośnych tu i owdzie cudach, jak np. o cudownem ocaleniu trzech hostyj w zgłiszczach owego Wilsnaku, rozgłoszona w samej porze przyjścia Jadwigi, a nie było sposobu powstrzymać gorącą wyobraźnię i dziecięcą wiarę stulecia.

Po wszystkich drogach spotykałeś roje pielgrzymów, wiedzionych do Wilsnaku chęcią widzenia pospolitych tam cudów zmartwychwstania umarłych i t. p. Pojawiały się księgi szerokie z opisem cudów Wilsnackich, „grubsze od wszystkich ksiąg, jakie spisano o Chrystusie i apostołach.” W Wilsnaku

i w całym świecie ówczesnym panował istny szal widzeń cudownych, nie trudny zresztą do zrozumienia. Jak bowiem zmysły młodego pokolenia smakowały najmilej w ostrym pokarmie jaskrawych barw, szumnych dźwięków, drażniącej woni, tak też i umysł potrzebował niezbędnie dziwów. Nie przestając na „codziennym cudzie słońca świtającego na wschodzie”, chciano koniecznie ujrzeć wschód słońca w stronie opacznej. Posuwała się ta namiętna chęć cudów do tego stopnia, że światło duchowieństwo katolickie nie tylko nie radoowało się jej lecz owszem, walczyło przeciwko temu. Jeden z najmędrszych prałatów soboru konstancyjskiego, który potępił kacerstwo Hussa, użala się na wizjonerstwo i cudowidztwo, tę chorobę onego czasu, jako na symptomat upadku umysłowego. Zdało mu się nawet widzieć w niem dowód chorobliwości onego wieku, który, zdaniem wielu moralistów dzisiejszych, był tak zdrowym i krzepkim. „Gdyż jak człowiek zgrzybiały miewa gorączkowe marzenia we śnie — prawi ten czcigodny wychowanek czasów Kazimierza W. — tak i starzejącą się ludzkość dzisiejszą dręczą fantastyczne widziadła cudów mniemanych.”

Dopóki powściągnięcie nie nastąpiło, wywierała ta namiętność wizyj i cudów szkodliwy wpływ na samoż duchowieństwo, zwłaszcza na jego niższe, mniej oświecone stopnie, zmuszając je do koniecznego folgowania namiętnym wymaganiom większości, do płynięcia wraz z prądem. W tej mierze przytoczywszy dawniej słowa spółczesnych, okazujące nam, o ile ogół wyższych klas świeckich czuł się „przyduszonym” od duchowieństwa, należy wspomnieć teraz, jak ciężko nawzajem czuło się duchowieństwo porwanem i partem ze strony przeciwnej, od prostaczozmysłowych tłumów. Dlatego opierano się według możności szalowi cudowidztwa, a już w kilkanaście lat po ofiarach Jadwigi do Wilsnaku wdała się władza duchowna tak surowo w rozchodzące się ztam-

tańd dziwy, że wkrótce zniknął Wilsnak do szczytów z pamięci ludzkiej.

Wówczas zaczęła Częstochowa opromieniać się chwałą, która dotąd nie zgasła. Jej Stara góra otrzymała odtąd nazwanie Jasnej. Pokrewny jej śpiew *Bogarodzica* nabył coraz więcej rozgłosu. Z tych to lat, mianowicie z r. 1410, mamy pierwszą pewną wiadomość o odśpiewaniu go przez całe wojsko przed bitwą. Z tych to lat pochodzi także jego odpis najstarszy, ułożony około r. 1408. Po niewielu latach, w tym samym czasie, kiedy Częstochowa pierwszemi zajaśniała cudami, stał on się prawdziwym hymnem narodowym, nuconym przy wszystkich uroczystych okolicznościach, w szczególności przy wielkich nabożeństwach dziękczynnych, jako polskie *Te Deum*. Tak i częstochowski obraz Bogarodzicy i starodawną pieśń o Niej winniśmy w znacznej części czasom przyjścia Jadwigi. Otoczył je ten duchowny nabytek dziwnie miłym dla nas urokiem.

Pozostaje mówić o innych, nierównie materyalniejszych korzyściach, jakie naród teraz pożądał po Jadwidze. W różnych zrazu pojawiając się kształtach, wiodą te wymagania nareszcie do najprzykrejszego ze wszystkich, jakie mogło być uczynione młodej królowej polskiej. I zamysły możnych panów krakowskich i nasze opowiadanie zwracają się coraz bliżej ku pogańskiemu księżciu Litwy.

XIII. JAGIELŁO.

Zamysły panów krakowskich. — Gniewosz z Dalewic. — Litwa. — Ślady porozumienia między nią a Krakowem. — Położenie Jagiełły. — Zjazd chrzestny. — Nowa wojna. — Witold. — Pojednanie z Jagiełłą. — Posyłki panów polskich do Litwy. — Ziemowit przeciw Jagielle. — Ciągła wojna z Krzyżakami. — Stanowcza zgoda z Witoldem. —

Sprzecznosc losów Jagiełły i Witolda. — Charakter Jagiełły. — Poselstwo swadziebne do Krakowa. — Zobowiązania się Jagiełły. — Odprawa posłów do Węgier. — Stan rzeczy na Węgrzech. — Pomyślnie przyjęcie poselstwa litewskiego. — Powrót posłów do Krakowa. — Usposobienie Jadwigi. — Zjazd krakowski. — Poselstwo z odpowiedzią Jagielle. — Ponowienie zobowiązań Jagiełły. — Nowy napad Krzyżaków. — Inny przeciwnik, Wilhelm.

Szczęśliwe dla możnowładców czasy spłynęły z młodzieńczą Andegawenką. Całe jej panowanie przedślubne miało służyć tylko za kopalnię zysków bogatych, jakimi panowie małopolscy chcieli sobie wynagrodzić poprzednie trudy i starania o Jadwigę. Działo się im z tego względu tak dobrze za obecnych rządów dziewiczych, iż niektórzy naprawdę już myśleli, jakby je do najdłuższego przeciągnąć czasu. W tej chęci odzywały się pojedyncze głosy magnackie za zupełnem zaniechaniem wyboru męża Jadwidze, za obejściem się wcale bez króla. Tylko przeciwnie temu usposobienie szlachty drobniejszej, krzywdzonej samowolnością wielmożów i przeto króla pragnącej, stało w drodze bezkrólewia dalszemu. Ztąd wzajemne swary i niepokoje, w których powaga młodej królowej niknęła do ostatka. „Przebywa wprawdzie w Krakowie młodsza córka Ludwika — dochodzi nas bardzo szacowny głos z onych czasów — i miana jest za królową, lecz ponieważ nie wydają jej ani za dawnego narzeczonego, Wilhelma, ani za kogokolwiek innego, przeto źle się dzieje w koronie polskiej bez króla, ile że magnaci i szlachta prześladują się wzajem, a wielu nie chce żadnego wcale króla, lecz sobie samym pragnie przywłaszczyć dobra i pożytki królestwa.”

Myślało tak atoli tylko jedno z kilku stronnictw ówczesnych. Mimo przeważną bowiem większość narodu, chylącą się, jak wiadomo, ku Litwie, przeróżne, acz mniej potężne zdania odzywały się w tłumie. Z tych, obok wspomnianych tu przyjaciół wiecznego bezkrólewia, najwięcej obchodzi nas stronnictwo, po-

siadające nader silnego sprzymierzenia, bo przychylnosc młodej królowej. Składało się ono z najbliższych osobie królewskiej dworzan i urzędników, mających na czele nieznanego nam dotąd, a tak głośnego później Gniewosza z Dalewic herbu Strzegonia. Pragniemy tem chętniej zabrać z nim bliższą znajomość, iż w panu Gniewoszu mamy jedną z charakterystyczniejszych postaci onego czasu.

Był to przedewszystkiem szlachcic dostatni, w szczególności pan wsi Suchy koło Jangrotu, którą temi czasy za 800 grzywien kupił od niego biskup krakowski, Jan Radlica. Chciwy i sprzedajny, jak prawie wszyscy bohaterowie tamtej epoki, przechodził on wszystkich brakiem rozumu i charakteru. Ta ułomność moralna wpoila weń przekonanie, iż nie masz pewniejszej drogi do szczęścia, t. j. do pieniędzy, nad trzymanie się o s ó b, mających w swoich ręku szafunek dóbr ziemskich. Ztąd gdy ogół panów małopolskich w niemniej zyskolubnych zamysłach pracował nad obaleniem starej wielkopolszczyzny, nad otworzeniem sobie skarbnicy szerokich obszarów ruskich, on dzierżył się kłamki dworskiej, bawił najmilej w łaskodawczem pobliżu królów, teraz Jadwigi później jej męża. Oddawszy się zaś przywatnej służbie osób, wypadło także służyć im środkami domowemi, dworactwem. To zrobiło Gniewosza nadmiar przebiegłym w wyszukiwaniu sposobów przypodobania się, nareszcie zausznikiem, potwarcą.

Bądź jak bądź, pozyskiwał on zawsze ufność u dworu i przez czas długi, lubo jeszcze nie teraz, piastował tamże urząd, wprowadzający w najpoufniejszą z osobą królewską styczność, t. j. podkomorstwo, czyli marszałkowstwo nadworne. Taką też drogą zbliżył on się obecnie do królowej Jadwigi, a postrzegłszy jej skłonność ku dawemu narzeczonemu, jął się gorliwie poplecznictwa Wilhelma. Zaczem dalej od siebie patrzącym pozostawiając myśl o Litwie, głosił Gniewosz użyteczność związków z księciem Rakuzkim, jednak mu zwolenników i zasłonięny współ-

czuciem młodocianej królowej, urósł w naczelnika stronnictwa.

Znachodzili się wreszcie tacy, acz w nader szczupłej liczbie, którzy jeszcze nie zrzekli się nadziei obaczenia na tronie polskim u boku Jadwigi Ziemowita Mazowieckiego. A nawet Władysławowi Opolczykowi, lubo już żonatemu i nie mogącemu preto połączyć się z Jadwigą, nie brakowało życzliwców pojedynczych, doradzających oddać mu rządy królestwa. Te wszystkie głosy i rady, te swary różnych stronnictw, zapełniły całą kilkumiesięczną przestrzeń czasu po koronacji Jadwigi, od października r. 1384 do stycznia 1385. Wszakże nad wszystkie zdania stronnice przeważała niezmiennie chęć poswatania się z Litwą. Ona to przemogła dotychczas Ziemowita, ona przeparła koronację Jadwigi, ona też nie myślała teraz dopuścić, aby kto inny zerwał owoc jej usiłowań. Jakoż, gdy we wspomnianym przeciągu kilku miesięcy, oprócz szermierki ustnej, nie widać żadnego rzetelnego kroku na korzyść Wilhelma, Ziemowita lub Opolczyka, pierwszy wypadek stanowczy, o jakim dowiaduje się cały naród, wyprowadza W. księcia Litewskiego na widok. Jest tym wypadkiem uroczyste poselstwo Jagiełły, proszące o rękę Jadwigi, tajem (jak mniemać można) z panami krakowskimi wywołane porozumieniem. Dla przypatrzenia się temu bliżej, cofnijmy wzrok ku Litwie.

Opisując dawniej sprawę litewską, zostawiliśmy walecznego Kiejstuta na stosie pogrzebowym, jego syna, Witolda, zbiegiem z więzienia Jagiełłowego u Krzyżaków, mających dopomódz mu do zemsty nad Jagiełłą, Jagiełłę zaś zagrożonym zewsząd panem rozchwianej Litwy. Skutkiem niezupełnie wyświełionych okoliczności okazuje się nasz Olgierdowiec odtąd coraz jawniejszym przyjacielem swoich przyjaciół małopolskich. Kiedy oni wszelkimi siłami walczą przeciw Ziemowitowi, on napadem na dzierżawy mazowieckie, zaborem grodów Podlasia, popiera silnie ich walkę. Uwieziona przed kilku laty relikwia Święto-

krzyska zostaje teraz wraz z pewną liczbą jeńców wrócona Małopolsce. Wiemy prócz tego, iż niektórzy z najmożniejszych panów krakowskich, jak np. młody wojewoda Spytko z Melsztyna, poczytywani za głównych sprawców usunięcia Ziemowita, a sprowadzenia Jadwigi, otrzymują później od Jagielly nadmiar kosztowne upominki „wdzięczności”, — całe prowincje, której to nagrodzie nie odpowiadają poprzednio z ich strony żadne znane, głośne przysługi. Nasuwa się przeto myśl, iż powodu do tak hojnej i długopomnej wywdzięki należy szukać w ich teraźniejszych stosunkach poufnego znośzenia się z Jagiełłą. Ważna zaś w tej mierze okoliczność, iż wojewoda Spytko przez swoich braci „z Tarnowa”, jeszcze od czasu Kazimierza W. zagnieżdżonych na Rusi, miał w tych rusko-litewskich stronach i starodawne konneksye do posługi i interesu familijny do popierania, zgadza się dość znacząco z tą myślą.

Jakoż nie obrażali się bynajmniej w późniejszych latach panowie polscy, gdy książęta przyjazni, owszem sami książęta litewscy, przypominali im w aktach publicznych, iż oni to, Polacy, „zaprosili Jagiełłę na królestwo.” Nie brak nawet skazówek do wysłedzenia osób, za pomocą których mogły zawiązać się te przyjazne stosunki. Toć jeden z głównych dostojników ówczesnego Kościoła polskiego, poznański biskup Dobrogost, jak później w jawny sposób odznaczył się gorliwą stronniczością dla Jagielly, tak już przed laty dwunastu, nosząc listy papieskie na dwór litewski, wchodził w poufne z nim styczności. Łatwo zatem dał się przez podobnych dawnych znajomych i stronników zadzierzgnąć teraz węzeł porozumienia. Uwidoma się on zwłaszcza uderzającym sposobem w porze przyjsia Jadwigi. Im pewniejszymi przybycia i koronacyi królowy widzą się Małopolanie, tem widoczniej przedsiębiorze Jagiełło ze swojej strony przygotowania do swadziebnej po nią wyprawy. Główną dla niej przeszkodą był obecnie pobyt Witolda u Krzyżaków. Każde bowiem wydalenie się Jagielly

z granic litewskich narażało je na bezodporne owładnięcie przez Witolda z zakonem, co tem pewniejszą groziło zgubą, ile że nawet ciągła obecność Jagielly w kraju zaledwie była w stanie ochronić go od toni ostatecznej. Pod tym względem porozumienie Jagielly z panami krakowskimi płynęło z najsmutniejszej potrzeby.

Kiedy Jagiełło po upadku Kiejstuta zawierał z Krzyżakami ów nieszczęsny traktat na wyspie Dubissie, stanęło przyrzeczenie, iż w przeciągu lat czterech W. ks. litewski przyjmie niechybnie chrześcijaństwo. Tymczasem ani Krzyżacy nie mieli chęci utracić chrztem Jagielly sposobności do coraz pewniejszego zawojowania „poganina”, ani też Jagiełło nie śpieszył się wcale z aktem, po którym, jak nie trudno było przewidzieć, nie mogła Litwa spodziewać się pokoju od Krzyżaków, a który byłby osobie Jagielly odjął główny urok i powab, wróćący mu prędzej, czy później nierównie świetniejszą nagrodę za przyjęcie chrześcijaństwa gdzieindziej. Przyszło więc tylko do osobliwszej sceny, okazującej nieszczerość obojej strony. W kilka miesięcy po wspomnianym traktacie, w czasie gdy wśród domowych zawichrzeń w Polsce nie było jeszcze pewności utrzymania się stronnictwa Jadwigi, pod koniec maja r. 1383, panowie krzyżacy, udając troskliwość o warunki niedawnego traktatu, zawezwali Jagiełłę na nowy zjazd na Dubissie dla dopełnienia chrztu.

Jagiello okazał chęć uiszczenia się z obietnicy, i w towarzystwie matki, braci i dworu książęcego wyruszył w drogę. W. mistrz krzyżacki, Konrad Czolner, nie chcąc wydać się mniej gorliwym, zabrał z sobą słynnego marszałka zakonu, Konrada Wallenroda, grono reszty najwyższych urzędników, i co najpotrzebniejszem było do chrztu: dwóch biskupów, warmińskiego i pomeraniańskiego. I owo płyną Niemnem naprzeciw siebie dwa dwory przeciwne, krzyżacki i litewski, w niemałej pono obawie, aby w rzeczy nie stało się, co jeden i drugi głosił isto-

tnem życzeniem swoim. Im bliżej tedy wyspy, tem niechętniejsza podróż. Jagiełło przecież stanął u celu. Mniej ochotni lub mniej skrupulatni w dotrzymaniu słowa Krzyżacy uwięźli o mil cztery, w Christmemlu. Lubo Niemen w tem miejscu ma być bardzo głęboki, lubo to było w maju, miało zabraknąć wody statkom krzyżackim. Nie było też koni w całej stajni krzyżackiej, aby dojechać brzegiem ku wyspie. Ograniczono się na zaproszeniu Jagiełły do Christmemlu. Ten atoli nie miał wcale intencji działać nad miarę obietnicy. Nie chcieli zatem ani Krzyżacy do Jagiełły, ani Jagiełło zbliżyć się do Krzyżaków. Cały zjazd spełził szczęśliwie na niczem. Powtórzyła się, jak widzimy, w nieco odmienny sposób, dawna scena chrzestnego zjazdu we Wrocławiu.

Obie strony rozjechały się z wzajemnymi wymówkami. Ze wszystkiego jednak okazuje się, że Jagiełło bliższym był chęci chrztu, niż Krzyżacy. Czując z tej przyczyny potrzebę tem liczniejszych pozorów uniewinnienia, zmyślili oni nawet pogłoskę, jakoby Jagiełło za radą matki Julianny uknuł był zamach na życie W. mistrza. Do zarzutów z okoliczności obecnej przydano obwinienia daty dawniejszej. Krzyżacy wypominali Jagiellę, że bez ich wiedzy śmiał wojować Mazowsze, gdy przecież dawny traktat na wyspie Dubissie wzbraniał mu wszelkiej wojny bez zezwolenia zakonu. Jagiełło zaprzeczał ważności całemu traktatowi, ile że Krzyżacy przygarnięciem Witolda pierwsi go zniweczyli. Wszystkie skargi podobne przywiodły wreszcie do tego, co przynajmniej dla Krzyżaków właściwym było celem, t. j. do wojny. W tym samym czasie, kiedy w Wielkopolsce dogorywała wojna między Natęczami a Grzymałczyki, z końcem lipca r. 1383, rozewrzała ona znowuż między zakonem a Litwą. Witold działał jak sprzymierzeniec krzyżacki. Wtargnęła do Litwy dwoma szlakami ogromna armia chrześcijańska, wiedzona przez samegoż W. mistrza i najprzedniejszych urzędników

zakonu, a posiłkowana osobnym oddziałem litewsko-żmudzkiem, złożonym z licznych zwolenników Witolda, pod wodzą tegoż walecznego Kiejstutowica.

Uderzywszy połączonemi siłami na Kiejstutową stolicę Troki, opanowano ją z całym księstwem przyległym. Z pod Trok posunęły zastępy zwycięskie pod samo Wilno, które spłonęło. Jagiełło uchylił się przed burzą. Witold, czyli właściwie zakon, panował całej Litwie, odbierał wszędzie hołd i przysięgę wierności, kazał dostawiać sobie zakładników. Powiodło się wprawdzie Skirgielle, rodzonemu bratu Jagiełły, odzyskać wkrótce Troki, lecz to nie ocaliło sprawę Olgierdowiców. Wypowiedziawszy bowiem śmiertelny Litwie wojnę, postanowili Krzyżacy nie składać broni, aż póki osadzeniem sprzymierzonego Witolda na W. księstwie nie dopną upadku Jagiełłowego. Aby ich do tem skorszej wzbudzić pomocy, umyślił ochrzcić się Witold. Bracia zakonni musieli, chcąc nie chcąc, przyzwolić na ceremonię, do której oni sami nigdy wistocie nie przynaglali książąt litewskich, a którą, zwłaszcza w razie obecnym, można było posadzić o pobudki światowe.

Przynajmniej całe nieuroczyste, całe pokątny sposób, jakim dopełniony został tak ważny akt, ośmiela do podejrzenia, iż obiedwie strony nie przywiązywały wielkiej do niego ceny. Wracając według przyjętego wówczas zwyczaju wojny dla wypoczynku i dalszych przygotowań wojennych nazad do Prus, ochrzczono Witolda dnia 21 października r. 1383 w drodze, w Taplewie, z upokarzającą dorywczością. Komtur Ragnicki i żona sołtysa Taplewskiego posłużyli naprędce za rodziców. Dano nowochrześciance imię ojca chrzestnego: Wigand. Zaco syn Kiejstutow w trzy miesiące później, w Królewcu dnia 30 stycznia 1384, uczynił Krzyżakom zapis, wieńczący najdumniejsze zamysły zakonu względem Litwy. Uznawał ten dokument bracię krzyżacką najwyższymi zwierzchnikami całej Litwy i Żmudzi. Jedną i to „najpiękniejszą” połowę Litwy wraz z całą Żmudzią

przechodziła w bezpośrednie posiadanie zakonu. Drugą odzierał Witold jako lenno zakonu. W razie bezpotomnego zejścia Witolda, przypadnie cała Litwa na własność zakonowi. Nie daremnie więc pomagali Krzyżacy swemu pochrześnikowi.

Toż przynajmniej pomagali mu nieleniwie. Za ledwie nastąpiła wiosna roku 1384, ta wiosna, która już to na dzień św. Stanisława, już to na Zielone Świątki, przyrzekała Polsce Jadwigę, wyruszyli „Niemcy” z Witoldem na zawojowanie ziemi litewskiej. Przedewszystkiem szło Krzyżakom o uzyskanie tam raz na zawsze pewnego punktu oparcia, pewnej niezdobytej warowni, któraby we wszelkich kolejach przyszłości ciążyła jarzmem nad Litwą. Postanowiono w tym celu zbudować obyczajem krzyżackim w miejscu zburzonego przed laty Kowna nową olbrzymią twierdzę, nazwaną Marienwerder, czyli wyspa N. Panny. Taż budowa stała się głównem przedsięwzięciem obecnej wyprawy zbrojnej. Pod zastoną ogromnej armii krzyżowej, składającej się z braci zakonnych, wojsk krajowych i tysięcy rycerstwa zagranicznego, prowadzonych przez samegoż W. mistrza Czolnera, nadpłynęły niezliczone łodzie z rzemieślnikami, żywnością i całym przybozem budowniczym.

Podczas gdy pojedyncze oddziały zbrojne ciągnęły utarczkami z nieprzyjaciółmi oczyszczały okolicę kowieńską, tłumy murarzy, kowalów, kamieniarzy, pracowały z największym pośpiechem nad nowym grodem. Sześćdziesiąt tysięcy ludzi, osiemdziesiąt tysięcy koni, było przez sześć tygodni w nieustannym około niego ruchu i trudzie. Nareszcie wznosił się gród niebotyczny. „Za pomocą takich twierdz—zawołał uradowany W. mistrz—niczem podbicie Litwy!” Jakoż poprzestano tym razem na zbudowaniu sobie warowni. Poniesiona od Jagielly porażka pod Wiikiszkami przyspieszyła powrót Niemców do domu. Witolda zaspokojono jako tako dokumentem solennym, wydanym w Marienwerder w okta-

wę Bożego Ciała, dnia 16 czerwca, a przyrzekającym mu rychłe przywrócenie ziemi ojczyznej.

Nie mogło to zadowolnić Witolda. O ile on nie całkiem szczerze lgnął do zakonu, o tyle i zakon raczej swą własną, niż Witoldową popierał sprawę. Tak niepewna przyjaźń potrzebowała lada wstrząśnienia, aby do szczytu się rozchwiać. Przyszło to wstrząśnienie temż, czasy od strony Polski. Miał tam wreszcie około Zielonych Świątek nastąpić niewątpliwy przyjazd Jadwigi. Dopóki panowie krakowscy nie mogli według swego upodobania rozrządzać ręką Jadwigi, dopóty wszelkie porozumienie z Jagiellą było przedwczesnem. Teraz jednakże zmieniła się postać rzeczy. Nieodrzeczność blizkiego przybycia Andegawenki pozwalała myśleć o jej ręce i tronie. Niepodobną zaś była wszelka myśl o tem, dopóki Witold nie zerwał związków z zakonem. Na toż bowiem miał Jagiello przesiedlać się do Polski, aby mu Krzyżacy z Kiejstutowicem rodzinną tymczasem wydarli Litwę?

Szło więc głównie o przejednanie Witolda. I „gesto” też sylał Jagiello poufnych doń orędowników z listownemi przyrzeczeniami. Zasługiwały one teraz na większą, niż kiedykolwiek wiarę. Łatwy do zrozumienia interes samegoż Jagielly w tych rokovaniach świadczył o szczeroci intencji. Błyszcząca na dnie całej sprawy korona polska, przeznaczona zdala Jagielle, pozostawiała W. Księstwo Litewskie niejako samo przez się synowi Kiejstutowemu. Gdy więc było czem dzielić się, nie trudna była zgoda. W tym samym miesiącu czerwcu, kiedy obaj Gedyminowice mogli Jadwigę mniemać już powitaną i ukoronowaną w Krakowie, dojrzało w samym zanadrzu krzyżackiem tajne przymierze między Witoldem a Jagiellą. Przyszły król polski przyrzekł swojemu stryjecznemu bratu cały udział ojcowski, księstwo Trockie. Nowowychrzczony brat ofiarował nie tylko odstąpienie Krzyżaków, lecz nadto umyślił przynieść Litwie w gościnie krwawą klęskę krzyżacką.

Zaczem oznajmił Witold Niemcom w pierwszej połowie lipca, iż powziąwszy wiadomość o zamierzonym najściu Skirgiełły z Litwą na Prusy, chce mu stawić czoło u granic. Pod tym pozorem zbliżył się cały orszak Witoldów, złożony z kilkuset spółwyciecznych Litwinów, między którymi zwłaszcza szwagier Widoldów, Sudemunt, ku krzyżackiej warowni Jurbork. Zatrzymawszy się tam, zawezwano komtura miejscowego, Dytryka Kruste, na spieszna do Witolda naradę. Komtur wziął kilku braci i zeszedł z zamku. Ucieszyli się Krzyżacy udanem ostrzeżeniem Witolda, iż Skirgiełło i Jagiełło chcą uderzyć na nieprzygotowaną Ragnetę. „Wyślijcie czemprędzej wieść o tem do załogi tamecznej—ozwie się Witold—a na jutro ja sam w pomoc przybędę.” Wdzięczni Prusacy zaprosili Witolda przy pożegnaniu na wieczrę do zamku. „Wolę zapolować w pobliskim lesie—odpowie zaproszony—a z wami niech tam mój szwagier, Sudemunt, pobiesiaduje. I przyslijcie mi też kilku łowców z sieciami.”

Krzyżacy odeszli z Sudemuntem, odprowadzonym przez kilku bojarów zbrojnych. Alie na moście najwyższym rzuca się naraz Sudemunt z bojarami na Niemców. Dwaj towarzysze komtura i strażnik bramy padli natychmiast trupem. W oka mgnieniu skoczyła reszta Litwy w bramę otwartą i opanowała zamek. Komtur poszedł w kajdany. Wszelkie zapasy zostały splądrowane. W krótkim czasie nie było śladu Jurborka.

Ten sam los spotkał warownię Bajernburg. Najwięcej atoli zależało Litwie na opanowaniu świeżo zbudowanego Marienwerder, co nierównie dłuższego czasu, nierównie gwałtowniejszych wymagało natężeń. Wzięto się więc spólnemi siły do czynu. Do coraz liczniejszej drużyny Witoldowej przybyło wojsko Skirgiełły. Z nimi połączyły się rotę jedenastu innych książąt litewskich. W książę Jagiełło uzbroił wielką wyprawę. W ośm tygodni po ustąpieniu Witolda z Prus obległa ogromna armia litewska wyspę Najś.

Panny, bronioną znacznym oddziałem krzyżackim pod wodzą walecznego komtura Henryka Klee.

Dla przeszkodzenia odsieczy krzyżackiej zatomowano zasiekami wszelką żeglugę na rzece Niemnie. Nadzwyczajnie wielka liczba rozmaitych machin wojennych, znajdujących się w wojsku litewskim, a kierowanych przez puszkarzy ruskich, „który to naród wielce tu biegłym okazał się w sztuce”, biła dniami i nocą w mury zamkowe. Przez blisko ośm tygodni trwały szturm i wycieczki wzajemne. Napróżno sam marszałek zakonu, znany później Konrad Wallenrod, nadebrał z posiłkami. Śmierć komtura Henryka i coraz smutniejszy stan rzeczy wewnątrz zamku, odjęły wszelką nadzieję utrzymania się. Zapamiętały wreszcie szturm wojsk litewskich, trwający od świtu aż do południa, dokonał dzieła.

Zdobyto wszystkie główne podmurza. Pozostała jeszcze w ostatniej baszcie garstka załogi złożyla broń. Stu pięćdziesięciu rycerzy zakonnych wraz z komturem i wielą rycerstwa zagranicznego padło od miecza. Pięćdziesięciu pięciu braci krzyżackich, pięććroć tyleż gości rycerskich, odpowiednia ilość pospólstwa wojennego, dostały się w niewolę. Przez długi czas pracował zakon bezskutecznie nad uwolnieniem swych jeńców. Oddawna żaden krok polityki krzyżackiej nie zakończył się tak smutną katastrofą, jak krwawo teraz opłakane chrzciny Witolda. „Płochy” Kiejstutowicz poczytał za nie obłudną ceremonię Taplawską i był gotów przyjąć z równą łatwością gdziekolwiek indziej chrzest drugi. W. ks. Jagiełło opanował wydartą sobie bramę litewską, uzyskał trzy mocne twierdze, przejednał brata nieprzyjazznego, i zabezpieczony na jakiś czas od wrogów, mógł pomyśleć o związkach zagranicznych, o młodzieńczej królowej Polski.

Już ona właśnie od kilkunastu dni bawiła w nadwiślańskiej stolicy. Już spełniona tam koronacja pozwalała wielmożom krakowskim ofiarować w małżeństwo rękę młodej królowej. Teraz to — jak według

upewnienia najświadomszych kronikarzy litewskich wnosić możemy — „syłali panowie krakowscy raz po raz do W. Ks. Jagiełły, przedstawiając mu, aby przyjął chrzest w obrządku Rzymu starego i poślubił sobie dozgonnie ich królową Jadwigę, i został u nich królem w Krakowie, na całą ziemię lacką”.

Teraz też, nim Jagiełło jeszcze wziął przewagę stanowczą, zależało wszystkim przeciwnikom ślubów litewskich na jaknajusilniejszym stawianiu mu przeszkód w drodze. W szczególności jeden z takich przeciwników, Ziemowit mazowiecki, nie zupełnie jeszcze próżen nadziei ręki królowej Jadwigi, a jako najbliższy sąsiad Jagiełły, najlepiej o jego zamysłach uwiadomiony, zakrzętał się teraz około podniecenia mu nowej burzy.

Najstosowniejszym do tego środkiem była czynna spółka z zakonem. Jakoż w pięć tygodni po koronacji Jadwigi, prawie jednocześnie ze zdobyciem wyspy N. Panny, czyli Starego Kowna przez Jagiełłę, dnia 23 listopada, wszedł książę Ziemowit w nowy układ z W. mistrzem krzyżackim, zapewniający księciu pożyczkę 3600 kóp groszy praskich, a zakonowi zastaw szerokiej przestrzeni ziem mazowieckich, tak zwanej krainy Zawkrańskiej między rzekami Wkrą, Nidą, Orzycem a Lidynią. Celem tego układu wymienia dokument wyraźnie wojnę ciągłą z Jagiełłą, któremu Ziemowit z jednej strony pieniędzmi krzyżackimi mógł psować szyki w Polsce, a Krzyżacy tem skuteczniej dojeżdżać z drugiej, z ziemi Zawkrańskiej, leżącej w pobliżu najmniej obronnych granic litewskich.

Nie wielce to atoli przeszkodziło Jagielle. Co do wojny, ta wprawdzie według życzeń Ziemowitowych nie przestała zagrażać Litwie. Bezpośrednio z nową wiosną roku 1385 zaczęły się nowe kroki nieprzyjacielskie. Przedłużając się z coraz większym wysiłkiem aż do jesieni, trwały one przez całą porę swadziebnych układów Jagiełły z Polakami. A lubo żadnym stanowczym nie uwieńczone skutkiem, sprawiły

te walki nie małą zakonowi i Litwie szkodę, zwłaszcza w jeńcach. Już pod koniec miesiąca kwietnia okazują się obiedwie strony znużone wojną. Dnia 21 i 24 kwietnia udzielają W. mistrz Czolner i marszałek Wallenrod w celu układów o wzajemną wymianę jeńców, dwutygodniowego zawieszenia broni Jagielle. W tydzień później, dnia 30 kwietnia, znajdują się Krzyżacy i W. książę Litewski, dla uskutecznienia wykupu w zwykłym miejscu zjazdów litewskich, na znanej wyspie Dubissie.

Nie załatwiwszy jednakże sprawy, przestają obiedwie strony na wytknięciu sobie pory nowego zjazdu, zapowiedzianego w wigilię Bożego Ciała, dnia 31 maja. I ten, jak się zdaje, do żadnego nie przywiódł rezultatu. Jeńcy, mianowicie krzyżacy, pozostali w niewoli. Wypominając Jagielle przez długie lata nie ujęć wrócenia im wolności, zarzucali mu Krzyżacy, nie wiemy-li czy potwarczo, że ich sprzedawał w dalsze strony Rusinom. Przedłużał się tedy ciągle stan wojny, a im jawniej występowało na widok, co Jagiełło przedsiębrał tymczasem w stronach Polski, tem groźniej rozpłomieniał się daremny przeciw temu opór krzyżacki. Gdy z jesienią roku bieżącego nadejdzie stanowcza chwila swadziebnych układów litewsko-polskich, obaczymy Jagiełłę pod śmiertelnym mieczem jednej z największych wypraw teutońskich. Teraz spojrzymy na rozpoczęte już kroki onej swadźby.

Jak pierwszą widoczniejszą wynikłość porozumienia między Polską a Litwą można było upatrzeć w przyjaźnym powrocie Witolda z ziemi Krzyżaków, tak też dokonanej tymczasem ostatecznej ugodzie z nim należy tu wzmianka najpierwsza. Dopiero w porze dziewostębin krakowskich otrzymuje Witold od stryjecznego brata Jagiełły księstwo grodzieńskie z Podlasiem. Ze względu na prawo Kiejstutowica do ojczyztego księstwa Trockiego, t. j. do całej połowy Litwy, nie czyniło obecne nadanie zadość słusznym jego żądaniom. Poprzestał wszelako dawny przyjaciel Jagiełłów na podziale niedostatecznym, spodziewając

się, że prawdopodobne ustąpienie W. księcia do Polski podąży do słusznego układu. W uczuciu swojej niezaprzeczanej wyższości umysłowej nad wszystkimi teraźniejszymi książętami litewskimi, wyższości tak świetnie w późniejszych latach na całym świecie rozgłoszonej, cieszył się Witold niepiękną nawet nadzieją, iż ta sama fortuna, która mniej godnego Jagiełłę sadzała na tronie polskim, jemu przynajmniej wielkoksiążęcego nie odmówi zaszczytu.

Atoli fortuna a ludzkie wyobrażenia o słuszości zdawien dawna różnami krążyły tory. Ileż to walk, prób, nieszczęść, musiał pierwej przebywać Witold, nim mu w końcu padła nagroda! Jagiełło przeciwnie bez walki i znoju kroczy od tryumfu do tryumfu, w coraz piękniejsze bogaty wieńce. Zachodzi w tej mierze osobliwy pomiędzy obudwoma braćmi stryjcznymi stosunek, którego dobrze świadom był syn Kiejstutów. Nie możemy nie wpatrzeć się bliżej w tę osobliwszą grę losów, złagodzoną jedynie okolicznością, iż jeśli Witold nie zasłużył na wiele z swoich nieszczęść, Jagiełło w znacznej części był godzien swojej fortuny. Owszem, obadwaj wnukowie Gedymina, jakkolwiek różni losem, ujmują przy bliższym poznaniu równą miarą najpiękniejszych darów natury, zaledwo spodziewaną w rodzie pogańskim. Mając z kolei uwidomić sobie bliżej obudwóch, zwróćmy tu oko naprzód na syna Olgierdowego, gotującego posłów do Polski.

Od kolebki świeci mu gwiazda szczęścia, przychylają mu się życzliwie wszystkie serca. Lubo dopiero siódmy z synów Olgierda, bierze Jagiełło według życzeń ojcowskich pierwszeństwo przed resztą braci i nadzieję W. księstwa. W. księżna Julianna utopiła w nim wszelką miłość swej piersi macierzyńskiej, drżającej o każdy krok ulubieńca. Pomni na to Krzyżacy, jakże z ręczniami przypochlebiają się księżnie, pieczętując jej serce słówkami tklivości o bezpieczeństwo „przesławnego syna Jagiełły”, zagrożonego niedawno owym „psem wściekłym”, Kiejstutem! Toć

do późnej śmierci zachował kochanek matczyn wiele zabobonnych zwyczajów i wspomnień tego miękkiego wychowania macierzyńskiego.

Gdy ojciec Olgierd umarł, ów „wściekły pies”, stryj Kiejstut, mogąc z łatwością owdziałać W. księstwo, owszem, niejako zniewolony do tego niebezpieczeństwem krzyżackim, korzy przed szczęśliwym swoją skroń siwą, bije mu czołem, jako W. księciu. Taką samą miłością lgnie ku niemu młody syn Kiejstutów, Witold, pełen zaufania w równą przyjaźń i szlachetność Jagiełły. Kiedy ojciec Kiejstut ostrzega syna o spiskach Olgierdowicza z zakonem, zamierzającym zgubę obudwóch, młody przyjaciel Jagiełłów nie chce temu dać wiary. Dopiero ujęte w opanowanej stolicy listy krzyżackie przekonywują go o nieszczęsnym zamachu. Za co ukarał go stary Kiejstut jedynie wydzieleniem mu nieco mniejszego księstwa, nie śmiąc podnieść ręki na wolność lub życie ulubieńca całej rodziny.

W wynikłej zaś potem wojnie między Kiejstutem a W. księciem ktoż zwycięża? — szczęśliwy. Wspaniałomyślny Kiejstut ginie w więzieniu; ufający Jagiełło, Witold, tuła się na wygnaniu; Jagiełło znów w blasku fortuny. Chwilowe upokorzenie wyngradza mu się wkrótce zupełnym tryumfem nad przeciwnikiem. Zwycięzca Kiejstuta i Witolda odzyskuje snadnie berło nad całą Litwą, a pomyślny bieg okoliczności dorzuca mu ziemię po ziemi w darze. Śmierć króla Ludwika przysparza Litwie bez dobicia oręża zaprzędane przez starostów węgierskich grody wołyńskie; domowe zamieszki w Polsce pozwalają zająć Podlasie; acz miecz krzyżacki wisi nad głową, czemużby jeszcze dalszych, wspanialszych darów nie miał spodziewać się ulubieniec ludzi i losów?

Uderza zaś szczęście Jagiełły tem osobliwszym urokiem, im skromniejszą była cała osobistość człowieka, któremu tyle słońca świeciło. W tem dwuświatle zupełnej prostoty, prawie prostactwa osoby,

a nieprzebranej łaski przeznaczeń, przedstawia syn Julianny jedno z najdziwniejszych, owszem, najpowszechniejszych zjawisk historii. Baczniejszego atoli potrzeba oka, dłuższego przeciągu czasu, aby je należycie ocenić. Gdyż na pozór był to człowiek pospolity, gnuśny, tępego pojęcia, zaniedbanej powierzchowności. Ulubieniec fortuny chadzał zwyczajnie w prostym szaraczkowym kożuchu. Lubo garderobę książęcą zdobyły coraz nowe szaty bogate, on ledwie w największe uroczystości przywdziewał szarą szubę aksamitną, bez żadnych zresztą ozdób.

Co do samej postaci, tej nie brakło siły i wdzięku. Na krzepkiem ciele miernego wzrostu, odznaczającym się niepowszednią kształtnością, siedziała głowa mała, podłużna, o ściągłych rysach twarzy, zwłaszcza ku podbródkowi kończasto ściętej. Długa szyja, smagłe jagody, wysoko z włosów obnażone czoło, dodawały podłużności obliczu. Oświecały je niewielkie czarne oczy, niezmiernie niespokojne i ruchliwe. Z ust, ocienionych długim, lecz cienkim wąsem, wylatywały słowa szybkie, grubym rzucane głosem. Ta szorstkość głosu, porywczosć mowy, niestałość wzroku, znamionowały naturę żywą, która w innem położeniu mogła być snadnie zkrnąbrnieć i zdzioczyć. Wszelako przyświecające Jagielle zewsząd uśmiechy szczęścia i ludzi, długoletnie pieszczoty matki, która tak powszechnie wiadomy wpływ wywarła na charakter swojego syna, zleniwiły, ułaskawiały wrodzoną rzutność i cierpkosć.

Jakoż najwidoczniejszą cechą jego osobistości przedstawia się właściwa takim przedmiotom długiego rozpieszczenia miękkość, powolność, ociężałość umysłu. Jagiello lubił do zbytku wczas, wylegał się do południa, trawił wiele czasu w gnuśnym spoczynku. Równie długie chwile więziły go u stołu uczt codziennych, wlokących się nieraz (do sześćdziesiątej misy, ściągających mu zarzut zbyt długiego rozmówienia w jedle. Ufny swojej szczęśliwej gwiazdzie, nie spieszył się W. książę nawet w rzeczach najgorętszego życzenia, w drodze do zwycięstwa nad przeciwnikiem śmier-

telny. Co zaś na zewnątrz przybierało postać ieniej ociężałości, to w duszy objawiało się przeświadczeniem o swoim sukcesie umiarkowaniem, wstrętnem wszelkiej przesadzie, przeciwnem stanowczemu zrywaniu z jakimkolwiek nieprzyjacielem. Zbyt skwapliwych żołnierzy upominał Jagiello przysłowiem: „Naprzód nie wrywaj się; z tyłu nie pozostawaj się”. Podobnie porywczym szermierze słowem otrzymywali przestrożę: „Słowo wylata wróblem, powraca wołem”. Nawet przy ofiarach Bogu Najwyższemu nie zdążyło się Jagielle rzeczą rozsądną żałować małego datku dyabłowi.

Temuż szczęściu Jagiellowemu, mianowicie nader czulej opiece matki, pieszczącej go przyzwyczajeniem do onych gnuśnych wygod, chroniącej go według tamtoczesnych wyobrażeń od wszelkich udręczeń edukacyjnych, należy przypisać dalszą właściwość naszego Olgierdowicza, zbyt niedostateczne ukształcenie rozumu. Mimo łatwości o nauczycieli krzyżackich, mimo wzorów niepośledniej w tym względzie ogłady ojca Olgierda, stryja Kiejstuta, stryjecznego brata Witolda, nie umiał syn Julianny ani pisać, ani czytać, nie mówił innym językiem, jak tylko macierzystą ruszczyzną, znany był ze swego „prostactwa”. Najprzykrej razili jego tępość umysłu tem, iż gdy Jagiello w czemkolwiek popełnił raz pomyłkę, trudno było przywieźć go do zrozumienia fałszu, acz nie nadrabiał uporem.

Ponieważ jednak ten brak rozwinięcia umysłowego nie pochodził z braku zdolności, przeto czuł go później bardzo dotkliwie teraźniejszy pan Litwy i zostawał w ciągłej obawie, aby nie popaść z tej przyczyny w lekceważenie u ludzi. Zaczem opanowała go z czasem niezmierna drażliwość w tym przedmiocie. Pewnego razu, w chęci schlebienia Jagielle, użyli Krzyżacy w liście do niego wyrazów: „jak to wasza wielmożność w swojej wrodzonej mądrości sam łatwo pojmiesz”. Nieprzyjazny zakonowi kanclerz Jagiellów, odczytując mu list niemiecki, przełożył te wyrazy w sposób nieco szyderski. Ileż ztąd gniewu.

spadło na zakon! ile przepraszających i uniewinniających się zapewnień W. mistrza musiało koić urazę urojoną!

Drażliwość z powodu uraz mniemanych, coź nieodowniej wiodła za sobą, jeśli nie ciągle domniemywanie się onych? Ztąd najniegodniejszym następstwem rozumowego przytępienia Jagielly stała się nieograniczona podejrzliwość, upatrująca wszędzie zdradę przeciwko sobie. Zwłaszcza przysię jego małżonki, posądzane raz po raz o wiarołomstwo cierpiały od tej wady. I władała ona tem zuchwalej jego umysłem, im powszechniejsza rzeczywiście demoralizacja epoki usprawiedliwiała ją w pewnej mierze, im staranniej samo wychowanie macierzyńskie przyzwyczaiło go używać w każdej chwili przeróżnych fortelów ostrożności, w celu zapobieżenia zamachom na bezpieczeństwo, na życie.

Najpowszechniejszym z tych zamachów była wówczas trucizna. Wychowawcy XIX wieku, tak potępianego od wielu moralistów, coź my wiemy o tej trucizniczej pladze stuleci średnich, stuleci mniemnego błogosławieństwa! Gdzieindziej możemy nacztać się o jej tysiącznych ofiarach za granicą. Tu dość będzie przypomnieć wypadki otrucia w samem gronie książęcych osób naszej powieści, w kilkuletnim przeciągu czasu. „Zadawano” sobie tedy z niesłychaną lekkomyślnością. W r. 1392 zginął od trucizny jeden z najznakomitszych rodzonych braci Jagielly. W r. 1394 zabiła ona drugiego. Prawdopodobnie w tym samym roku otruto dwóch synów Witoldowych. Około r. 1393 zamordowano trucizną księcia mazowieckiego Henryka, brata Semka naszego. Mało co później zjadł ją „w czarnym pieprzu” nasz Zygmunt Luksemburczyk i tylko dzięki nadesłanemu od rakuzkiego księcia Wilhelma lekarzowi, po najhazardowniejszej kuracji uniknął śmierci. Lecz rodzony brat Wilhelmów, książę rakuzki Albrecht, któremu wraz z Zygmuntem „zadano” w tym samym czarnym pieprzu, umarł w dni kilka. Tem samem zaś lekarstwem, które ocaliło

Zygmunta, z przydatkiem smagania brzucha różgami, uratował się podobnie od otrucia terazniejszy biskup krakowski, Jan, sławny medyk, szczęśliwszy od kilku zmarłych spółtowarzyszów nieszczęścia.

Śród takiego pomroku nie dziw, że książęta, otoczeni mnogimi nieprzyjaciółmi, że dziedzice wydieranej sobie od tyłu spółzawodników wielkoksiążęcej korony Litwy, a między nimi zwłaszcza Jagiello, mieli się na ostrożności. Przeróżne sposoby trucia zmuszały do szukania bezpieczeństwa w również rozlicznych, nieraz całę dziwacznych środkach. Najwyklejszemu niebezpieczeństwu w kielichu biesiadnym zapobiegał Jagiello, jak jego ojciec Olgierd, jego stryj Kiejstut, jego stryjeczny Witold, zupełną wstrzeźliwością od wszelkich trunków. Zapewne nierzadkie też podsuwanie trucizny w owocach zmierzliło Jagielle też jabłka, mogące przed podaniem przechodzić wiele rąk ludzkich. Tylko słodkie gruszki zjadał nasz Olgierdowiec z ukradka, spotkawszy szczególnie dobry owoc tego rodzaju, nieprzeznaczony dla siebie, a tem samem pewniejszy. Chroniąc się przysmaku, albo naczyńia zatrutego u stołu, zadziwiał on nieprzyjmowaniem półmisków, ani nożów, nawet bielizny i sukien, od kogokolwiek innego, oprócz dworzan, którzy mieli sobie to powierzone.

W ogólności nie należało dozwalać zawsze przystępu lada komu. Konieczna zaś przezorność w wyborze osób wyradzała niejako drugą konieczność — zbyteczne poleganie na pewnych wybranych raz powiernikach. Szkodliwa też skłonność ku podszeptom oszczerców i zauszników, przyczyna tylu w życiu utrapień dla niego i dla innych, to druga wada rozumowej niedojrzałości syna Julianny. Obiedwie: podejrliwość i chętne podstępcom ucho, przy pomocy nieograniczonego samowładztwa W. książąt litewskich, wystarczyłyby do zrobienia kogo innego tyranem. Tymczasem w życiu Jagielly przeminęły one lekkim cieniem domowym, bez wpływu na losy rządzonych

ludów. Większego wpływu nie dopuściło im zacne serce Jagiełły.

Obok ubóstwa rozumowego, jakież za to bogactwo serca! Przyznawa mu to sędzia raczej przeciwny, niż bezstronny, wchodzący w najdrobniejsze szczegóły jego życia. Wszystko, co tu opowiadamy o Jagiellie, płynie z tak wiarogodnych, bo zgola oziębłych dla niego ust. Owóż uderza naprzód w rozpieszczonym miłośniku spoczynku sama potęga namiętności. Wszelkie nałogi gnuśnego wychowania, wszelkie wpojone niem zasady moralnej leniwości Jagiełły, nie zdołały przeszkodzić temu, aby przy łada zdarzeniu nie zagrała w nim krew. Żądze zmysłowe aż nadto żywo bodły go do lat późnych. W nagłym wzburzeniu gniewu gotów był książę porwać własną ręką natręta i wtrącić go do turmy. „Ty do mnie z pergaminem, a ja do ciebie z dzidą!” odpowiadał on swoim przed kim, grubym głosem Krzyżakom, gdy wreszcie nie stało mu cierpliwości. Z tej przyczyny powstrzymywano go od osobistego udziału w podobnych konferencyach, aby łatwo rozplamieniona iskra namiętności, wbrew owym maksymom przyswojonego umiarkowania, nie rzuciła pożogi w rozgowory spokojne.

A jakże namiętnie oddawał się Jagiełło głównej życia swego rozkoszy, polowaniu! Pierwszy łowca swojego czasu, utapiał on w niem wszystkie swoje myśli, chęci, nadzieje! Nie było pory roku, lub życia, w którejby mu ono zubożało. W przerwie zwykłych zabaw myśliwskich, lubił W. książę przypatrywać się szczwaniu byków. Pobłażliwy we wszystkim, nie przebaczał on żadnemu przewinieniu w rzeczach łowiectwa. „Myśliwiec od dzieciństwa”, pozostał on nim do zgrzybiałej starości. Jeszcze, jako 75-letni starzec, złamał Jagiełło nogę, goniąc w Białowiezkiej puszczy niedźwiedzia. Kiedy inni upadali na siłach, on dniem i nocą, nie czując mrozów i niepogody, przedzierał się przez śniegi, bagna, zarośla, skory do obsypania złotem znużonych towarzyszy, byle dotrzymali mu kroku. Nie mało też skarbów utonęło w ręku łowców

i psiarzy. Poważne osoby, obce ponętom zabawy leśnej, sarkwały nie bez zazdrości na szafowanie dochodów publicznych ludziom niegodnym.

Wszakże nie brakło i godniejszym, gdyż serce książęce nie ograniczało się bynajmniej na zamiętnieniu myśliwstwa. Poznaawszy jego żywość namiętną, poznajmy je z innej strony. Zewsząd ono godne współczucia i chwały, niewzbraniej mu nawet przez surowych przyganiaczy łowiectwa. W dziecinnej szczerości swojej nie znał Jagiełło cienia obłudy, „nie umiał ukryć niczego”. Urazy doznane szły dziwnie prędko w niepamięć. Komu innemu zaś wyrządzoną zniewagę, gdy nadeszła chwila uznania winy, przeblęgiwał książę ze łzami w oczach, na klęczkach. Co do jego miłosierdzia, dobroci, rzadkiej ludzkości, żaden chwalcza nie mógłby przyznać mu więcej od onych osób poważnych, nieprzebaczających mu wady najmniejszej. Przeciw koniecznemu zwyczajowi władców dziczy litewskiej, zniewolonych panować krwawym postrachem, wzdygał się Jagiełło wszelkiego przelewu krwi. Jak mu łatwo było nagradzać, tak trudno karać. Ztąd najwinniejsi nierzadko otrzymywali przebaczenie; zwyciężeni mogli być pewni łaski.

Troskliwość dla wdów, sierot, ubogich, których sprawy książę zwyczajnie sam rozsądzał lub szczególnej prawości sędziom poruczał, bywa mu osobną pochwałą pamiętana. „Z przed oblicza książęcego — mniemał Jagiełło — nie powinien nikt odchodzić bez pociechy”. Choćby więc małym datkiem, choćby upominkiem w złotogłowi, w suknie lub soli, żegnała zawsze łaska pańska poddanych. Wdowy, sieroty, biedni, odnosili dwójnasób. Pragnąc wzajemnych oznak przychylności i czci, przyjmował Jagiełło z upodobaniem podarki, acz najmniejsze, odpłacane nagrodą „dwakroć większej wartości”.

Przypadkową lub umyślną gościń u któregośkolwiek z panów możniejszych wywdzięczała darowizna sowita. Po każdych łowach zimowych rozsyłane bywały nietylko panom, lecz i mniej zamożnym osobom

solone upominki zwierzyny. Ponieważ zaś ośmieleni łaskawością poddani nieraz zbyt wielkich domagali się datków, przeto miewał Jagiełło zwyczaj dawać tylko połowę tego, o co proszono. Należy to do najpiękniejszych rysów jego dobroci. Służy bowiem za dowód, że ta chęć „pocieszania” ludzi nie płynęła ze ślepego pochopu do rozdawnictwa, lecz rzeczywistej, świadomej swego celu ludzkości.

I nie były to jedyne zalety serca Jagiełłowego. Nad pociechę codziennej dobrośliwości znało ono jeszcze wzruszenia wyższe, wspanialsze. Zaciągniętem obowiązkom dochowywał Jagiełło jak najsumienniejszy wiary, a uczyniona Krzyżakom obietnica przyjęcia chrześcijaństwa w ciągu lat czterech zapewne niepoślednio wpłynęła na jego teraźniejsze zamysły. „Widok każdego szlachetnego czynu, czy to na wojnie, czy w domu, rozgrzewał mu serce”, pobudzał do radości i pochwał, otwierał rękę do nagród. Pod jego okiem najwaleczniejsi stawali się jeszcze waleczniejszymi, lada ciura skrzętnym i mężnym. „Ztąd prawie wszystkie wojny Jagiełły miały niezwykle powodzenie.

Co owa leniwość książęca zawiniła, to jego pochop do ocenienia zasługi powetował. Zwłaszcza, iż kto raz za cnym czynem zwrócił oczy na siebie, ten już na długie lata zaskarbił sobie łaskę książęcą. Tylko urazy szły w zapomnienie; przysługom nigdy nie wygasła wdzięczność. Jakoż ta pamięć serca zdobi je niewymownie poważnym wdziękiem. To dobrotliwe serce ujmuje jeszcze niezwykłą głębokością uczucia. Oddając się jakemukolwiek przywiązaniu, oddawało się ono całe, na zawsze. Gdy losy późniejsze zniewoliły Jagiełłę spędzić drugą połowę życia zdale od Litwy w stronach piękniejszych, wszelkie zalety i powaby tych nowych stron nie zdołały odciągnąć mu serca do ubogiej, rodzinnej Litwy. Pieśń słowika litewskiego, droga mu ze wspomnień młodości, podsłuchywana w starości pod obcym niebem, była ostatnią przyjemnością jego życia, po-

wodem jego śmierci. Malowidło i budownictwo ruskie, przypominające Jagielle strony ojczyste, zdawało mu się zawsze piękniejszym nad wszystkie inne. Owszem, dla tej głęboko uczuciowej natury nie było wcale wdzięku, gdzie nie było pociągu serca.

Ztąd zupełna w niej obojętność dla wszelkich świecideł i próżnostek zewnętrznych, dla korzyści światowych. W wieku, kiedy wszyscy zbytkowali strojem błyszczącym, on chodził w prostym tołubie, nie cierpiał złota na sukni. Śród pokolenia cheiwego i sprzedajnego on „nie miał zgoła serca dla wiatku”. Nawet korona późniejsza, o tyle wyższa nad wielkksiążęcą mitrę litewską, nie przekupiła go. „Pomny zawsze dawnego chudopacholstwa”, był Olgierdowicz w każdej chwili gotów złożyć ją w cudze ręce i wrócić napowrót do pierwotnej mierności. Tylko prośby nowych poddanych odwiodły go od tego. Gdy zaś jakiegokolwiek życzenie serca, choćby istne dziwactwo, padło sporem pomiędzy Jagiełłę a tę koronę, potrzeba było najusilniejszych starań, aby mu nie dopuścić otrząśnienia się z niej. „Już was prosiłem — odzywał on się natenczas do swoich nowych poddanych — abyście odebrali sobie waszą koronę i pozwolili mi wrócić do mojej Litwy dziedzicznej. Tylkoż tego i dzisiaj żądam od was!”

Taka przewaga skłonności wewnętrznej nad wszelkimi innemi względami tłumaczy wreszcie pewną mniej zrozumiałą okoliczność. Ten uczuciowy, ten dobrotliwy Jagiełło — jak ów surowy sędzia jego oznajmia — nie kochał „żadnej” ze swoich przyszłych małżonek. Jest to wiadomość niezupełnie dokładna, gdyż wspomnianą tu ofiarę z korony chciał Jagiełło uczynić właśnie dla zapewnienia sobie ręki jednej z małżonek swoich, namiętnie ukochanej. Lecz gdyby nawet prawdą, byłoby to wistocie rzeczą niezrozumiałą? Czy owszem nie wypadałoby zgodzić się na to, że im samowładniejszym był głos uczucia, tem mniej łatwo przestawało serce na poniewolnym, niejako narzuconym sobie przedmiocie przywiązania, ja-

kim zazwyczaj darzą małżeństwa dyplomatyczne? Skoro do całkowitego oddania się, pragnęło ono oddać się z własnej woli, według własnego wyboru. Poniewolność mogła oziębic dla anioła.

Już samo z siebie wynika, iż tak niezwykajna uczciwość usposabiała do wzruszeń religijnych. Mniejsza w porównaniu obfitość i uprawa rozumu nadawała tem więcej siły temu usposobieniu. Toż nie znaleźć pobożniejszego księcia nad Jagiełłę. W całym jego życiu późniejszym ujrzymy go codziennie w modłach gorących, często w pielgrzymkach pobożnych, nawet wśród bitwy na klęczkach. Wtedy wojenne jego czyny spleta się nierozłącznie z zasługami religijnymi, sława zwycięzcy przygaśnie od sławy apostoła. W obecnym jednakże stanie pogaństwa wszelka religijność Jagiełły ograniczała się do praktyk pewnych obrzędów guślarskich, pewnych od matki Rusinki przejętych zabobonów. Teraz uwaga księcia czuwała głównie nad tem, aby przy rannem wstawaniu z łoża nie stąpić pierwaj lewą niż prawą nogą, bo to wróży dzień nieszczęśliwy. Przy goleniu brody tykał książę włosy ucięte pomiędzy palce i polewał je wodą. Przed wyjściem należało obrócić się trzykroć w koło i trzykrotnie złamaną słomę rzucić po za się.

Jeśli te uroki nie przynosiły pożytku w chwili obecnej, tem ci bardziej mogły one szkodzić czyszcieszemu światłu wiary późniejszej. Ubogi w rozum, podejrzliwy, lecz pełen serca, głęboko religijny, pałał on przytem żądzą zasłynienia przed światem, mianowicie przed tym światem polerowanego zachodu, który jego prostaczość malowała mu tem pełniejszym dziwów i blasku. Przy jego obojętności dla wszelkich skarbów i błyskotek zewnętrznych, przy łatwej do zaspokojenia namiętności myśliwskiej, wreszcie przy właściwych tak bujnym sercem zachciwach wyobraźni, stała się ta żądza chwały światowej może najżywszym bodźcem życzeń i życia.

Dla niej gotów był Jagiełło uczuć zazdrość na widok chwały stryja Kiejstuta i wejść w zabójczy

przeciw niemu spisek z Krzyżactwem. Dla niej w życiu powszedniem nadstawiał on zbyt chętnie ucha chwalcom i pochlebiaczom. Dla niej każdemu z gości zagranicznych uśmiechało się nader łaskawe i okazałe przyjęcie. Dla niej nie wahał się Jagiełło później ściągnąć na siebie nawet żalów i wyrzekań swoich daynych poddanych, zmuszanych przezeń do zbyt niego asymilowania się ludom zachodnim. Nie dość naturalna proporeya między miernością rozumu a żądzą sławy spaczyła poniekąd całą postać Jagiełły, wpłynęła nawet niepomyslnie na jego serce, które na widok niemożności dorównania prawdziwie wielkim duszom mogło na chwilę spowszednieć, zmaleć. Toż gorące pragnienie chwały światowej przyczyniło się wreszcie do skierowania Jagiełły ku tym zamysłom zagranicznym, które spowodowały bliższe tu rozpatrzenie się w jego obrazie.

Nasz prostoduszny a cziżądny Jagiełło powziął myśl zostać królem sąsiedniego państwa polskiego, małżonkiem młodocianej królowej polskiej, najpiękniejszej królowy swojego czasu. Garnęła się ta fortuna prawie sama ku niemu, a ofiarowany za nią okup, rozbrat z pogaństwem, świecił raczej pozorem, niżli istotą rzeczy. Jakkolwiek bowiem wielki był dar, który uczynić mógł Polsce Jagiełło swem pochrześnietwem, umniejszała go przecież o wiele okoliczność, iż prędzej, czy później, bądź to dla nacisku Krzyżaków, bądź z innych przyczyn, musiał Jagiełło przynieść go komuś. Cała przeto wartość ofiary jego polegała dla Polski w tem, iż Jagiełło nie gdzieindziej, tylko w Krakowie, nie inny, tylko „polski” ślubował przyjąć obrządek.

Reszta pożytków z ochrzczenia i powołania syna Olgierdowego na tron Jadwigi wynagradzała się Polakom równą miarą korzyści, jakie wzajem Jagiełło odnieść miał od Polaków. Za uwolnienie od napadów litewskich dawali Polacy pomoc przeciw Krzyżakom. Nadzieję szerokich nadań ziemskich w bezludnych krainach ruskich, uśmiechającą się możnowładcom

koronnym, odpłacał Jagielle zaszczyt osiągnięcia jednej z nieostatnich w Europie koron królewskich. W porównaniu z którą pogańska godność W. księcia Litwy zdawała się chudopacholstwem. Ograniczała się tedy przewyżką korzyści polskich na chwałę apostołstwa — chwałę, którą w obecnym stanie Litwy lada kto, lada chwila, jak prześcigał już owoc, zerwać mógł pierwszej, niż Polska. W takim zaś składzie rzeczy nastroczająca się Jagielle fortuna polska może się liczyć przedewszystkiem do owych darów niebios, jakie od dzieciństwa płyną pieszczonemu ulubieńcowi losów.

Jakoż nie zaniedbał on korzystać ze swego szczęścia. W kilka miesięcy po przejeździe Witolda, zapewne mało co przed wydzieleniem mu księstwa grodzieńskiego i coraz groźniejszą na widnokręgu burzą krzyżacką, pierwszych dni roku 1385, wyprawił Jagiełło świetną drużynę posłów i dziewosłębów do Polski.

Przewodził poselstwu rodzony brat Jagiełłów, Skirgiełło, książę na Połocku i Trokach. Był on już (jak o tem list krzyżacki do matki Jagiełłowej nadmienia) chrześcijaninem w obrządku wschodnim, a wszystkie sprawy dotychczasowe przedstawiają go najglówniejszą po Jagielle osobą Litwy. Syn tejże samej matki, w łaskach u brata Jagiełły, towarzyszy Skirgiełło oddawna wszystkim krokom W-go księcia, służąc mu za doradcę i spół uczestnika w onych tajnych zмовach z Krzyżakami przeciwko Kiejstutowi, w scenie poddania się i uwięzienia Kiejstuta, w dalszych zjazdach z krzyżackimi Niemcami na Dubissie i przy każdej innej okoliczności. To też gdy upadek Kiejstuta opróżnił księstwo trockie, drugą stolicę Litwy, odziera ją przeciw Witoldowi Skirgiełło, a nawet powrót Witoldów nie wyzuwa go z niej. Rozżalony Witold przestaje na Podlasiu i Grodzie, a jego Troki ojczyste pozostają nadal w ręku Skirgiełły, spół uczestnika fortuny Jagiełłowej.

Z tymże „wałnym, przedniejszym i najwyższym” —

jak go Jagiełło nazywa — posłem, dzielili trudy legacji dziewosłębów przyrodni W. księcia brat Borys, drugi książę litewski i „stryjec” Jagiełłów, Olgimunt, wreszcie wielkorządca wileński, Hanka. O pierwszym z nich opowiadają zwyczajnie, iż opuściwszy przed dwudziestu laty rodzinę i ojczyznę, błakał się przez ten czas po obczyźnie teutońskiej, po zamkach krzyżackich i dworach książąt niemieckich, gdzie przyjął chrześcijaństwo zachodnie i ogłądę światową, a za szczęśliwym powrotem do ojczyzny sprawował teraz obowiązek obeznanego z cudzoziemczyzną swata i dyplomaty. Wielkorządcę Hanka, onego „mieszczanina rygańskiego”, który niedawno dopomógł Jagielle do pokonania Kiejstuta, a odtąd pełnił u niego rolę jednego z najzaufańszych doradców, znamy podobnie biegłym w ówczesnych sprawach dyplomatycznych, mianowicie częstym pośrednikiem w rokowaniach z zakonem.

Składało się więc nasze poselstwo swadziebne z ludzi nader znamienitych i ogładzonych, z chrześcijan, z czoła senatu litewskiego. Trzech głównych posłów otaczał odpowiedni orszak bojarów i dworzan wielkksiążęcych. Zwyczajem wieku, szły z nimi „bogate dary” dla oblubienicy koronnej, niepoślednie upominki dla panów rad koronnych. Jeszcze kosztowniejsze obietnice korzyści, jakie odnieść miała Polska z ofiarowanej przez posłów ręki W. księcia Jagiełły, dodawały otuchy dziewosłębom. Zresztą, nie pierwsi oni orędowni między Litwą a Polską. Jak panowie krakowscy do Jagiełły, tak i Jagiełło do Krakowa niejednokrotnie poprzednio wyprawiał zwiady. Ztąd wiadano dokładnie w Litwie, jak stoją sprawy Polski i jej królowej. Nietylko sam kontrakt ślubu Jadwigi z księciem rakuzkim, lecz nawet najdrobniejsze szczegóły tegoż układu, mogące przeszkadzać ślubom z Jagiełłą, nie tajne były posłom i zleceniom wielkksiążęcym. A niosąc wszelkie środki ułatwienia swej propozycji, niosąc znaczne zyski Polsce,

a podarki Jadwidze, mogły swaty litewskie śmiało stawiać w Krakowie.

Stanęły one tam w połowie stycznia r. 1385. Za przybyciem na zamek wyznaczono im solenne posłuchanie. Zgromadzili się w niezwykle liczbie najprzedniejsi urzędnicy koronni tak duchowni, jak świeccy, ów biskup krakowski Jan Radlica, stary „pan krakowski” Dobiesław, młody wojewoda Spytek, wielkorządca Sędziwoj, z całą resztą poblizszych kasztelanów i grododzierżców. Zasiadła na tronie sama Jadwiga, Jużci wiadomy jej był przedmiot poselstwa. Pomimo to nie wzbudzało ono zbytniego w niej postrachu. Czternastoletnia królowa polska okazuje się w całym życiu późniejszym pełną uczucia swojej godności królewskiej. Zresztą przychylna towarzyszeni swego dzieciństwa, miała się ona za nierozwaniecie połączonej z nim oblubienicy, za jawną wobec Kościoła małżonkę Rakuszaną Wilhelma, z którym tak uroczyste poślubiono ją w siedmiu leciech w Haimburgu.

Ztąd terazniejsze swaty litewskie, jakkolwiek trudne do uniknięcia, nie mogły, w rozumieniu Jadwigi spodziewać się wcale skutku pożądanego, a tem samem stać się wistocie groźnymi „małżonce” Wilhelmej. Względy dla samożnego księcia pogańskiej Litwy nakazywały dać posłuchanie jego odezwie; lecz spełnienie żądań posłów litewskich należało do niepodobieństw. I był nawet nietrudny sposób odwrócić od siebie starania Jagiellowe. Zapewne w porozumieniu z przychylnem Wilhelmowi stronnictwem dworskiem postanowiła Jadwiga użyć teraz sposobu tego w blizkiej odpowiedzi dziewczęstwu litewskiem.

Właściwe onym czasom zamilowanie w ceremoniach podnosiło rzeczywistą powagę chwili. Wprowadzono posłów litewskich. Zamiast powszechnego w zachodniej Europie przyklekiwania przed osobą królewską powitali oni piękną dziewczę na tronie wschodniej czołobitni zwyczajem. Naprzód odbyło się uroczyste złożenie i przyjęcie świetnych darów książę-

cych, złożonych w znacznej części z byzancskich zapewne ozdób i kosztowności. Potem wystąpił rodzony brat Jagiellów, wódz poselstwa Skirgiełło, i wobec całej rady królewskiej przemówił w te słowa do Jadwigi:

„Już to wielu cesarzów, królów i książąt chrześcijańskich starało się i pragnęło zawrzeć sojusz dogonnego pokrewieństwa z W. ksiąźciem Litwy, Jagiełłą Olgierdowiczem. Wszakże dopiero osobie waszego królewskiego majestatu zachował Bóg wszechmogący osiągnięcie tego zamiaru. Przeto ze względu na tak zbawienne zrządzenie tajnych wyroków bożych, racz W. miłość królewska przyjąć pomienionego W. księcia Litwy za małżonka swojego. Co gdy pożądanym uwiecznione zostanie skutkiem, urośnie ztąd obficie chwała boża, korzyść duszna, cześć ludzka i potęga królestwa. W. ksiązę Jagiełło wraz z wszystkimi braćmi, jeszcze podotąd nieochrzczonymi, tudzież z wszelką szlachtą i ziemianinami swych krajów od najwyższego do najmniejszego, chce, pragnie i życzy sobie przyjąć wiarę katolicką w św. kościele Rzymskim. Nad którym to dziełem, jak powiedziano, pracowało wiele cesarzów i książąt przeróżnych, lecz nie mogło po dziś dzień zdążyć do celu. Aż dopiero W. królewskiej miłości zachował Bóg wszechmogący tę sławę. Zaczem w tem większą jawność i pewność swoich oświadczyń przyrzeka tenże W. ksiązę Jagiełło użyć wszystkich swoich skarbów ku odzyskaniu uszczerbków państw obojga, tak Polski, jako i Litwy, jeśli W. królewska miłość oddasz mu swoją rękę. Podobnież przyrzeka tenże W. ksiązę Jagiełło wypłacić sumę dwakroć stu tysięcy florenów umówioną tytułem zakładu między najjaśniejszą królową węgierską, matką W. królewskiego majestatu z jednej, a ksiąźciem rakuzkiem z drugiej strony. Przyrzeka też i obowiązuje się W. ksiązę Jagiełło odzyskać własnym kosztem i trudem wszelkim straty i uszczerbki korony polskiej; przez kogokolwiek oderwane i zagarnięte. Dalej przyrzeka W. ksiązę uwolnić wszystkich

chrześcijan, w szczególności ludzi obojej płci, wprowadzonych obyczajem wojennym z ziemi polskiej, tak, iżby każdy i każda z nich mógłby i mogła dokądkolwiek powrócić z Litwy. Nakoniec przyrzeka tenże W. książę Jagiełło wcielić swoje litewskie i ruskie ziemie na wieczne czasy do korony państwa polskiego.

Rozradowały się serca rady koronnej, słysząc te obietnice. Przyszła kolej na odpowiedź królowej. Jadwiga odpowiedziała, iż będąc zaślubioną z księciem rakuskim, winna dochować mu wiary. Zresztą, gdyby nawet chciała wysłuchać życzeń W. księcia Jagiełły, zachodzi trudność ze strony matki. Królowa Elżbieta obowiązana jest dawnymi paktami do związku z domem rakuskim. Sprzeniewierzenie się im przez Jadwigę naraziłoby matkę na wiarołomstwo. Od niej więc zależy ostateczne rozstrzygnięcie tej sprawy. Do niej też odseła Jadwiga posłów litewskich. Matka — domawiała w duchu oblubienica Wilhelma — nie może przystać na żądania litewskie, tak sprzeczne z całym dotychczasowym biegiem wypadków, z dawnymi życzeniami i widokami zmarłego ojca Ludwika, z wiadomą wreszcie skłonnością córki.

Posłowie litewscy zgodzili się na dalszą podróż do Węgier, po odpowiedź z ust samejże matki królowej. Jakies nieprzewidziane przeszkody, zapewne grożąca Litwie wojna krzyżacka, nie dozwoliły wprawdzie głównemu posłowi, księciu Skirgelle, udać się osobiście nad Dunaj, lecz dokładny list wierzyszelnego upelnomocnił ku temu w imieniu Skirgiełłowem dwóch innych dziesiętów, to jest księcia Borysa i starostę Hanka, czyli Hanulę. Dla tem skuteczniejszego poparcia starań litewskich przydała rada krakowska osobnych ze swojej strony wysłańców, mających zapewnić królowę węgierską o przychylności narodu dla zbawiennych Polsce życzeń Jagiełły. Byli tymi pomocnikami polskimi: Włodek z Ogródzienca, podcasy krakowski, Mikołaj z Ossolina, kasztelan zawichotski i Krystyn z Ostrowa, starosta, czyli dzierżawca kazimierski. Wzmocnione tak poselstwo litewsko-

polskie wybrało się wrychle na dwór węgierski, aby tam sprzymierzonymi siłami nad spólnem pracować dziełem.

W Węgrzech znaleźli posłowie nader przyjaźny stan rzeczy. Zdarzyło się nam wspomnieć już kilkakrotnie, iż królowa Elżbieta nie wiele rada była swoim zięciom niemieckim. Spodziewane dawniejszymi czasy dopełnienie ślubów z jednym z obu natrętów alemańskich, t. j. Wilhelmem Rakuszanem, poszło w odwołkę. Posłużyła przeciw niemu wymówka, że Polacy domagają się wybrać Jadwidze małżonka po własnej myśli. Nie chcąc pozbawiać Jadwigi, a tem samem i jej przyszłego męża widoków tronu polskiego, dopuścił dom rakuski dwuletniej przerwy w traktatach ślubnych. Zawsze atoli krzepiła go nadzieja, że po koronacji Jadwigi dostąpi Wilhelm z łatwością jej ręki i korony. Tymczasem przemysliwała królowa Elżbieta nad pozbyciem się zięcia drugiego, Zygmunta Luksemburczyka.

Lubo jeszcze na rok przed Wilhelmem zaręczony z terazniejszą młodą królową węgierską, Maryą, nie uchodził Zygmunt w Węgrzech za króla, i równie jak Wilhelm, nie osiągnął jeszcze małżeństwa zupełnego. Co więcej, zarzucając mu dziką płochość, którą młodzian obrażał ciągle matkę Elżbietę i dostojników węgierskich, a z której nawet dojrzałe nie wyleczyły go lata, zmuszono Zygmunta opuścić narazie Węgry i przyszłą żonę i powrócić do swego margrabstwa Brandenburskiego. Tym sposobem stała się królowa Elżbieta niejako wolną od zobowiązań względem zięciów obudwóch, panią losu obudwóch córek. Zwłaszcza też nad Maryą w Węgrzech zawładnęła teraz przeważnie ręka wdowy Ludwika.

Dopomagał jej w tem samorządztwie niewieściem, bardzo niemiłym pewnej wyjątkowej części narodu, przechylającej się swoim zdaniem na stronę związków z zięciami dotychczasowymi, z dworami niemieckimi, pierwszy z dostojników węgierskich, pa-

latyn, czyli wielki hrabia koronny Mikołaj Gara, przewodnik stronnictwa przeciwnego, dążącego do związków antiteutońskich. Dzięki ścisłemu w tej mierze porozumieniu z królową Elżbietą, posiadał teraz tenże palatyn Mikołaj główną władzę w królestwie. Elżbieta okazywała się tak dalece powolną jego radom, iż rozniósł się pogłoski, jakoby matka Jadwigi kochała się w palatynie. Bądź jak bądź, zgodność obojga w niechęci ku narodowości zięciów królewskich groziła obudwom zięciom coraz większem niebezpieczeństwem. Nie przestając na wydaleniu Zygmunta z Węgier, postanowiła Elżbieta oddać oblubienicę Zygmuntową w rzeczywiste małżeństwo komu innemu. Droga do przeciwnych teutonizmowi związków wiodła z nad Dunaju zawsze ku południowym Włochom lub Francyi. Z tejże obojej strony miała teraz Elżbieta, W. hrabiemu Mikołajowi i całemu antiteutońskiemu stronnictwu przybyć pomoc przeeciwno Zygmunтови.

Wyprawiło się z woli królowej Elżbiety podwójne poselstwo do Francyi i Neapolu. Pierwsze z niezwyčajnym przepychem w 150 koni występując, starało się u dworu francuskiego o związek małżeński między młodocianą królową Maryą a bratem francuskiego króla Karola, Ludwikiem hrabią Walezkim, później książęciem Orleańskim. Był to ten sam królewic, któremu zmarły ojciec Jadwigi jeszcze przed laty dwunastu przeznaczył w małżeństwo najstarszą z córek, zmarłą królową Katarzynę. Ale ponieważ ten oblubieniec francuski, jak wszyscy oblubieńcy onego czasu, pomimo dawne negocjacje weselne, był teraz dopiero czternastoletnim wyrostkiem, więc należało znaleźć tymczasowo dla młodocianych małżonków i dla korony węgierskiej doświadczonego sprzymierzeńca i opiekuna.

Takim zdał się bratanek nieboszczyka króla Ludwika, a tem samem i królewskiego domu Francyi, Andegawczyk Karol Mały, książę Durazzo, niegdys wychowany na dworze Ludwikowym, teraz za jego przyzwoleniem i pomocą pan królestwa Neapo-

litańskiego. Do niego więc udało się drugie poselstwo węgierskie, wzywając go do wynagrodzenia dzieciom Ludwikowym dobrodziejstw ojca, przez zasłonięcie ich od nieprzyjaciół wewnętrznych i zewnętrznych, jakimi mogli być naprzód czescy Luksemburczyki, mszczący się wygnania Zygmunutowego, a następnie Zygmunтови stronnicy w samychże Węgrzech. Wszystko co żyło, dawało głośnie świadectwo, iż sama królowa Elżbieta utorowała Karolowi Małemu w ten sposób drogę do Węgier. Sprawa pierwszego poselstwa po oblubieńcu z Francyi, wymagająca dłuższego czasu, bo najpierw przedugodnej odpowiedzi z Paryża, a potem powtórnego poselstwa z Węgier dla istotnego już sprowadzenia królewicza Ludwika nad Dunaj, musiała z tej przyczyny zacząć się wcześniej, może już w zimie z roku 1384 na rok 1385. Powrócili posłowie węgierscy z Paryża w towarzystwie wzajemnego poselstwa francuskiego, sprawowanego przez biskupa Mailleretskiego i pana Jean la Persone, który po zupełnem ułożeniu rzeczy zaślubił oblubienicę w imieniu nowożeńca i był z nią według zwyczaju połączony obrzędem pokładzin ślubnych.

Drugie poselstwo, do Neapolu po Karola, odbyło się nieco później. W pierwszej połowie r. 1385 były obadwa już zagajone. Obadwa rokowały zarówno pomyślny skutek. Jak królowic franeski Ludwik tak i pan Neapolu, Karol, okazał się gotowym do podróży w strony węgierskie. Po narzeczonego francuskiego wyruszyło powtórne poselstwo węgierskie, przeznaczone do sprowadzenia go w przeciagu kilkunastu tygodni. Nim obaj goście z nad Sekwany i z Neapolu w jednym i tymże samym miesiącu wrześniu r. 1385 mieli opuścić Francję i Włochy, aby się udać nad Dunaj, oczekiwano ich tam z gorącą niecierpliwością. Dopiero bowiem przybycie obudwóch potomków francusko-królewskiej krwi obiecywało dokonać dzieła, nad którem obecnie pracowano tak sil-

nie, t. j. uwolnienia się od jednego z zięciów teutońskich, od Zygmunta Luksemburczyka.

W takim stanie rzeczy przybyło poselstwo litewsko-polskie, żądające ostatecznego uchylecia zięcia drugiego. Nie można było z pomyślniejszym występować żądaniem. Witano je wszędzie otwartymi ramionami. Jeśli królowa Elżbieta z prywatnych osobistych pobudek nie sprzyjała zięciom niemieckim, tedy całemu stronnictwu narodowemu, które teraz rej wiodło w Węgrzech, chodziło z publicznych powodów o to, iżby także w Polsce nieteutoński panował król. W tej mierze istniało między Polakami a znaczną częścią Węgrów już teraz owo spółczucie zdań, które kilkadziesiąt latami później syłało tak spółżałosne listy od prałatów, panów i szlachty węgierskiej do prałatów, panów i szlachty polskiej. Sami Małopolanie nie mogli goręcej pragnąć Jagiełły, jak mu sprzyjali Węgrzy. Teraźniejszy wszechwładca Węgier, miły Elżbiecie palatyn Gara, popierał sprawę litewską. Pozostały owszem świadectwa, iż on to głównie znievolił królowę do oświadczenia się za Jagiełłą.

Za Wilhelmem, za osobistą skłonnością Jadwigi, nader słabe mówiły względy. Przychylność serca młodocianego zdawała się łatwą do poskromienia. Paktów rakuzkich bronił chyba Szlázak, Opolczyk, dawny spółświadek i spółporęczyciel ślubów Haimburskich. Utrzymując ciągle ich prawomocność, miał on temi czasy nieprzyjazne zajście z przeciwnikiem Wilhelma, ulubionym Elżbiecie palatynem, dotyczące (jak się zdaje) zagrożonych ślubów Jadwigi. Doszło jednakże o tem jedynie tyle do wiadomości, iż w zimie z roku 1384 na 1385 stanęła między palatynem Mikołajem a księciem Władysławem Opolskim pisemna po jakimś ważnym sporze ugoda, zapewniająca królowej Elżbiecie spokojną odtąd uległość obudwóch przeciwników. Zawarta w tym akcie wzmianka o przyzwoleniu i zgodności „królowej polskiej Jadwigi”, naprowadza na myśl, iż uciszona w ten sposób waśń obchodziła w pewnym względzie sprawę Jadwigi.

Bądź jak bądź, życzliwe chęci Opolczyka nie polepszyły widoków rakuzkich. W nadmienionym tu dokumencie ugody zapiera się on w ogólności wszelkich przyjaznych stosunków z „nieprzyjaciółmi i przeciwnikami królowej”, a w niedalekim czasie, mimo ciągłych konszachtów z domem książąt rakuzkich, obaczmy go coraz przychylniejszym Jagielle. Nie było więc nikogo, coby skutecznie ujął się za Wilhelmem. Poselstwo litewsko-polskie znalazło otwarte wszędzie wrota i serca.

Nie przeszkodziło to przecież długim traktatom. „Chłopski rozum” onego czasu byłby sobie za największą poczytał krzywdę, gdyby mu odjęto sposobność do rozwlekłych nad czymkolwiek narad, zastrawień, wątpliwości, targów i wielce zwodnych upewnień. „Mnogie więc dnie” upłynęły, nim ostateczna nastąpiła odpowiedź. W tym przeciągu czasu mogli nasi litewscy i krakowscy posłowie napowtarzać się do woli swoje ofiary i oświadczenia. Mianowicie, ponowiła się w stolicy węgierskiej, Budzie, uroczysta scena posłuchania wobec starszej królowej, uświetniona mową głównego teraz pościa, księcia Borysa, w której usłyszano znowuż z podziwem, jak to wielu cesarzów, królów i książąt pracowało nad chrztem Jagiełły, a dopiero domowi andegaweńskiemu dane zostało szczęście odnieść palmę tego dzieła zbawienia.

Odezwały się znane już obietnice przyjęcia religii katolickiej, użycia skarbów książęcych do odzyskania uszczerbków korony polskiej, zwrotu zastrzeżonych układem rakuzkim dwakroć stutysięcy korenów, uwolnienia jeńców chrześcijańskich, wieczystej unii Litwy z Koroną. Wypływające ztąd korzyści zanadto były w oczy, aby się niemi nie miała rozradować matka Jadwigi. Wypadało jednakże okazać obojętność, nawet trudność w przyjęciu. Jeśli Jagiełło pragnął jaknajkorzystniej sprzedać swoje pogaństwo, toć wymagała przystojność ówczesna po Elżbiecie podrożyć się nawzajem. Właściwa ofiara kupna, osobiste chęci Jadwigi, nie szły na wagę. Przytoczono jedynie obo-

wiążącą moc pergaminów, ponawiano tylokrotnie umowy i ceremonie.

Z dnia do dnia przeciągała się sprawa. Obyczaj czasu zniewalał do zakończenia jej pośrednictwem. Stanęli, jako rozjemcy między matką królewską a dziełami litewskimi, towarzyszący im panowie posłowie polscy. Nie dla swego domu, nie dla Jadwigi (było zdaniem panów krakowskich: Włódka z Ogrodzieńca, kasztelana Mikołaja Ossolińskiego i starosty Krystyna), lecz dla Polski powinna królowa przyjąć oświadczenie Jagiełły. Polska poczytuje sobie związek z Litwą za wielką korzyść. Nawrócenie pogaństwa litewskiego przyniesie całemu chrześcijaństwu pożytek. Względ na to rozbroił wątpliwości królowej. W ostateczną odpowiedź poselstwu swadziebnemu oznajmiła Elżbieta, iż „zgadza się na wszystko, cokolwiek służy ku pożytkowi religii i królestwa polskiego. Niech więc młoda królowa Jadwiga i panowie polscy postąpią sobie w tej mierze, jak tego wymaga dobro rzeczypospolitej chrześcijańskiej i polskiej”.

Królowa Elżbieta zrobiła więcej. Powracającym z jej odpowiedzią posłom litewskim zostali przydani dwaj posłowie węgierscy, mający udać się aż do Litwy, aby tam własnonownie ułożyć sprawę z Jagiełłą. Wybrano ku temu księdza Szczepana proboszcza Czanadzkiego i Władysława de Kaza, kasztelana z Potoku. Ci, wraz z posłami polskimi i litewskimi, wybrali się w drogę równie daleką, jak ta, którą temiż samymi czasy drugie poselstwo węgierskie dla drugiej córki królewskiej sprowadzało małżonka z dalekiej Francji.

W powrocie z Węgier do Litwy czekała cała, potrojona teraz ambasada główna stacya w Krakowie. Odpowiedź królowej złożyła (przynajmniej na pozór) ostateczne rozstrzygnięcie rzeczy w ręce Jadwigi i Polaków. Oni to więc mieli nadać stanowczy obrót układom. W Krakowie miało paść słowo wyroku, rozstrzygające los pogańskiego istnienia Litwy i tylo-

letnich starań rakuzkich o jedną z koron andega-
weńskich.

Od czasu burzliwych obrad przed zjechaniem Jadwigi nie było w Krakowie pomiędzy szlachtą ziem krakowskiej tak żywego ruchu, jak teraz, po przybyciu posłów węgierskich. Przyniesiona przez nich wiadomość, iż królowa zdaje rozstrzygnięcie na szlachtę, okazała potrzebę zgromadzenia liczniejszej części narodu. Sami bowiem najwyżsi dostojnicy krakowscy czuli się niedostatecznymi do wyrzeczenia ostatniego głosu w tak ważnej sprawie. Obwołano więc zjazd sejmowy w Krakowie. Przez co jednak zwyciężające teraz stronnictwo małopolsko-litewskie, doprowadziwszy rzeczy do tego kresu, nie myślało bynajmniej podawać je nanowo w niebezpieczeństwo walki obradnej. Miał tedy zjazd krakowski składać się, ile możliwości, z samych przyjaciół. Stało się, jak o to postarano się. Z odleglejszych okolic, z obojętnych dla Jagiełły, a przyjaźniejszych komu innemu stron wielkopolskich, przybyło nader niewiele ziemian. Ledwie słaby odgłos przeciwnych zdań przybłąkał się na zjazd krakowski. Pod tym względem mogli panowie krakowscy bezpiecznie wszczynać obrady. Inna atoli niepokoila jeszcze obawa. Toć królowa Elżbieta zdała sprawę na wolę narodu i na wolę Jadwigi. Potrzeba było przyzwolenia młodocianej królowej.

Jadwiga zaczęła rok piętnasty. Jakkolwiek sercom wieku onego dozwolano wcześniej płonać uczuciem, nie możemy przecież przypuścić, iżby przedkiluletnia znajomość z również nieletnim Wilhelmem, przerwana śmiercią ojca, Ludwika, gdy oboje po jedenaście liczyli lat, pozostawiła głębokie wrażenie w sercu dziecinem. Od śmierci króla Ludwika, jak temu dowodem nieponowienie ślubów małżeńskich z dojściem do lat dwunastu, ustały wszelkie związki pomiędzy dziećmi. Przez cały rok pobytu Jadwigi w Polsce, gdy ona już samowładną była królową, nie słyhać o Wilhelmie w Krakowie. Przechowane wspomnienia dawnych stosunków mile zapewne bawiły

pamięć dziewiczą, niejedno zapewne wywoływały westchnienie, mogły za osobistym zjawieniem się Wilhelma namiętą rozbudzić miłość, lecz nie były w stanie uzbroić Jadwigę bezwarunkowym oporem przeciw Jagielle.

Głównymi jego nieprzyjaciółmi w sercu młodzieńczej królowej polskiej, głównymi sprzymierzeńcami Wilhelma, mogły teraz być, nie tyle miłość istotna, ile raczej myśl obowiązku ślubnego, zaprzysiężonego uroczyscie w Haimburgu, ile wstręt ku narzucającemu się księżęciu litewskiemu, poganinowi, oszpeconemu tysiącami rysami potwarzy i uprzedzenia. Owóż przeciwko tym niebezpiecznym, lecz niedość jeszcze stanowczym podporom skłonności ku księciu rakuskiemu, wypadło teraz dostojnikom koronnym stanąć do walki prośbą i przedstawieniem. Przewodniczyła walce nader groźna dla Wilhelma potęga, rada i powaga duchowieństwa całego. Biskupowie polscy byli oczywiście najgorliwsi popieraczami nawrócenia Litwy na wiarę rzymską, a tem samem i ofiarowanych przez Jagiellę ślubów małżeńskich. Wsparła ich w tym razie niepoślednio sama bogobojuść Jadwigi.

„Już wtedy pobożna i sławie świątobliwości przychylna”, ceniła ona sobie wysoce zasługę nawrócenia Litwy pogańskiej. W tę strunę młodej duszy uderzyli przyjaciele Jagielly, zwłaszcza duchowni, przedewszystkiem arcybiskup gnieźnieński. Rozpromieniono przed Jadwigą chwałę pozyskania Chrystusowi ostatnich pogan w chrześcijańskiej połowie świata. Do upomnień duchownych, do prośb panów koronnych, wszystkie jeszcze lud małopolski, ów lud, dla którego ona tak tkliwe miała serce, a któremu ręka Jagielly wróżyła koniec zagonów i łupieży litewskich, łączył swoje błaganie. Przewinę sprzeniewierzenia się Wilhelmu, osłabianą przeciwnem tłumaczeniem panów duchownych, łagodziła doreszty obojętność matki w tej mierze.

Godzi się owszem mniemać, że przy tak jawnem

przechyleniu się królowej Elżbiety na stronę przeciwników Wilhelmych, nie obeszło się bez wyraźnych rad macierzyńskich na rzecz Jagielly. Któż wie, ażali samo Wilhelmore niepospieszanie do Krakowa przez czas tak długi nie wpłynęło na usposobienie Jadwigi? Te wszystkie względy przemawiały potężnie za stroną przeciwną, za księżciem pogańskim. Dawne przywiązanie, wyobrażenie o dawnym obowiązku, zachwiały się. Dziewica królewska była gotowa ustąpić wszechstronnym wymaganiom narodu.

Pod tak pomyślną wróżbą rozpoczął się i odprawił terazniejszy zjazd sejmowy w Krakowie. Z czego jednakże nie wynika, iżby odprawił się szybko. Właściwa epoka rozwlekłość myśli nie pozwoliła i w niniejszym wypadku wydziedziczyć się ze swego przywileju wielostowności. Lubo cała sprawa była właściwie już rozstrzygniętą, lubo tylko mało zgromadziło się przeciwników, w długie przecieży dnie przeciągnęły się znowu obrady. Jedni sprzeciwiali się z próżnej chętki mędrkowania na obie strony, drudzy ze szczerzej skłonności ku dawnemu rodowi królów, inni wreszcie, i to zapewne w uajwiększej liczbie, dla tem korzystniejszego nakoniec sprzedania swojej kreski przyzwalającej. Dochodzą nas wiełorakie upewnienia, iż „chęć wziętku”, „łakomstwo”, sprzedajność, działały potężnie w sprawie wyboru Jagielly.

Zaczem, już to pozornie, już w dobrej wierze, mnożąc wątpliwości i słowa, odzywały się głosy za dawnym rodem Piastów, w szczególności za Ziemowitem lub Opoleczykiem. Najbliżsi Jadwidze urzędnicy przemawiali za Wilhelmem Rakuszanem i zawartemi już śluby. Tak ci, jako i tamci, wyrzekali przeciwko niepoczesnemu odstrychaniu się od związków z którymkolwiek księżciem narodowym, albo innym postronnym. Czyż nie ma już nikogo godniejszego korony polskiej nad Jagiellę, barbarzyńcę, łupieżcę krain polskich? Nawet przyjaciele sojuszu z Litwą stawili mu zawady. „Wiadoma rzecz — było ich zda-

niem — że Jagiełło miałkiego jest rozumu, że prostak, niepodobny na króla. Godniejszym odeń korony — Witold, syn walecznego Kiejstuta. Temu raczej oddać Jadwigę i berło."

Bezwarunkowi popieracze Jagiełły odpowiadali przeciwnie: Z Piastów niewielka korzyść. Opolczyk sprzeniewierzył się narodowi, przeszedł w hołdownictwo koronie czeskiej. Ziemowit w porównaniu z Jagiełłą Olgierdowiczem — ubogi, nie zapomoże niczem królestwa. Wilhelm daleko ma swoje księztwa; gdyby nawet życzył sobie dać pomoc, posiłki rakuzkie nadeszłyby za późno. Co do miałkości rozumu Jagiełłowego, ta wistocie, znaną jest wszystkim. Wszakże przywara podobna mówi raczej za nim, niż przeciw niemu. Właśnie dla niewielkiej bystrości umysłu będzie Jagiełło dogodniejszym królem, niż Witold, przyzwolił z łatwością na spodziewane po nim rozszerzenie swobód szlacheckich, które miało być większem, niż przed jedenastu laty w Koszycach.

Jakoż uznano powszechnie słusność tej ziemiańskiej uwagi. Niewielka zaciętość przeciwnych zdań ułatwiła powszechne porozumienie. Urok wziętku, podarków, dokonał reszty. Cały sejm przystał na Jagiełłę Olgierdowicza. Powszechna zgoda pociągnęła za sobą młodą królową. Wola matki, głos duchowieństwa, pociecha z kroci zbawionych dusz, głośnie po całym świecie cześć z apostołstwa, osłodziły przykrość sprzeniewierzenia się dawnym związkom, zawarcia ślubów z nieznanym poganinem. Jadwiga, acz nie bez żalu, acz za lada wstrząśnieniem gotowa uleść dawnemu pociągowi, zezwoliła na oddanie ręki Jagiełły.

Gwiazda szczęścia Jagiełłowego zabłysnęła jasno, jak nigdy. Równie jak rodzona matka, Julian-na, jak sędziwy stryj Kiejstut, jak pełen szlachetnego zaufania przyjaciel Witold, Ignęły doń i nad Wisłą i nad Dunajem wszystkie serca i chęci. Królowa Elżbieta łamała dla niego najsołenniejsze układy i przysięgi; hardy naród przyozdabiał go starożytną

koroną; młoda, piętnastoletnia królowa oddawała mu swoją rękę, najpiękniejszą rękę swojego czasu. A był to tylko prostak, miałkiej głowy, podeszłych lat.

Ci sami posłowie polscy, którzy dziewosłębom litewskim towarzyszyli do Węgier, panowie: podczaszy krakowski, Włodko; kasztelan zawichostski, Mikołaj Ossoliński i starosta kaźmierski, Krystyn, otrzymali zlecenie towarzyszyć im dalej, do Litwy. Całe połączone litewsko-węgiersko-polskie poselstwo poniosło Jagiełłę przyzwalającą odpowiedź królowej-matki Elżbiety, królowej polskiej Jadwigi i narodu.

Było to już w połowie r. 1385, z końcem lipca albo w pierwszych dniach sierpnia. Bawił W. książę litewski podówczas za Wilnem, w mieście Krewie. Tam wszystkie trzy grona polskie złożyły mu jednomyślną wiadomość szczęścia. Wymagała teraz dalsza formalność, aby Jagiełło ponowił osobiście też warunki zaślubin, jakie swatowie litewscy oznajmili Węgom i Polakom w jego imieniu. Stało się według wymagań okoliczności. W. książę powtórzył własno-ustnie wszystkie przyrzeczenia swych posłów. Osobiste oświadczenie książęce zostało nadto ułożone na piśmie, w dokładnym dokumencie, wyłuszcującym cały bieg rzeczy.

Zagaja dokument uwiadomieniem, w jaki sposób posłowie węgierscy i polscy zdali sobie przed Jagiełłą sprawę z czynności posłów litewskich w Krakowie. Przyczem idzie wzmianka o wyprawieniu swatów książęcych do królowej Elżbiety w Węgrzech i następuje w całości mowa, miana tam przez książęcia Borysa, a zawierająca wszystkie oświadczenia i obietnice Jagiełły. W końcu uznawa Jagiełło te oświadczenia za swoje własne i w obecności braci Skirgiełły, Korybuta, Witolda i Lingwena, tudzież w reszty nieobecnych imienin, zatwierdza je pieczęciami swojemi i braterskimi. Dany jest dokument w Krewie, w wigilię Wniebowzięcia N. Panny, dnia 14 go sierpnia 1385.

Nim dalsze kroki nastąpić mogły, musiała ta ra-

tyfikacya książęca przedłożoną być królowej Elżbiecie i Polakom. Dopiero po takim upewnieniu się miał Jagiełło otrzymać zaproszenie na tron. Z temże odjechali posłowie węgiersko-polscy. Tymczasem przed weselną wyprawą Jagiełły od Krakowa wyprawili się Krzyżacy z ogromem wojsk przeciw Jagielle do Litwy.

Po wiosennych zatargach tegorocznych zaniósł się na wielką burzę ze strony zakonu. Wiadome Krzyżakom bezwątpienia swaty krakowskie podlegały oczywiście do tem gwałtowniejszej zawziętości. Zgromadziła się w Prusiech pod lato niezwykła liczba gościńnego ze wszystkich krajów rycerstwa. Ku podniesieniu zapału chwycono się nowego podówczas środka, biesiady honorowej. Zapewne za sprawą teraźniejszego marszałka zakonu, Konrada Wallenroda, któremu niekiedy przypisują wymysł tej fantastycznej zachęty, a który temi czasy coraz głośniejszym wrogiem Litwy stynąć zaczyna, odbyła się przed wyprawą litewską solenna „uczta czestna,” dająca zwyczajnie dwunastu najświetniejszym rycerzom miejsce u swego stołu. Teraźniejsze umieszczenie przy nim niezwykłej liczby piętnastu biesiadników świadczy o niezmiernym napływie gości rycerskich.

Z tymiż przybyszami zagranicznymi, z rycerstwem zakonem i z potężnem wojskiem krajowem uderzył W. mistrz Konrad Colner w kilka lub kilkanaście dni po owym pobycie posłów swadziebnych w Krewie na granice litewskie. Broniący przystępu Skirgiełł został ze stratą odparty. Po raz tysięczny rozwinęły się sztandary św. Jerzego, N. Panny i zakonu o czarnym orle i krzyżu nad brzegami Niemna i Willi, przodkując rozsypanym po całej Litwie zagonom zbrojnym. Skierowane właśnie ku zamożniejszym posiadłościom książęcym około Krewa, ogarnęły one najpiękniejsze powiaty kraju, mianowicie Miednicki i Oszmiański. Pod Miednikami odprawiono no-

wy festyn wojenny, uświetniony obrzędem pasowania nowych rycerzy.

Nie zajmując się zresztą zdobywaniem warownych grodów, dopuszczali się Krzyżowcy głównie łupieży. Zagarnięta przy tem została tak nadzwyczajna obfitość bydła, iż pojedyncze woły i owce straciły wszelką cenę na targach pruskich. Po trzechtgodniowem pustoszeniu zabrano się do odwrotu. Wtedy nadeszła wiadomość, że Jagiełło z Witoldem i Skirgiełłą obsadzili znacznemi siłami wszystkie brody graniczne. Nie ustraszyło to przecież Krzyżaków. Znała bowiem dezorganizacya moralna całego ludu zapewniała im w każdym razie tajnych pomiędzy Litwinami sprzymierzeńców i ostrzegaczy. Obecnie wyświadczyli im tę przysługę dwaj bracia Surwiłłowie, dawni poufnicy zakonu. Za ich pomocą przeprowadził W. mistrz jedną połowę wojska bez żadnego szwanku przez rzekę Niemen. Druga połowa zdobyła sobie zbrojną ręką przeprawę.

Poniesione przy tem szkody krzyżackie nie mogły w porównanie iść z klęską, zadaną Litwie. Była to klęska zajadłej zemsty za dostrzeżony w Jagielle zamysł otrąśnięcia się z pęt zakonnych. I nie dość było zemście poprzestać na tym ciosie jedynym. Gotowe do drugiego uderzenia narzędzie znaleźli Krzyżacy tuż po obecnej wyprawie w osobie jednego z przyrodnych braci Jagiełłowych, Andrzeja Olgierdowicza, byłego książęcia połockiego. Wgnany przed siedmiu laty z Połocka, wrócił on następnie, mimo woli Jagiełły, jak się zdaje, napowrót do swego księstwa, a teraz z obawy nowych nieprzyjacielskich kroków Jagiełły i Skirgiełła uciekł się do ścisłego przymierza z Krzyżakami inflanekimi. Podobnie jak Witold przed niedawnym czasem swoją Strocką ojcowiznę, tak Andrzej zapisał teraz zakonowi całe „królestwo Połockie, biorąc je od niego napowrót, jako lenno krzyżackie, z zapewnieniem wzajemnej pomocy zakonu przeciwko wszelkim nieprzyjaciółom Andrzejowym.

Uzyskiwali przez to Krzyżacy gotową w każdym razie pomoc Andrzeja przeciw Jagielle. Wisiało tedy ciągle z tej strony niebezpieczeństwo nad Litwą, mianowicie nad jej teraźniejszą sprawą swadźby krakowskiej. Musiał Jagiełło śpieszyć z osiągnięciem korony polskiej, jeśli nie chciał stracić przedtem litewskiej. Wtem, widząc się już prawie u celu, mając przyzwolenie matki Elżbiety, zjednaawszy sobie chęci Jadwigi i narodu, spotkał się W. książę litewski nagle z nową przeszkodą, niebezpieczniejszą od samej grozy Krzyżactwa. Stało mu w drodze osobiste przybycie Wilhelma do Krakowa i rozbudzona tem miłość Jadwigi.

XIV. WILHELM.

Wznowienie umów rakuzkich w Budzie.—Przyrzeczenie pokładzin w Krakowie.—Zmiana w usposobieniu Jadwigi.—Wyprawa swadziebna po obiedzie córki Ludwika.—Początkowa pomyślność Zygmunta w Węgrzech.—Nagle zmuszenie do ucieczki.—Przybycie Wilhelma do Krakowa.—Charakter Wilhelma „Wytwornego.”—Obraz wytworności rycerskiej XIV stulecia.—Nowocześniejsza ceremonialność i pretensjonalność w stroju, przysmakach stołu, wygodach.—Rażąca przytem prostactwo wyobrażeń.—Schadzki Wilhelma i Jadwigi u Franciszkanów.—Średniowieczna gościnność klasztorów.—Nadużycia w tej mierze.—Festyny XIV wieku.—Muzyka.—Plasy.—Towarzystwo.—Zalotnictwo.—Piększydła.—Mody.—Rozmowa i zwyczaje kochanków.—Przyzwolność średniowieczna.—Naiwność.—Niemoralność.—Ogólny rzut oka na zgromadzenie balowe.—Zamiar dopełnienia przyrzeczonych pokładzin.—Zgoda Jadwigi z Ziemowitem.—Przeciwnie konszachty panów z Władysławem Opolskim.—Poselstwo po Jagiełłę.—Tajemne wprowadzenie Wilhelma na zamek.—Wygnanie go z tamąd.—Ostateczna umowa posłów z Jagiełłą w Wołkowysku.—Próba udania się Jadwigi do Wilhelma.—Zamknięcie bram.—Rozłączenie Jadwigi z Wilhelmem.—Zmuszenie Wilhelma do ucieczki z Krakowa.—Równy los obudwóch wypraw swadziebnych.—Nadciągnięcie Jagiełły.

Starania Jagiełły o rękę spodziewanej małżonki Wilhelmovej nie mogły utaić się w stronach rakuzkich. Mimo dwuletniej zwłoki w ostatecznym urzeczywistnieniu ślubów Haimburskich, nie zaniechali księżęta rakuzcy myśli o połączeniu Wilhelma z młodocianą królową polską. Utratę oczekiwanego dawniej berta węgierskiego wynagradzała znacznie nadzieja posięcia Polski. Mając zawsze jeszcze dobijać się o co dla syna, postanowił ojciec Wilhelmów nie zaniedbywać sprawy. Wobec nowego niebezpieczeństwa ze strony księcia litewskiego, „dzikiego barbarzyńcy i poganina,” godziło się użyć ostatnich środków. Stosunki z królową Elżbietą nie stały jeszcze na stopie jawnego nieprzyjacielstwa. Charakter królowej usposabiał ją nawzajem do łudzenia wszystkich przeciwników najzwodniejszymi pozorami przyjaźni. Nie tedy dziwnego, że w kilka tygodni po układach posłów litewskich w Budzie nastąpiło tam złudne odnowienie dawnych układów z domem rakuzkim.

Książę Leopold pośpieszył w lipcu, t. j. bezpośrednio po oddaleniu się dziewosłębów Jagiełłowych, do stolicy węgierskiej. Był tam również książę Władysław Opolczyk. Ten ostatni, jako bratanek królewskiej rodziny Węgier, przypuszczany zwyczajnie do współuczestnictwa we wszystkich jej sprawach domowych, należał do współporęczycieli małżeństwa Wilhelmovego. W szczególności podpisał on jako taki przed pięciu laty umowę, zawartą między rodzicami poślubienców w Zwoleniu, a przyrzekającą wydać Jadwigę „natychmiast po dojściu do lat dwunastu, księżęciu Wilhelmowi, ku małżeńskiemu z sobą pożyciu.”

Teutońskie sympatyje Opolczyka pobudzały go do wspierania dawnych praw, a teraźniejszych wymagań książąt rakuzkich. Upomniano matkę-królowę względem dotrzymania przyrzeczeń ślubnych, które już od lat dwóch powinny były wejść w wykonanie. Gwałtownie przynaglona Elżbieta nie mogła poradzić sobie inaczej, jak pozornie zezwalając na wszystko.

Postanowiono więc skojarzyć ostatecznie parę Haimburską. Miało to stać się prędko, w przeciągu dwóch, trzech tygodni, w Krakowie. Chodziło w tem głównie o uprzedzenie Jagielly, którego współzawodnictwo zmuszało do pośpiechu. Książę Opolczyk został wyznaczony pełnomocnikiem do urzeczywistnienia pokładzin. Matka-królowa przyobiegała nie czynić żadnych przeszkód. Ku tem większej pewności dano sobie nawzajem pisemne utwierdzenie nowej umowy. Dokument Elżbiety z dnia 27-go lipca opiewał:

„My, Elżbieta i Marya, z łaski Bożej królowe Węgier i t. d., tudzież kardynał Dymitr, biskup Pieciukościelski Walentyn, Władysław książę Opolski i Mikołaj Gara, palatyn, przyrzekamy co następuje. Jak niegdyś najjaśniejszy pan Ludwik zawarł za życia swego związek małżeński między Jadwigą, córką i siostrą naszą, a Wilhelmem, księciem rakuzkim, według dawnych umów pisemnych, które ciągle mają mieć wagę nienaruszoną, tak i my, zgodnie z daną na to przysięgą, obowiązujemy się przywieść małżeństwo przyrzeczone do skutku i połączyć parę wspomnianą łożem małżeńskim, a to najdalej od dnia dzisiejszego do święta Wniebowzięcia N. Panny w przyszłym miesiącu sierpniu, bez żadnej zwłoki podstępnej. Nic też przeciwko małżeństwu temu nie przedsięwzięmy, ani damy się skłonić lub zniewolić do czegokolwiek, coby pomienionemu związkowi mogło przeszkodzić. Z tejże przyczyny my, obiedwie królowe, dajemy tobie, książę Władysławie Opolski, zupełną moc i władzę, iżbyś to zamierzone małżeństwo przywiódł w spełnienie, i przyrzeczoną córkę i siostrę naszą Jadwigę oddał księżciu Wilhelmowi w stać i uściski małżeńskie, zapewniając im sposobność połączenia się i małżeńskiego z sobą pożycia, bez żadnej pod jakimkolwiek pozorem zwłoki.”

Dan w Budzie, w piątek po św. Jakubie r. p. 1385.

We dwa dni później, d. 29 go lipca, przyrzekł nawzajem książę Leopold, iż skoro zawarta właśnie

umowa względem konsumacji małżeństwa przyjdzie do skutku, on natychmiast złoży zawarowane dawnymi dokumentami wiano 200,000 florenów. Nadto dołącza się zapewnienie, jako po śmierci księcia Leopolda syn jego, Wilhelm, będzie miał to samo prawo do wszystkich ksiąztw i posiadłości ojczystych, jakie służy całej reszcie rodzeństwa.

Przybyły tym sposobem przywiązaniu oblubieńców nowe pergaminy, nowe tytuły prawne. Walka panów małopolskich o Jagiellę i Litwę utknęła u samej mety o nowe niebezpieczeństwo. Za dwa tygodnie miała Polska z Jadwigą przejść w ręce Rakuszana Wilhelma. Litwa bez Polski chyliła się do nóg Krzyżakom. Zakon niemiecki srogą nad oboim krajem brał górę. Szło tylko o jaknajprędze wyprawienie się Wilhelma do Krakowa.

Wołało go tam więcej, niż własny jedynie pociąg. Ośmiela go przychylność i pomoc onej dworskiej, która popierała osobistą sprawę Jadwigi i Wilhelma, a na której czele widziano p. Gniewosza z Dalewic. Wzywały go przedewszystkiem życzenia samej oblubienicy. Im bliżej zagrażała potrzeba oddania ręki Jagiellie, tem głośniejsze one musiały dobywać się na jaw. Zresztą niepotrzeba było gorących uczuć serca. Same okoliczności wiązały Jadwigę z Wilhelmem. Szlachetny umysł bogobojnej dziewczyny ulegał posłusznie każdorazowemu odcieniu obowiązku. Drogie córce postanowienie ojca zmarłego i nawyknienie dziecięctwa skłoniły ją najpierw ku oblubieńcowi Haimburskiemu. Gdy po zjawieniu się posłów litewskich matka zaleciła swadźbę litewską, a biskupowie polscy przedstawili wielkość i świętobliwość oddania ręki Jagiellie, Jadwiga zgodziła się z wolą matki i Boga. Teraz doszła ją wiadomość o świeżem w Budzie wznowieniu układów z księciem rakuzkim.

To, według jej niewinnego widzenia rzeczy, unieważniało nadzieję, zrobioną swatom litewskim. Pier-

wotny plan ojcowski odzyskiwał moc obowiązującą. Większy powab związku z miłym, młodzianem rycerskim, niż z „barbarzyńcą” litewskim, wpajał w sercu tem głębiej świętość słowa pierwszego. Jadwiga postanowiła spełnić je jak najprędzej. Nie mamy żadnego powodu mniemać, iż w tak dziecinny wiek Jadwigi, przy długim nadto niewidzeniu Wilhelma, zamysł ten był skutkiem namiętności. Wszystkie owszem względy, mianowicie surowe pojęcie obowiązków, cechujące Jadwigę w całym życiu późniejszym, zniewalają do wniosku, iż usilna chęć połączenia się z dawnym przyjacielem i oblubieńcem płynęła teraz jedynie z natchnienia powinności.

Skoro zaś jakakolwiek chęć odezwie się w sercu królewskim, nie braknie jej nigdy pomocników i wykonawców. Znalazła takich Jadwiga w owym stronnictwie dworskim, co to pod przewodnictwem Gniewosza z Dalewie czekało tylko rozkazów do działania. Młodociana królowa (tak przynajmniej powszechny opiewał głos) wyprawiła poselstwo po Wilhelma. Czy to za wiedzą, czy prawdopodobniej bez wiedzy najwyższych urzędników koronnych, udał się Gniewosz z orszakiem panów przydwornych do stolicy rakuskiej, dla sprowadzenia oblubieńca do Polski. Stało się to w samą porę oznaczoną w Budzie dopełnienia małżeństwa, około połowy sierpnia r. 1385.

W stolicy rakuskiej ani rodzinie książęcej, ani ludowi nie znane były szczegółowo sprawy krakowskie. Ztąd poselstwo Gniewosza zdało się zaprosinami całego narodu. Poruczając się jego pieczy, wybrał się młodzieńczy narzeczoną ze wszystkimi swymi skarbami, z nader licznym i świetnym dworem, po rękę Jadwigi, po koronę do Polski. O tymże samym czasie podjął podobną drogę do Węgier dla zdobycia wzbranianej sobie siostry Jadwigi Maryi młody margrabia Zygmunt. Po niedawnym pobycie w Polsce obchodzi on nas tak blisko — losy Zygmunta i Wilhelma są w tej chwili tak podobne do sie-

bie — że opowiemy tu razem wyprawę weselną obu dwóch książąt niemieckich po obiedwie córki Ludwika.

Zostawiliśmy Zygmunta niedawno zmuszonym do ustąpienia z Węgier. Tymczasem miał z Neapolu nadciągnąć spodziewany rządcą królestwa, Karol, a z Francji nowy narzeczoną królowej Maryi, hrabia Walezki Ludwik. Atoli Zygmunt nie stracił jeszcze nadziei. Poszwankowawszy tak smutnie przed dwoma laty w Polsce, trudno mu było dać się równie sromotnie odsadzić teraz od korony i narzeczonej węgierskiej. Zakrzętnął się tedy starannie za granicą około znalezienia środków pomocy. Pozostało mu jeszcze ojczyste margrabstwo brandenburskie. Starszy brat Wacław, król rzymski i czeski, mógł wielorako wesprzeć go swoim wpływem. Nie obeszło się wreszcie bez niejakić jeszcze stronników dynastji niemieckiej i teutonizmu w Węgrzech, z którymi ciągle utrzymywano porozumienie.

Przy takiej zachęcie i protekcyi umyślił Zygmunt posiadać zbrojną ręką małżonkę i koronę. Potrzeba było do tego zgromadzić czempredziej jaką taką siłę orężną, a to wymagało pieniędzy. Przeto w tym samym czasie, kiedy posłowie królowej matki Elżbiety wyprawiali się po raz drugi do Francji, w celu ostatecznego już sprowadzenia królewicza Walezyusza do Węgier, Zygmunt zastawił część swojej marchii brandenburskiej własnym bratankom, Jodokowi i Prokopowi Morawskim, opierając się na przyzwoleniu i innych oznakach życzliwości brata Wacława, który wkrótce zakupił od niego resztę margrabstwa. Otrzymane za to pieniądze posłużyły do zgromadzenia dość znacznej liczby waleśającego się wszędy rycerstwa i żołdactwa.

Miał Zygmunt zebrać w ten sposób około 10,000 koni. Z tą siłą zbrojną należało niezwłocznie, jeszcze przed zjechaniem oczekiwanego rywala francuskiego, wtargnąć do Węgier i opanować królowę. Jakoż już w kilka tygodni po zastawieniu mar-

chii, w ostatnich dniach sierpnia, gdy weselne poselstwo węgierskie bawiło właśnie od niedawna w Paryżu, uderzył Zygmunt z wojskiem ku Węgrom. I owóż dwiema różnymi drogami ciągną z początkiem września dwaj teutońscy pretendenci do ręki i tronu dwóch sióstr koronnych — Wilhelm pod przewodnictwem polskiej drużyny Gniewoszowej po rękę młodszej siostry nad Wisłą, Zygmunt zaś na czele kilkutyśycznej zgrał żołnierskiej po rękę starszej nad Dunaj. Wspomniemy najprzód o skutku wyprawy Zygmuntovej.

Stara królowa Elżbieta znajdowała się podówczas z młodą królową Maryą w jednym z północno-zachodnich zamków królewskich, „niedalekim od granic niemieckich”, czyli morawskich. Ta pomyślna dla Zygmunta okoliczność dozwoliła mu otoczyć obie dwie królowe niespodzianie swemi wojskami. Zażądał margrabia wydania sobie przyrzeczonej małżonki, gwoli dopełnienia małżeństwa. Na odpowiedź odmowną obegnano znienacka zamek królewski, który zrazu zawarł się rotom najęzdeczym. Rozpoczęte oblężenie groziło matce i córce szturmami i niewolą, a nagłość napadu i przemagająca siła nieprzyjaciela odejmowała nadzieję śpiesznej odsieczy. W takim położeniu nie pozostawało, jak uleść konieczności. Bezskrupulatność matki-królowej przyzwalała tem łatwiej na ustąpienie chwilowe, choćby najboleśniej, ile że u niej każda chwila następna mogła zniweczyć dzieło i obietnice poprzedniej. Pomimo żądanej konsumacji małżeństwa tuszyła sobie Elżbieta pozbyć się wkrótce Zygmunta.

Powtórzyła się więc z niejaką odmianą ta sama scena, jaka przed kilku dopiero tygodniami, pod koniec lipca, odegrana została z księżciem rakuzkim, Leopoldem, względem Wilhelma. Jak wtedy, zapewne także tylko podobnegoż przymusu skutkiem, przychyliła się królowa do dokumentnego zaprzysiężenia konsumacji małżeństwa Jadwigi z Wilhelmem, a w istocie Jagiellie oddawała Jadwigę, tak teraz postano-

wiono uleść gwałtowi Zygmuntowemu, nie zrzekając się dalszych nadziei swadźby francuskiej. Zaczem „wydała królowa córkę margrabi Zygmuntowi, który natychmiast poślubił ją i dopełnił małżeństwa.” Zbrojna wyprawa weselna powiodła się, ale tylko częściowo. Niedługo bowiem cieszył się Zygmunt swoim małżeństwem. Już w kilka dalszych tygodni przyszło znowuż uciekać z Węgier. Zaciągnięte niedawno wojsko margrabskie zapewne niezwłocznie po zwyczajcu rozpieczęło się. Królowa Marya ogólnem potwierdzeniem swobód krajowych wzmocniła się na tronie. Za sprawą matki-królowej otoczyły teraz Zygmunta też same niebezpieczeństwa, jakie Elżbieta bez wahania zgromadziła w kilka miesięcy później nad głową tegoż samego Karola księcia Durazzo, którego obecnie wyglądano niecierpliwie z Neapolu. Było to niebezpieczeństwo śmierci, skrytobójstwa. „Przerażony widokiem grożących mu zewsząd sideł, porzucił Zygmunt małżonkę i uciekł w trwodze z królestwa.” Tak wielka była trwoga, iż nieborak „piechotę” wrócił do Niemiec.

Gdy to się działo na Węgrzech, Wilhelm spieszył do Polski. Smutna katastrofa Luksemburczyka nie odjęła odwagi Rakuszanowi. Był to zaprawdę czas dziwnej przedsiębiorczości, zuchwałych i niepoczesnych przygód, awanturniczych romansów. A gdy zawód bohaterów i bohaterek tamtowiekowych rozpoczął się nader wcześnie, w latach prawie chłopięcych, więc niejednokrotnie młodzieńczy syn domu gościł przygodę w jednej, niestary zaś jeszcze ojciec szukał jej w stronie drugiej.

Coś podobnego zdarzyło się teraz w rodzinie Wilhelmojej. Trzydziestosiedmio-letni ojciec, książę Leopold, burzliwiec jakich mało, dał się temi czasami usidłać wdziękowi jakiejś szwajcarskiej miłośnicy, i ku podziwowi całego dworu, zbiegał raz po raz w ustronia dolin szwajcarskich; piętnastoletni syn szedł za głosem miłych zaprosin z Krakowa. Później usłyszymy wzmiankę o smutnym końcu romansu oj-

cowskiego; teraz spojrzymy po krakowskiej drodze syna, Wilhelma.

Ciągnął tam okazały tabor za młodym księciem. Towarzyszył dwór liczny; prowadzono wielkie skarby, kosztowności, przybory dworskie; przewodniczył orszak poselstwa polskiego. Gdy panowie krakowscy najgoręcej myśleli o Jagielle, przybyła do Krakowa niespodzianie cała swadziebna wyprawa z Rakuz. Niemile to zdziwiło radę koronną. Pierwszy z urzędników koronnych, stary Dobiesław z Kuroźwek, kasztelan krakowski, a tem samem stróż, czyli raczej we właściwym teraz znaczeniu „pan” zamku krakowskiego, t. j. siedziby i osoby królewskiej, nie pozwolił przybyłemu dworowi niemieckiemu stanąć na zamku. Stanął Wilhelm gospodą w mieście, zapewne w jednym z licznych tamże dworców szlacheckich.

Mimo tę początkową przeciwność, nie do cała niepomysłnie szły rzeczy. W średnich wiekach wszelkie początki były jeszcze trndniejsze, niż za dni naszych. Toć niedawno rodzony ojciec Wilhelowego szwagra, Zygmunta, sławny król czeski i cesarz Karol IV, zjechawszy po śmierci ojcowskiej do własnej stolicy, Pragi, nie miał gdzie wysiąść. „Zastaliśmy królestwo spustoszone — pisze on sam w swym pamiętniku — wszystkie dobra i zamki królewskie pozostawiane, tak, że nie było gdzie spocząć, chyba w domach mieszczanńskich, gdzie też przebywaliśmy do czasu, jak każdy inny mieszczanin.”

Przestawał więc i Wilhelm na swojej gospodzie miejskiej. Zwłaszcza, gdy oprócz życzliwości królowej, pokrzepiała go tam przychylność i pomoc „wielu” ze szlachty polskiej, jednomyślnych pod tym względem z Gniewoszem. Otoczony gronem stronników, ufny sercu Jadwigi, mógł Wilhelm mniemać słusznie, że go nie minie korona polska. Jakoż nie tylko w Rakuziech panowało to zdanie. Nawet w Polsce odzywały się głosy, iż sami Polacy sprowadzili Wilhelma na królestwo. Zaczem przynajmniej tyle

musiano teraz pozwolić powszechnie gościowi rakuzkiem, iż w oczekiwaniu sposobności do osiągnięcia zamiaru mógł bez przeszkody bawić „długo” w Krakowie, i że mógł widywać się z Jadwigą.

Jak młodociana królowa polska, tak i my zapoznajmy się teraz bliżej z Wilhelmem. Opuściliśmy go niegdyś ośmioletniem pacholęciem w Haimburgu. Obecnie ma on z Jadwigą lat około 15. Wczesna wieloletność onych stuleci i osobisty charakter młodego księcia czyniły go starszym nad wiek. Nadawane mu zwykle przydomki malują go nader statecznym i poważnym. Nazywano go „Ambitnym”, „Ceremonialnym”, „Dworskim”, „Wytwornym.” Takimże przedstawia się nam Wilhelm w swoich postępach, zwłaszcza w wieku późniejszym. „Miłośnik spokoju” i porządku, jak nasz Władysław Opoleczyk, nie lubi i nie prowadzi on wojny, chyba raz jedyny przez całe kilkunastoletnie panowanie w Rakuziech, i to tylko przeciwko coraz tłumniejszym bandom zbójcekim na pograniczu. Nawet słowa swarliwe, mowy oszczercze, zwłaszcza przeciw księżom i kobietom miotane, były mu tak obmierze, iż nikt nie śmiał obrażać niemi uszu książęcych.

Ztąd, jeśli w Wilhelmie obudziła się jaka namiętność, zdążała ona do celu drogą środków spokojnych, ceremonialnych. A książę „Ambitny” nie był wolen od przystępów pożądlwości. Najbardziej nagabywała go chęć władzy i panowania. Ona to, pobudzając Wilhelma do ciągłych nieporozumień z młodszem rodzeństwem, niechcącem ulegać jego zwierchnictwu, najbardziej oślawiała go w dziejach. Taż sama ambicya przewodniczyła mu także w dwukrotnych zabiegach ślubnych. Zgodnie z rodzicielską intencją jego związków z Jadwigą, myślał on dłużej o jej posagowej koronie, niż o jej sercu. Nawet po śmierci Jadwigi czynił on zachody około urzeczywistnienia swoich mniemanych praw do Polski. Podobnież w swoim związku powtórnym, z jedną z kró-

lewien włoskich, miał on głównie poślubione z nią pretensje do różnych koron na celu. Zagrożony niemi margrabia Zygmunt, późniejszy król węgierski, żył z tej przyczyny w ciągłej z nim nieprzyjaźni.

Nie był więc Wilhelm tak „wytwornym” w swoich samolubnych zachceniach, jak w środkach do osiągnięcia onych. Pragnął on widocznie zastosować się postępkami swojemi do moralnych wymagań czasu, owszem, urzeczywistić w sobie wzór ówczesnej moralności rycerskiej, lecz sama gminność epoki nie dozwalała wznieść się charakterowi. Pod tym względem musimy widzieć w Wilhelmie ciekawy odbłask czasu, i zdaje się nam, że będziemy mogli poznać bliżej Wilhelma, jeśli obeznamy się bliżej z rycerską czasą tego oświata.

Pierwotny kwiat rycerstwa srodze nadwiał już w świecie. Tysiączne okoliczności, których obszerniej rozwinąć tu nie możemy, odjęły mu wszelką siłę żywotną, aby nią inne pojawy życia ukrzepić. Dostrzegały tego wszystkie jaśniejsze umysły wieku. I traciły przeto serce do dawnego ideału szwaleryi. Opuszczona w ten sposób od głów światlejszych, popadała ona w ręce prostactwa, które, nie umiejąc obejść się z nią inaczej, jak tylko spaczając ją w karykaturę, coraz powszechniejszą przygotowywały jej klęskę. O ile zaś wykształcenie umysłowe przebywało częściej u dworów, niż pod strzechą, częściej w rodzinach książęcych, niż w sferach niższych, o tyle same dwory obojętnieją najsamprzód dla pierwotnej sławy rycerstwa, sami książęta dają swoją osobą przykład wcale odmiennego kierunku pretensyj, nowego kroju manier, innego kształtu życia.

Dawne zamiłowanie w duchowieństwie i dziełach pobożności, dawny pociąg do wypraw i przygód heroicznych, dawny urok chwały w uścicach poetów, okupowanej nieograniczoną dla nich hojnością, ustąpiły u książąt skłonności do oszczędnego administra-

trostwa, społeczeniu dla przemysłnego mieszczaństwa, zmysłowi porządkowania dotychczasowej anarchii stosunków towarzyskich, okrzyszowania dotychczasowej rubasznosci zwyczajów. Nie dojrzała jeszcze ta zmiana tak stanowczo, iżby zabrakło już zgola widoku dawniejszej rycerskości; owszem, tylko świat pokolenia nowego, tylko postępowe (jakby dziś powie dziano) umysły hołdowały nadmienionym tu pochopom nowoczesnym, a ogół książęcego i nieksiążęcego rycerstwa żył dawnym trybem; lecz coraz większa liczba monarchów, jak tegocześni królowie, Filip Piękny francuski, ojciec naszej Jadwigi, Ludwik, cesarz Karol IV Luksemburczyk i mnodzy inni — świadczy o niezaprzeczonem przechylaniu się wyobrażeń w stronę odmienną.

Jak każda zmiana stosunków i obyczajów nie obejdzie się bez żalu za przeszłością, bez głosów niechęci ku nowemu trybowi rzeczy, tak też przygaśnięciu blasku szwaleryi towarzyszy głośny chór skarg i wyrzekań przeciwko smutnemu przeobrażeniu czasów. Duchowieństwo uważało się na brak jałmużn pobożnych, rycerze i śpiewacy rycerzcy skarżyli się na uschnięcie płynącego im niegdys źródła rozrzutności książęcej. Nawet książęta, lubo nie od nich wyszedł pierwszy przykład i popęd zmiany, utyskiwali czasem na upadek rycerskiego animuszu u szlachty, kierowanej w tym względzie duchem dworów książęcych. Według westchnienia księży, „płomyczek miłości i pobożności przygasał nowszemi czasami coraz ciemniej na dnie serc ludzkich.” Według skargi królewskiego założyciela orderu „gwiazdy” we Francji, „poczęło rycerstwo od niejakiego czasu zaniedbywać oręża, honoru i sławy rycerskiej, oddając się gnuśności i troskom mniej przyzwoitym.” Według żałosnej pieśni poetów, mianowicie znanego nam poety rakuzkiego, Suchenwirta, opiewacza, a może i towarzysza pobytu i przygód Wilhelmych w Krakowie, „coraz mniej chwały, coraz więcej sromu na świecie! Honor zginął, skromność śmiertelnie chora, zdrada

w licznym chodzi orszak, prawdzie język skaleczał, wierność nogę złamała, stałości serce pęka, sprawiedliwość za drzwi wypchnięta, hojność na obie ręce chromieje, zacni rycerze muszą czekać za progiem, a pochlebcy, zausznicy, nadskakiwacze, mają w każdej chwili przystęp u dworu, zagartują dary książęce. Co więcej, nawet pasowani rycerze sprzeniewierzają się cnocie, gonią za zyskiem, trudnią się lichwą, walczą o pierwszeństwo z Żydami, hańbiąc zakon rycerski, bo żaden rycerz prawdziwy nie powinien brać lichwy."

Osobliwie poeci, owi tłumnie po dworach zagnieżdzeni śpiewacy, deklamatorowie, heroldzi rymujący, najbliżej dotknięci zmianą czasów, a tem samem najwymowniejsi poświadczyiele wypadku, nie mogli przeboleć skazy obyczajów rycerskich. Uważając się na nią tem słuszniej, iż szwalerya pierwotna miała wiele wdzięków i zalet, a dobroczynne skutki zwyczajów nowoczesnych nie dały się uczuć jeszcze, napełniali oni stosy odgrzebywanych dziś pergaminów swojemi panegirykami przeszłości, swojemi skargami na moralny upadek czasów obecnych, na blizki koniec wszelkiego dobra na świecie.

Dusze poetyczne uskarżały się, a świat i obyczaje szły swoim nowym torem. I gasły tedy niepowrotnie zalety dawne, a brała coraz bardziej górę owa wytworność, dworskość, ceremonialność, od których właśnie nasz Wilhelm otrzymał przydomek odznaczający, a z którymi, niestety, wiązały się także niektóre mniej zaletne skłonności. I były to nowoczesne cnoty i wady dość widocznie już rozwinięte, aby nam dostarczyć wielu szczegółów i rysów do obrazu dokładniejszego. Zbierając je z różnych wzmianek społecznych, możemy utworzyć sobie bliższy wizerunek takiego wytwornisza nowoczesnego, jakim one przydomki dają nam prawo wyobrażać sobie Wilhelma.

Książęcy wytwornis z czasów Jadwigi otaczał się dworem ubranym całkowicie w barwę pana swo

jego. Pstroczna stroju i barw, niegdyś powszechnie panująca, uchodziła za niepoczesną staroświecką, którą u dworów wykwintniejszych zaczęto zmieniać w jednostajność nowoczesnych mundurów, zwanych szanownem wówczas mianem „liberyi”, noszonej chętnie przez najznakomitszych dostojników. Miłośnik spokoju i skromności, wzbraniał książę wytworny ulubionych niegdyś pojedynków rycerskich, nawet na placu bitwy z nieprzyjacielem, nazywając je „raczej błazeństwem, niż odwagą, nie mającem żadnego rozsądnego celu i skutku.” Pod wpływem tegoż rozsądku obojętniał on dla pochwalnej pieśni poetów, trubadurów wędrownych, którzy jedynie tem u zawdzięczali niegdyś tak wylaną wszędzie gościnność, iż z obowiązku płacili za nią rymem pochlebnym, nadzwyczajnie pożądanym próżności owoczesnej. Widząc, jak wielu książąt i panów dawnej daty marnotrawiło majątki, popadało w ubóstwo skutkiem zbyt hojnego okupowania rymowanych pochlebstw pieśniarzy, upatrzył nasz książę równaż w tem nierozsądnosć i straciwszy upodobanie w poezyi rycerskiej, smakował w tańszem rzemiośle trefnisiów, błaznów nadwornych, kuglarzy i innych wyprawiaaczy widowisk rozśmieszających.

Mianowicie na dworze książąt rakuzkich miała ta zmiana smaku objawić się najwidoczniej, a u przyjaciela Wilhelmorego, Luksemburczyka Zygmunta, podobnież nowych zwyczajów naśladowcy, nie miał nikt tak wielkiego znaczenia, jak jego błazen nadworny, nadesłany mu aż z Hiszpanii, czczony i poważany przez cały kraj. Nie chciał przecież książę „dworski” sprostaczeć swojem zamięłowaniem w trefnisiach, przestawać na lada towarzystwie, pospolitować się w obcowaniu z gawiedzią. Owszem, podczas gdy rycerz staroświecki poufalił się bez skrupułu ze swoją służbą, zasiadał nieraz w kuchni z czeładzią przy ognisku i gwarzył z nią dobroduszenie — gdy nawet w rozmowie z cesarzem rzymskim odzywano się do niego ze staroświecką prostotą „łaskawy

paniel... kochany paniel..." i jakby równemu sobie, proponowano zakład, iż twierdzenie jego jest mylne— nasz wytwórniś książęcy przyozdabiał się odsądzonym mu później tytułem „majestatu” i po zwyczaju zachodnim kazał klękać przed sobą. Wobec uczonych szczylił on się rodowodem dalekim, sięgającym czasów i bohaterów trojańskich; udając się w towarzystwo osób niższego rzędu, miał sobie za obowiązek dać długo czekać na siebie, a zjawiwszy się wreszcie, występował poprzedzony łoskotem trąb i kotłów.

Za przykładem podobnej pretensjonalności książęcej hardział lada pan możniejszy względem nieco mniej zamożnego, i wyzwany przezeń na pojedynek, nie stawał, twierdząc, iż przeciwnik nie jest mu równy. Jakoż sam książę zachęcał do takiej wytworności, zarzucając w mowie potocznej dawne rubaszne *ty!* a przemawiając natomiast do wszystkich niby grzeczniejsem *on* albo *wy!*

Będąc zaś ugrzecznionym dla drugich, mając tak wysokie wyobrażenie o sobie samym, dbał wytwórniś ówczesny nawet nieksiążęcego stanu nader troskliwie o swą osobę. Z tego powodu dogadzał on jej zaledwie spodziewanemi dziś wymysłami stroju, wygod, przysmaków. Pod względem toalety rycerskiej obchodził najwięcej kolor szkarłatny, wzbraniały zazdrośnie każdemu niepowoalanemu, mniej zamożnemu. Po szkarłacie cenili nasz strojniś najwyższej pióra pawie i strusie. Ozdoba szyszaków rycerskich, były one w niewymownej podówczas cenie. We Francyi otrzymywali kupcy wędrowni od totrzyków rycerskich listy bezpieczeństwa dla wszystkich prowadzonych z sobą towarów, z wyjątkiem strusich i pawich piór, jako zanadto ponętnego łupu, aby którykolwiek rycerz mógł się go wyrzec. Niemieckie rycerstwo nie знаło nawet w niebie nie wspanialszego nad piękne pióropusze pawie lub strusie, a modląc się za duszę świeżo poległego ojca Wilhelmorego, książęcia Leopolda, prosi kronikarz: „O! Boże młoto-

sierdział! Racz przyjąć niewinną krew książęcą za jego grzechy, i uwieńcz go w wieczności złotym szyszakiem o błyszczącym pióropuszu z rajszych i anielskich piór pawich!”

Rycerski ślub, na upieczonym pawiu zaprzysiężony, uchodził za ślub najświętszy. Noszono takie pióropusze w sposób najrozmaitszy. U margrabi Zygmunta widzieliśmy w Poznaniu pióropusz o trzech piętach, coraz szerzej ku górze roztoczonych. Władysław Opoleczyk, występując w paradzie, miał na hełmie naprzód materyalny pokrowiec, wiejący dwoma długimi, wstęgowemi końcami, a powyżej ogromny grzebień z rozpiętej naksztalt łuku kitajki, pomalowanej wizerunkami herbów, a otoczonej półkoliście dziewięciu pojedynczemi piórami. Nasz Wilhelm wjechał do Krakowa zapewne w swoim znanym dotychczas hełmie o również długim z tyłu pokrowcu, uwieńczonym złotą koroną, z której spinał się w górę wysoki wachlarz z piór pawich.

Oprócz wyszczególnionych tu form pióropuszków, służyły hełmom najdziwniejsze przyozdobienia z płótna, drzewa, lepu i t. d., sterzące nad szyszakiem w kształcie wysokich rogów, skrzydeł, zwierząt, figurek ludzkich. Skład podobnych strojów hełmowych, znajdujących się w niejednej garderobie rycerskiej, przedstawiał menażeryę najosobliwszych rarokoków i dziwolągów, tem piękniejszych dla oka wytwórniśców rycerskich, im bardziej barwistych, polysnych i brzęczących. Pod szyszakiem otulał rycerz skronie „patlikiem”, czyli mycką, z pod której w komnacie bawialnej odślaniała się starannie utrzymana fryzura głowy i brody. Stanowiła ona nadzwyczajnie ważną część toalety rycerskiej. Nie przestając na pospolitej ozdobie sztucznie utrefionych kędziórów, nie przestając na jednym kolorze włosów, chciał modniś owoczesny mieć coraz inne suknie i włosy.

Nastąpiła więc moda przyprawiania sobie fałszywych loków i bród, zmienianych według stopnia uro-

czystości, dziś płowych, jutro brunatnych, kiedyindziej czarnych lub rusych. Reszta stroju rycerskiego, owe pasy srebrzyste, owe pod rynsztunek wdziewane *ja-ki*, *żupaniki*, *kaftany*, znane pod temiż nazwami w Polsce i za granicą, owe wierzchnie płaszcze, *czamlety*, *wapenroki*, podbite futrem i niepodbite *szuby*, podobnież polskiemu, jako też zagranicznemu ubiorowi i językowi właściwe, a zwyczajnie krzyczącej barwy, pstrokate, z różnokolorowych połów złożone, odpowiadały swoją dziwacznością i kosztownością takiemuż przyozdobieniu głowy.

Suknie podrynsztunkowe, bogato perłami i złotem przetykane, podbijano grubo jedwabiem, wełną, kłakami, aby przywdziana na nie zbroja nie gnioła. Szła za tem konieczna obcisłość stroju, pożądana w toalecie rycerskiej nietylko dla rynsztunku, lecz także gwoili pięknej figury. Dla niej niektórzy modnisie ściskali się sznurówkami, które im wszelką możność wolnego ruchu i odetchnięcia odejmowały i zapewne były przyczyną, iż w czasie walki turniejowej niejedyn rycerz przed odniesieniem rany do sta wa ł m d ł o ś c i. Owszem, najpretensjonalniejsi kawalerowie wypychali sobie kłęby bawełną, bielili się, różowali sobie lica i czoło, czernili brwi, zakrzywiali do długonosych ciźmów palce u nóg, a cały strój był tak dalece haftkami i sprzążkami ściągnięty, że gdy jeden z drugim chciał się mocować, zaczepiony wołał trwożliwie: „Daj pokój! sprzążka mi pęknie!”

Nie tyle to przecież kłopotalo rycerza, ile niebezpieczne w takiej cieśni rozprucie się odzieży, czego „dobre wychowanie” ówczesne, udzielane rycerzom w edukacyjnych pieśniach minstrelów, nakazywało starannie wystrzegać się, „gdyż rozpór daleko gorszy, niż dziura”. Jakoż pomny często powtarzanych przepisów tego rodzaju, „miał wytwornis zawsze pod ręką co mu było potrzebnem do poprawienia fryzury”, używał rozmaitych żelazek do zapiekania włosów, znał osobne narzędzie do czyszczenia i ogładzania paznoci. Tylko uprzedzenie dzisiejsze mnie-

ma, że rycerstwo ówczesne bezustanku dźwigało zbroję. W rzeczywistości zdarzały się wypadki, iż dwaj rycerze podróżni, zdecydowawszy się do pojedynku, gotowi byli zaniechać sporu, ponieważ nie mieli z sobą całej zbrojowni rynsztunkowej, a prosta rozprawa orężem na nieubezpieczone żelazem ciałem zdawała się odwadze rycerskiej zbyt ryzykowną. Mniemany miłośnik hartu, rycerz średnich stuleci, nie wzdygał się nawet parasola.

Przeciwnie! Żaden z dzisiejszych wojowników i kawalerów nie może być większym nieprzyjacielem niewygód, jak ogół rycerstwa w średnich wiekach. Długi wczas, „miękkie łóżę”, jedwabne materace, pościel ogrzewana umyślnym ku temu przyrządem, należały do wymagań codziennych. Nawet najwykwintniejszego komfortu wychowanie nie śmiałyby utyskiwać żałośniej na niewygody podróżowania po odludnych drogach krajów ubogich, jak np. średniowieczne rycerstwo francuskie biadało na wojenny pobyt w ubogiej Szkocyi. „Dotychczas nie wiedzieliśmy — skarżą się owi bohaterowie turniejów — co to głodno i niewygodno. Teraz zaś sprawdziła się na nas dawna pogróżka naszych panów ojców i matek: Doznasz ty jeszcze, co to sypiać twardo i obchodzić się bez wygodę!”

A cóż dopiero powiemy o ówczesnem dogadzanu ciała jadłem i trunkiem! Słyszeliśmy już o niezmiernej konsumpcyi cukierków i konfitur. Wojsko, które nie miało do picia nic innego, jak tylko wodę, biadało i w Prusiech i we Francyi na udręczenia nadludzkie. Dowódcy wozili za sobą delikatne „paszety”. Lada rycerzowi zachciewało się pieczonych skowronków i jaskółek, które wistocie szły ze swoich stref napowietrznych na stoły pańskie. Z pospolitego jądła kurcząt, które w niezmiernej wszędzie spożywano ilości, jedzono skrzydełka tylko i udka. Wola winą brzydziło się rycerstwo, jako strawą zbyt podłą. Najwymyślniejsi łakotnisie kazali potrawy do swego stołu gotować przy płomieniu z świec i po-

chodni woskowych, lub, jak jeden ze szląskich bratanów naszego Ziemowita Mazowieckiego, Ludwiga księcia lignicki, przy ogniu z orzechów włoskich, „które bardzo miłą wonią zaprawiają warzywo”.

Nie brakło więc, jak widzimy, na dobrych chęciach epikureizmu czasem rycerskim. Co przecież, jakby dziś nie dowodziło wcale ognuśnienia rodu ludzkiego i tryumfu materjalizmu, jak wówczas towarzyszyło nader młodzieńczemu stanowi społeczeństwa, tak nie miało nawet podstawy w podobnym udelikatnieniu umysłu. Wytworny smak podniebienia nie łączył się bynajmniej z wykształconym smakiem moralnym. Owi „dworscy” miłośnicy ceremonialności i manier nowocześniejszych kochali się jeszcze bardziej w jaskrawej czerwieni stroju, w brzęku dzwonków u sukien, pasów i siodeł, w wrzawie puzonów i kotłów, w żartach hanswurstów. Samochwalstwo przechodziło u nich wszelką miarę zrozumienia. „Zanoszę codziennie modły dziękczynne do Pana Boga i św. Andrzeja, że nikomu nie dał więcej rozumu nademnie!” — powtarza się u każdego prawie trubadura prowansalskiego.

Jeśli rycerz okazywał się szczodrym dla duchowieństwa, tedy odzywał on się też za to do nieba słowami francuskiego kawalera Lahire: „Racz, Boże, uczynić dziś dla Lahira, co Lahire uczyniłby dla Ciebie, gdyby on był Bogiem, a Ty Lahirem”. Cesarze i królowie przy winie folgowali tak rubasznie temu prostactwu, iż niekiedy spółbiednicy duchowni musieli ich upominać, aby nie obrażali niemi Pana Boga. Przy grze w kostki pomiędzy pierwszymi monarchami owego czasu wszczyła się nieraz kłótnia, zakończona gniewnem wyrzuceniem banku za okno. Rzadko historia któregośkolwiek z królów ówczesnych obejdzie się bez sceny, przedstawiającej go policzkującym kogoś.

Co więcej! Ciż sami rycerze, którzy, jako kochankowie, chodzili z rozkazu swojej damy po całych dniach z jednym okiem zamkniętym, jako małżonko-

wie bili swe żony. Płakała na to mianowicie szerokowładna księżna, małżonka hrabiego flandryjskiego, pana dzisiejszych krajów belgijskich i holenderskich. W oznakę zaś osobliwszej przyjaźni podczas noclegu rycerza w zamku pani dostojnej, otoczonym nadobnym fraucymerem, zdarzały się w „wytwornej” Europie rycerskiej dowody gościnności, przypominające gościnność i obyczaje nadbrzeżów Nilu.

Potrzebaż jeszcze nadmienić, że tak usposobiony paladyn, gdy mu małżeńskie przyszyły zamysły nie świecił przykładem bezinteresowności, nie zamykał oka na posag. Należałoby domyślać się tego po wszystkim, cośmy słyszeli dotąd o onym czasie i jego wytwornisiach. Wszakże, wyraźne nadto głosy ówczesne odejmują ostatni cień wątpliwości w tej mierze. Słowo i pojęcie „profit” brzmiało w pieśniach trubadurów, tem najwierniejszem zwierciadle sercowych spraw owej epoki, tak często, jak słowo „miłość”. Ustawy francuskie użalały się publicznie na tę „interesowność prywatną”. W Niemczech zachęcały one przeciwnie do szukania zysków w małżeństwie, uprawniały rycerską część dla pieniędzy. Mimo wszelką bowiem skrupulatność w przestrzeganiu różnicy stanów, mimo głośną mianowicie kondemnację małżeństw między szlachtą a mieszczaństwem, odbierających nawet szlachectwo rycerzowi, który z miłości mieszczańską poślubił córkę, uśmiechało się prawo niemieckie zupełną bezkarnością w tym razie, jeżeli rycerz żenił się „dla posagu, biorąc przynajmniej 4,000 złotych”.

Bogatym wdowom szlachetnego urodzenia, choćby już starym i szpetnym, nie zbywało nigdy na mężach pomiędzy młodymi rycerzami, którzy potem długo napróżno oczekiwali, „aby baba umarła”. Owszem, nawet przed zaślubieniem pozwalała przyzwoitość średniowieczna najwytworniejszym rycerzom brać pieniądze od swoich dam zamożnych, co loika rycerska osobnym nawet w pieśniach trubadurów uświęcała

przepisem. Niejedna z ówczesnych schadzek miłosnych, przed udaniem się kochanka na wyprawę rycerską ku czci damy, kończyła się słowami pożegnania, wyrzeczonymi w podobnym razie przez ulubieniec sławnego rycerza francuskiego Saintre, znanego także w Litwie pod sztandarem krzyżackim: „A co do wydatków tej podróży, abys w przyzwoitym wystąpił stroju, oto masz 6,000 talarów. Nie trać ich niepotrzebnie”.

„Masz tak bogate suknie — mawiały damy do pięknego młodziana rycerskiego — chodzisz w szubie atlasowej, w żupaniku jedwabnym, w pończochach haftowanych... Zkądże to? Czyż chciałbyś wmówić w nas, że nie masz wcale damy, albo (coby najgorsza było), że się nie kochasz w niej!” Wielu z najsłynniejszych wytworników ówczesnych nie mogłoby dzisiaj w żadnym ucziwem znaleźć się towarzystwie. Nie dziw tedy, że ów znany ruch palców, naśladujący liczenie pieniędzy, którym rycerze niezrozumiałych sobie języków wypraszali się w bitwie od śmierci, miał dla romantycznego rycerstwa średnich wieków jeszcze zrozumialsze, niż dziś, znaczenie.

Takim tedy bywał zagraniczny modniś lat onych, w których nasz „Ceremonialny”, „Dworski”, „Ambitny”, a niestety i niemniej „interesowny” później Wilhelm zawitał do stolicy krakowskiej. Co w przywiedzionych tu rysach razłoby oczy dzisiejsze, co i wówczas pojawiało się jedynie za granicą, a niema bynajmniej zastosowania do skromniejszych obyczajów rycerstwa staropolskiego, to łagodniało, niknęło zupełnie wzrokowi ówczesnemu zarówno nad Renem, jak nad Wisłą. Piętnastoletniemu oku przyjaciółki i towarzyszki dzieciństwa, mogły podobać się nawet rysy wątpliwsze, a nie omieszkaly w tem nadobniejszym świetle przedstawić się znamiona zalecające, mianowicie tak ponętne młodocianemu wiekowi wdzięki „dworskości”, wyniosłości ambitnej.

Reszty pomyślnego wrażenia dopełniała piękna powierzchowność piętnastoletniego księcia, przystoj-

ność jego zachowania się. Jednem i drugim zyskiwał on sobie wszystkie serca społeczne. W ustach niemieckich słynęła jego wysmukła, kształtna budowa ciała, jego „nadobna fizyonomia”. Głosy polskie chwaliły przede wszystkim jego „cnotliwe obyczaje”.

Nie uniknęła też młodociana królowa polska uroku ujmującej osobistości swojego przyjaciela. Myśl, że ten miły przyjaciel był z woli ojca zmarłego już dawno jej poślubionym w obliczu Boga małżonkiem, pozwalała młodemu pociągowi serca wzmacniać się w jawną, w głośną namiętność. Częstsze widywanie się kochanków podnieciło płomień tej osobliwszej miłości. Radziłobyśmy uobecnąć sobie chwile ich terazniejszego zbliżenia się do siebie.

Nie wpuszczono Wilhelma, jak wiemy, w progi przybytku Jadwigi, w bramy zamkowe. Nie można było przeszkodzić również samowolnie Jadwidze, aby ona z bram zamkowych nie zbliżyła się do Wilhelma. A młodociana królowa polska, pełna stanowczości we wszystkich krokach życia, powziawszy raz myśl o słuszności swoich związków z księciem rakuzkim, miała sobie za obowiązek jak najczęstsze widywanie się z nim. Chodziło tylko o to, gdzieby tak słodkiemu obowiązkowi można folgować swobodnie.

Najstosowniejszem miejscem okazał się jeden z pobliskich zamkowi klasztorów miejskich. Powodowano się w tej mierze powszechnem wyobrażeniem wieku. Od czasów swego nastania były wszystkie klasztory przybytkami ludzkości i gościnności. Doznawali jej zarówno ubodzy i bogaci, pielgrzymi i podróżnicy, ludzie szukający przytułku i ludzie szukający wygody. Z początku samoż duchowieństwo zachęcało do korzystania z progów kościelnych; później, gdy gościnność klasztorna stała się powszechnym, srodze nadużywany, a przeto wielce uciążliwym dla gospodarzy zwyczajem, napróżno było skarżyć się na nią. Kto tylko żył, chory i zdrowy, podróżny i miejscowy, mężczyźni, niewiasty, panny, wszystko cisnę-

to się do klasztoru po wypoczynek lub zabawę, dla spotkania się z znajomymi i usłyszenia nowin.

Poświęcony charakter miejsca barwił natręstwo pozorem pobożności, a liczne święta i obchody klasztorne, znane przysmaki kuchni i spiżarni opackiej, podawały sposobność i zachętę. Wzmagał się tedy coraz bardziej natłok gościnny, któremu gospodarze albo już nie mogli, albo czasem nie chcieli stawić zapory. Panująca bowiem temi laty szyzma kościelna rozprzegła znacznie karność zakonną, a powszechna wesołość czasu, wespół z głośnym po świecie przykładem płochego życia samejże stolicy awiniońskiej, jednoczyła gości i gospodarzów obopólną chęcią uciechy. Jakoż osobiwie w czasach naszej powieści ogarnął spokojne mury klasztorne prawdziwy szal zabawy. Dawniej i później rzadsze o tem zdarzają się pogłoski; lecz właśnie w porze pobytu Wilhelmu w Krakowie, we wschodnich właśnie stronach Europy katolickiej, rozewrzał terazniejszy narów światowości klasztornej do najwyższego stopnia nadużyć.

Doniadujemy się o nim ze skarg i opisów samychże opatów tamtoczesnych, walczących napróżno przeciw prądowi. „Dawali sobie mężczyźni z kobietami — opowiada jeden z takich przełożonych zakonnych — istne schadzki do piasów i krotofil w klasztorze”. Troskliwy o swoją trzodę opat, widząc roje „strojnych i utrefionych” kobiet, cisnące się „tłumnie, „procesjonalnie” do furty, zatrzymywał je w swoim mieszkaniu opackiem przed furką, przypijał rad nierad do gości nieproszonych, zabawiał ich różnemi wybiegami, aby tylko zgraja swawolna nie wtargnęła po za klauzurę. Pomimo to znachodziła ona drogę do wnętrza klaszternych, napełniała sobą wszystkie cele, krużganki, refektarze, stroiła płasy „nieprzyzwoite”, wiodąc młodszą bracię zakonną na pokuszenie i w grzech. Staruszkowie i ludzie pobożniejsi, wyparci z ostatnich zakątków samotności, skarżyli się z bólem serca, iż nie mają gdzie wychylić spokojnie

swojej „regularnej” szklaneczki piwa. Przyganiaczów tego zesromocenia progów zakonnych, opatom, którzy stawili opór zepsuciu, łajano w klasztorze i po za klasztor nazwą „dusz niespokojnych, nowatorów, rozsiewaczy niezgody, kalających swe własne gniazdo...”

W porze tak zwolniałego rygoru wypadło naszym obłubieńcom krakowskim szukać gościnności klasztornej. Stały otworem dwa również niedalekie klasztory w mieście: OO. Franciszkanów po jednej stronie ulicy Grodzkiej, OO. Dominikanów po drugiej. Wybór jednego z nich poruszał sprawę dawnego spółzawodnictwa pomiędzy obudwoma domami zakonnymi. Od lat stukilkudziesięciu równie czynni i zasłużeni, tymże samym trudom na jednym i tem samym polu oddani, nie mogli oni uniknąć niewinnych z sobą sporów, uwytatniających różne usposobienia obu zgromadzeń. O ile Dominikanie odznaczali się ścisłością, surowością pojęć i wymagań moralnych, o tyle Franciszkanie nadrabiali łagodnością, pobłażliwością, folgowaniem skłonnościom ludzkim.

Stało się też, że tamci, przeciwnicy Niepokalanego Poczęcia N. Panny, sędziowie inkwizycyi św., mieli głównie rygorystów za sobą; ci zaś, najgorliwsi obrońcy Niepokalanego Poczęcia, najpożądańsi szafarze Sakramentów, owładnęli serca całego ogółu ludzkości tamtoczesnej, zwłaszcza żeńskiej. Nie było spowiedzi nad spowiedź franciszkańską, pogrzebu nad pogrzeb u Franciszkanów, nabożeństwa nad obrazowe, widowiskowe nabożeństwo u Braci mniejszych. Owszem, ubodzy twierdzili, że dopiero od nastania tych mnichów żebrzących rozszerzyła się ubóstwu droga do nieba. Ponieważ bowiem żebrzący Franciszkanin przyjmował datkę najmniejszą, przeto i ubożuchny człowiek mógł wkupić się nim do nieba, gdy przeciwnie, u innych zakonników, posiadających ziemię i włości, mogli zasługiwać się tylko wielcy panowie.

Lgnęli tedy wszyscy do Braci mniejszych, ośmieszonych tem do coraz żywszego zapaśnictwa z resztą zakonów. Właśnie temi czasy powtarzano żartobliwą

powiastkę o niedawnym sporze Franciskanów krakowskich z sąsiednimi Dominikanami. Chodziło o to, kto będzie miał prawo dzwonić wcześniej na Mszę poranną. Obadwa klasztory domagały się tego dla siebie. Kazimierz W., przed którym nareszcie stanęli spółzawodnicy, zawyrokował, iż ten będzie wcześniej odprowadzał jutrznię, kto wcześniej wstanie. Jakoby też podobną sprzecznością powdowani, dali Dominikanie w swoim sieradzkim kościele obwołać królem przeciwnika niegdyś Wilhelmowego, Ziemowita, a Franciszkanie krakowscy otworzyli furtę klasztorną schadzkom Wilhelma z Jadwigą.

I ciągną tedy do klasztoru od strony miasta młody książe rakuzki, od zamku młoda królowa. Piętnastoletniego oblubieńca otacza orszak niemiecki i grono przyjaznych panów polskich; piętnastoletnią oblubienicę prowadzi wesoły dwór niewieści. Jak każdemu pochodowi książąt ówczesnych, tak i Wilhelmu i Jadwidze, w drodze do Franciszkanów, przygrywają orszaki fletnistów i trębaczy. Towarzyszącej obojgu drużynie panieć uśmiecha się w klasztorze chwila najmilszej z zabaw ówczesnych, płas — kochankom chwila rozmowy, utwierdzenia się w słowie, może porozumienia się względem kroków na przyszłość. Żadnemu zebraniu nie obejść się wówczas bez grona mieszczan możniejszych i pań miejskich.

Wkrótce całe towarzystwo dworskie i miejskie zapełnia kurytarze i refektarz u Franciszkanów. Każda sala zdobiła się na przyjęcie dostojnych gości w różnobarwne kobierce i opony. Łada uroczystość nakazywała gościom występować w nowym, błyszczącym stroju, dodającym świetności widokowi. Wszystkie odwiedziny zaczynały się od przywitania chlebem i solą, konfektami i winem. Widzieliśmy powyżej, jak opat z bólem serca witął swoich gości szklanicą wina lub piwa. Do takich też szklanic, do smacznych przekąsek, zabierało się naprzód towarzystwo wytworne, wstąpiwszy do refektarza. Przy czem, gdy goście w ten sposób witają się u stołu, gdy przed otwarciem

plaszów krążą wstępne puhary, pobrzmiwają pierwsze dźwięki muzyki, gdy ochocza drużyna dworska przysiadła się do przysmaków na cynowych lub srebrnych misach, niech nam wolno będzie zauczęstniczyć poniekąd w jej zabawie, zastanawiając się nad znacznie odmiennym wówczas trybem bawienia się pucharem, tańcem, śpiewem, rozmową.

Zaczynając od kubków powitalnych, należy wspomnieć, że równie męskie, jak żeńskie pokolenia ówczesne, smakowały o wiele powszechniej w trunkach, niż dzisiaj. Przyprawiano przeróżne rodzaje piw, miodów, win krajowych, sprowadzano z za granicy najprzedszyńsze wina francuskie, reńskie, włoskie, małmazyę. Nadsyłanem przez Krzyżaków dla królowych polskich „wybornem winem” nie brzydziły się usta najpiękniejszej damy koronnej. Nie sprzeciwiając się bynajmniej zwyczajnemu wówczas u kobiet pijaniu wina, byle takowe nie wyrodziło się w zbytek, załączali najprzezorniejsi wykwintusie jedynie radę, aby je pić z wodą, „gdyż nie masz większego niebezpieczeństwa dla reputacji damskiej, jak nieskromne użycie trunku”. Mężczyźni poczytywali podobne fałszowanie daru Bożego za występki przeciw naturze i piali czyste wino zrana, na śniadanie, na obiad, przy wieczerzy, do łóżka. Nawet przy śpiącym rycerzu stał zwykle pełny kufel, z którego on za każdym przebudzeniem popijał.

Do wina pożywano różne przysmaki, jak np. ciastka, pasztety, znane już wówczas „torty”, konfitury, cukierki, figi, melony i t. d. Złoto, które ówczesnym bogaczom świecić musiało na stroju, na sprzęcie, na poscieli, świeciło im nawet na pieczywach i konfektach, pokrytych grubą poztotą, rachowaną z osobna w księdze wydatków. Zwyczajnie jadały z tej samej misy po dwie osoby: mężczyzna i kobieta. Pomiędzy kochankami było to miłym przywilejem stosunku. Zazdrośnicy miewali szczególnie baczne oko na ludzi, którzy z ich żoną, lub narzeczoną z jednego jedli talerza. Wesoły cel zebrania, takiż w powszech-

ności humor całej epoki, dodawał bodźca biesiadzie. Należało do obowiązków rycerza: „wesółym być”, a kobiety ówczesne pozwalały sobie nieskończenie więcej, niż dziś, śmiałości. Osobne przepisy trubadurów radziły im nie śmiać się nazbyt głośno, nie krzyczeć.

A musiano podnosić głos, gdyż każdej zabawie wtórzyła huczna muzyka. Muzyka zaś owych czasów, to nie szmer arf eolskich! Wyteżywszy należycie siły orkiestry, można było na wojnie przestraszyć nią nieprzyjaciół. Znano też daleko więcej narzędzi muzycznych, niżby dzisiaj mistrzowie przypuszczali. Opisy pamiętniejszych koncertów tamtoczesnych wyliczają 28 instrumentów, które razem, według upewnienia słuchaczy, wydawały melodyę, „jakiej nigdy jeszcze ani widziano, ani słyszano”. W stolicy, słynącej z zamiłowania w muzyce, w obecności dworu, którego królowa i każda księżna miewały swoich osobnych gędców, lutnistów, a którego król wyprawiał niekiedy posłów, będących zarazem i fletnistami — nie ustępowała muzyka polska zapewne żadnej orkiestrze zagranicznej.

Przy hucznej zaś „kapeli”, przy piętnastoletnim wieku głównej pary zebrania, przy średniowiecznej gotowości do piasów — refektarz franciszkański sam przez się zamienił się w „tanecznice”, czyli w salę do tańca. Toć nie w innym celu zgromadzono się właśnie u Franciszkanów. Nie innym też sposobem, a prawie tylko piasem, umiała wynurzać się ochota tamtoczesna. Jak z obowiązku należało wesółym być, tak jedynie temu dworowi przyznawano sławę „cnót wszelkich”, który obfitywał we wszelkie przybory balowe, t. j. „świecił okazałością strojów, brzmiał rozgłosem tręb, skrzypców, pieśni, piszczałek”. Przez co nie zaniedbując tych „cnót” dworskich, tańczono natychmiast po obiedzie, tańczono natychmiast po wieczerzy, nie pojmowano lepszego uraczenia gościa miłego, jak czempredzej biorąc go w taniec. W którąkolwiek stronę tamtoczesnego świata zwrócimy uwagę,

którákolwiek kartę ówczesnych pamiętników otworzymy, zewsząd dochodzi nas odgłos piasów.

Tysiące innych rysów obyczajowych zaginęły niezapisane, a ten szal taneczny wszędzie jednostajnie uderza. Piasają Włochy na dworze rozkosznej Joanny Neapolitańskiej, wdowy po uduszonym mężu Andrzeju. Piasa wesół Francya za przykładem równiejsze rozkosznicy Izabelli i króla Karola VI, któremu nawet swawola balowa przyniosła recydywę dawnego obłąkania. Piasa Bruksela na powitanie cesarza Zygmunta, otoczonego w tańcu 145-ma parami krążącymi. Piasa każde miasto niemieckie, jak Magdeburg, gdzie pożar sali balowej przypisał arcybiskupa miejscowego, przesławnego tancerza, o śmierć w płomieniach — jak Insbruk, gdzie zelżenie zanej córki mieszczańskiej wywołało wielki rozruch pomiędzy gośćmi i przywiodło w podejrzenie kilku książąt dostojnych. Piasa Buda węgierska na przyjęcie swoich gości turniejowych — Wrocław na przyjęcie księcia rakuzkiego, Albrechta — Toruń na przyjęcie ochotników krzyżackich — Lwów na przyjęcie posła królów: francuskiego i angielskiego.

Osobliwież Kraków przypominał sobie nie mało festynów piasających. Opowiadano sobie dziwy o trzytygodniowych godach weselnych, wyprawianych tam przez Kazimierza W. wnuczce Pomorskiej. Nie wyszły jeszcze z pamięci osławione krotofile nieboszczki babki Jadwigi. Godziło się i Wilhelma ugościć tańcem. A taniec ówczesny, to nie dzisiejsze nieme, spokojne wirowanie. Łączył on się powszechnie z pieśnią. Za słowem „taniec” szła w ówczesnym języku nieodzowna końcówka „śpiew”. I usznurowany wytworzył, i błyszcząca od świecideł tancerka, przyspiewywała sobie nawzajem, „gdy na nich kolej przyszła”. Czasem łączono głosy w jeden powszechny chór. I starano się o coraz większą sztuczność tych wokalnych popisów. Ludzie pobożni gorszyli się, iż „śpiew” łamanymi głosami, przez semitony i dyapenty, jakim niegdyś tylko doskonali mistrzowie chwalili Boga

w kościele, teraz z ust lada światowców brzmi w godowej sali przy tańcu".

Gdy tak głośnie szumi zabawa, przypatrzmy się bliżej tancerzom i tancerkom. Pierwsi, opięci, wymuskani, z uwitemi w rurkę kędziorami, albo w warkoczu, ubranym we wstążki, kręcą się w krótkich jedwabnych *jakach* o szerokich rękawach, a długich, nieraz aż po ziemię sięgających wypustach. Spodnia część toalety składa się z wysokich różnobarwnych pończoch, przypinanych wstążkami do wyższego odzienia pod żupanikiem, a zastępujących inną część garderoby dzisiejszej. Poniżej błyszczą ciasne kolorowe buciki o długich, w górę zagiętych nosach. Na szyi świeci złocisty łańcuch, w stanie pas srebrny, u pasa krótki kord, a wszędzie: u kołnierzy, bucików, w pasie, brzęczą dzwoneczki. Niezmiernie ściśnięci w swoim wązkim, kusym, wszędzie w długie śpiczaste końce wybiegającym stroju, wyglądają oni nieporównanie sztywniej od dam.

W ogólności, skąpy zapas rozumowego wykształcenia u mężczyzn, z ich rycerską czcią dla płci pięknej, z czego kobiety nie omieszkaly korzystać, nadawał tym ostatnim nie tylko idealną, lecz owszem, całę praktyczną, towarzyską przewagę. A nierównie śmielsze niż dziś, nierównie swobodniejsze od swoich wykrygowanych tancerzy, przenosiły one ich jeszcze o wiele lepszym smakiem. Jeśli zdarza się słyszeć, iż dzisiejszy strój męzki jest daleko mniej malowniczym od dawniejszego, tedy strój damski był wówczas jeszcze gustowniejszy, niż męzki. A ponieważ toalety kobiet dzisiejszych nie wielce oddaliły się od dawniejszej, więc i główny charakter stroju pań i pań, pląsających obecnie u Franciszkanów, zbliżył się poniekąd do widoku dzisiejszej elegancji balowej.

Podobne dzisiejszemu strojowi ubranie głowy; złoty wieniec lub upiót z splewających dokoła wstążek na skroni; w tył zarzucona zasłona, bogaty kanak albo perły na szyi; długa atlasowa, złotem i perłami świecąca suknia, często z ogonem, zwykle z ko-

sztownym pasem srebrzystym; złociste trzewiki, podobne rękawiczki, złotem haftowana chusteczka w rękę, a pierścienie na palcach—oto najogólniejsze rysy nadzwyczajnie rozmaitej i zmiennej toalety wytworzeń średniowiecznych. W czem moda na niekorzyść różniła się od dzisiejszej, to przypisać szkodliwemu wpływowi, pretensjonalności. Oprócz grubego atlasu lub złotogłowu, oprócz pereł i klejnotów na sukni, wartujących niekiedy kilka, kilkanaście tysięcy czerwonych złotych, ciężył dostojnej damie cały rynsztunek drogokruszcowych czótek, naszyjników, kolców, manel i rzeźbionego pasa, czyli „obręczy” ważył gruby haft złoty na koszuli, pończosze, obówiu, rękawicze i chustce.

Mimo tego wszystkiego, musiała dama stąpać na pół w powietrzu, w niezmiernie ciasnym trzewiku, tylko palcami i piętą dotykającym ziemi. Jak bowiem od ręki wymagano koniecznie długich palców, tak noga piękna powinna była tak kabłąkowato skurczoną być, „aby się czyżyk pod wypukłą stopą mógł schować.” A biada licom, które nie płonęły szkarłatem! Wiek zamięłowania w czerwieni szat nie miał spóścucia dla bladych jagód. Tylko ludzie z gminu, ubodzy, miewają na ówczesnych obrazkach wzrost karłów i blade, zielonawe, brunatne twarze; pełne zaś policzki świętych i możnych kwitną cerą rumianą. Bogate panie, którym natura odmówiła rumieńców, nie zważały na wszelką srogość przepisów duchownych przeciwko zbyt kom strojnictwa, lecz tysiącami rodzajami maści, proszków, piększydeł, dręczyły swoje oblicza. Czcicieli wieków średnich, wyobrażających sobie matrony tamtoczesne bez przerwy przy patryarchalnej kądzieli, z różańcem w rękę, nie mało zdziwiłoby zapewne, gdyby nagle stanęły przed nimi całe góry spotrzebowanych wówczas słoików różu, blanszu, perfum, pomady. Nieraz u jednej elegantki stało na toalecie „po 300 słoików, puszek, pudełek, starannie owiązanych”.

Znajdował się w nich różne maście, proszki do

zębów, farby do włosów, którym w różnych porach różne nadawano kolory; były tam preparaty do bieleńcia się i kraszenia, przyrządzane z białek, szafranu, bobu, mleka od klaczy, spirytusów, żywego srebra, i t. p. Tu miejsce przypomnieć sobie np. ową rozmarynową *larendogre*, którą babka Jadwigi krzepiła tak długo swoją starość. Nieumiarkowane używanie zbyt silnych kosmetyków kruszyło nader często zęby pięknościom. A musiano zapewne bardzo rzadko miarkować się, jeśli te wszystkie sekrety gotowalni mogły przejść do wiadomości świeckich i duchownych natrętów, którzy je naszym podali wiekom, a którzy bezwątpienia dostrzegli zaledwie małą częśćkę tajemnie toaletowych.

Tyle ich przecież widziano, iż całe poematy bywały spisywane w tym jedynie przedmiocie. Jeden z takich utworów opiewa rozmowę Pana Boga z mnichami o różowaniu się kobiet. Pan Bóg pozwala 20-letnim pięknościom „malować się” jeszcze przez dalszych lat 20. Od mnichów spodziewa się poeta większych względów dla ułomności ludzkiej, t. j. żąda pozwolenia krasideł na lat przynajmniej 30. Lecz mnichy dopuszczają tylko lat 10. Św. Piotr występuje jako pośrednik i uzyskiwa 15. Było to jednakże tylko marzeniem zalotnych trubadurów. Rzeczywiście przykazania kościelne, jak o tem nadmieniono, potępiły nader surowo każde nadużycie toaletowe.

Nadaremnie przecież pracowano nad poskromieniem namiętnej próżności niewiast. I napróżno też chcielibyśmy ku obronie naszych płasających pań krakowskich natrącać, że wiele z przytoczonych tu szczegółów i zbytków elegancji służyło jedynie zagranicznemu strojnisiom. Już w wieku Jadwigi zaczęła panować moda, a pod jej wpływem zniewalającym żaden z narowów stroju i upiększenia się nie spowszedniał w jednym kraju bez zakwitnięcia na nowo w drugim. Płynęła ta nadobna niewola zwyczajnie z tej samej do nas strony, co dziś, t. j. z za-

granicy, z zachodu, najpowszechniej ze stron „frankskich”.

Krzewiła się moda wprawdzie nieskończenie leniwiej niż za dni naszych, była przeto mniej zmienną, udzielała się mniej licznemu tłumowi, lecz po dworach książęcych, po zamkach możnowładczych, po najwykwintniejszych domach mieszczańskich, po zgromadzeniach młodego duchowieństwa, mistrzowało jej berło ledwie nie surowiej niż dziś. Ułamki rachunków dworu królowej Jadwigi, wspominające niejednokrotnie o jakich „frankskich” nowego kroju, o takichże żupanikach, o strzemionach nowego kształtu; miejskie wilkierze przeciwko zbyt kom; ustawy synodalne, cenzurujące bezustannie pstroczną barwę, potworną szerokość rękawów, zbyt długie dzioby u trzewików duchownych; wreszcie tysiące innostronnych wzmianek społecznych, dają niewątpliwie o tem świadectwo.

Najgorliwsze zaś zwolenniczki mody, pleć biała, ówczesne panie krakowskie, w powszechności wszystkie mieszkanki słowiańskich stron Europy, nie tylko umiały godnie spółzawodniczyć z elegantkami zagranicznymi, lecz owszem, same dla nich szczęśliwe w dziedzinie stroju czyniły inowacje. Królowa ze krwi Piastów, prawnuczka Kazimierza W., poślubiona królowi angielskiemu, miała w Anglii zamiast niewygodnych haftek i spinek, wprowadzić pierwsze szpilki. Kuzynki znanego nam pana Bartosza z Wieszemburga dawały sobie robić suknie w Wrocławiu. Krawcy, a osobiście krawczychy, zbijały, jak dziś, majątki szlarkami i haftami. Zdarzało się już i wówczas, że zakonnicy niejednego ubożego klasztoru poczytywali się za szczęśliwych, jeśli w dniu świątecznym mieli za co nakruszyć sobie bułki do ciepłej wody, a haftarki francuskie stało na wykupowanie z niewoli sławnych rycerzy, którzy znowuż w swojej pysze rycerskiej umyślnie jak najwyższy wyznaczeni za siebie okup.

Zatoż jak wytwornie wyglądały ustrojone ich

ręką damy, zwłaszcza damy obecnego zebrania u Franciszkanów! Równie bowiem biegle w sztuce strojenia się, jak ich rywalki zagraniczne — dzięki prostocie swego plemienia mniej od nich pochopne do przesady, a tem samem bardziej nadobne — zawdzięczały one szczodrej matce naturze niezwykłą urodę. Niejedna z ich spółziomek i współczesniczek zmusiła nawet duchownych kronikarzy do oddania pisemnego hołdu swym wdziękom. Doszła nas w ten sposób wiadomość o rzadkiej piękności starszej księżny Mazowsza Ziemowitowej, tudzież kilku księżniczek mazowieckich, a osobliwie najpiękniejszej z nich Ofki, poślubionej księżciu Cieszyńskiemu, „ozdoby swojego wieku”.

I nie były one piękne tylko dla kronikarzy i potomności. Ulegała ich wdziękom cała społeczność męzka. Przypominamy sobie bardzo liczne przykłady niezwykłego przywiązania małżonków i kochanków. Bratanek Jadwigi, ów Biały Kujawczyk Władysław, z żalu po stracie żony porzucił swoje księstwo Gaiewkowskie i ojczyznę, i na całe życie stał się tułaczem po świecie. Małżonek owej pięknej księżny Mazowsza, ojciec naszego Ziemowita, ze zbytku zazdrośnej miłości uniósł się do morderczego względem żony szaleństwa. Jednemu z wojewodów krakowskich odradzającemu nierozważne starcie się z wrogiem, zarzucano na placu bitwy, iż żal pięknej umiłowanej żony czyni go tchórzem. Jeden z Toporezyków Tęczyńskich, nieco późniejszy kasztelan wojnicki Andrzej, podał się w podejrzenie, iż z miłości dla żony, córki znanego nam podskarbiego Dymitra, przyspieszył bardzo szkodliwy odwrót z kraju nieprzyjacielskiego.

Ale gdzież uroda i przywiązanie nad wdzięki i uczucia Jadwigi! Była ona wistocie pierwszą piękną onych czasów. Miały ją taką strony rodzinne i zagranica. We Włoszech, gdzie nawet nie znano jej właściwego imienia, nazywając ją po imieniu ojcowiskiem, opowiadali sobie ludzie, jako „wszyst-

kie strony świata pełne są chwały piękności królowej polskiej Ludwiki”. Udawano się nawet z cudzych krajów do Polski, aby tylko obaczyć piękną Jadwigę, „co dwór królewski w Krakowie nabawiało tłumu ciekawych odwiedzaćów”.

Nie potrzeba więc było korony, aby również nadobny Wilhelm przejął się gorącem dla królowej polskiej uczuciem. Kochali się też oboje znaną wszystkim społecznym, pamiętną po wszystkie potomne czasy miłością. Pobożni ludzie mieli nawet to przekonanie, iż jedynie dlatego dotknął Bóg tak boleśnie ich serca, „ponieważ swojej ziemskiej miłości dali nazbyt wiele władzy nad sobą.”

Jakże wdzięcznie powzieliśmy teraz każdy nowy szczegół do historii ich znajomości, ich obecnej zabawy u Franciszkanów! Oto ustały właśnie plasy. Przyjazne pary oddają się rozmowie. Rozmowa Wilhelma z Jadwigą obcemi toczy się słowy. Niezrozumiałość języka pozwala czasem śmielej wynurzyć się uczuciu. Atoli napróżno szukamy wszędzie sposobu dosłyszeć treści rozmowy, dostrzedz bliższych rysów tej chwili. Tylko późniejsze cierpienia ich miłości są wiadome dokładniej, a poprzednia jej radość, poprzednie koleje ich stosunku, zaginęły bez śladu.

Przypatrzmyż się natomiast innym kochankom, przypatrzmy się ogólnemu obrazowi miłości onych czasów. A wieki średnie, zwłaszcza zaś teraźniejsze ich lata, te lata wesela, płasów i nieograniczonej ufności w łaskę bożą, jak Magdalena „wiele kochały”. Miłość przestała być tylko uczuciem, przeszła w powszechnie zachowywany obyczaj. Każda panna musiała mieć kochanka, każda mężatka wielbiciela. Nie mieć go, znaczyło podawać się we wzgardę u ludzi. Niezgorszeni tem małżonkowie udzielali żonom wyraźnego w tej mierze pozwolenia. „Póki mój mąż nie będzie mnie prosił o to i nie każe mi przyjąć cię za amanta, nie znajdziesz u mnie posłuchu” — mawiała najsurowsza moralistka do miłośnego natręta.

Stosownie do powszechnego zamiłowania w obrzę-

dach i ceremoniach, towarzyszył i przyjęciu zdeklarowanego kochanka pewien znak uroczysty, czasem przeżegnany pobożnie pierścioneczek, czasem pocałunek i uścisk, niekiedy wzajemny ślub na Ewangelię. W średniowiecznym też duchu symbolów, lubiącym każdy stosunek znamionować natychmiast godłem zewnętrznym, otrzymywał kochanek naówczas pewien upominek ze stroju kochanki, jej szarfę, wstążkę, chustkę lub rękawiczkę, do przypięcia sobie na hełmie i noszenia przed całym światem. Nazywało się to przywdziewać „liberyą” swojej kochanki. Nieobdarzeni wzajemnością rycerze błagali wraz z nieszcześliwym trubadurem Wilhelmem de St. Dider: „Bogdaj jednej nitki z twej rękawiczki, jednego włoska z twej szuby!”

Szczęśliwy zaś kochanek obdzielał w właściwym znaczeniu tego słowa toaletę swej damy, potrzebując coraz nowej „liberyi”. Gdy bowiem podczas turnieju, staczanego wobec kochanek, panowie rycerze pozrzucali sobie lub porozszarpywali wzajemnie te upominki, obowiązkiem kochanek było przesłać swoim czcicielom natychmiast nową część stroju w miejsce rozdartej, co kilkakrotnie w ciągu jednej gonitwy powtarzając się, przywodziło damy nakoniec do zupełnego ogołocenia. Jeden z ówczesnych romansów maluje nam prawdziwie opłakany stan, w jakim cała piękna publiczność znajdowała się niekiedy po turnieju. „Wieniec i wstążki na głowie — były podarte, włosy w nieładzie, suknie bez rękawów, bo wszystko, i szlarki i szarfy i mantyle i rękawy i kapeluszyki” — poszły na plac gonitwy.

Odplącał to rycerz głośnie po wszystkich stronach wychwalaniem piękności swojej pani, wielce łechtając jej próżność, a nawet nie wstrętnem małżonkowi. Mniej skorym wielbicielom rozkazywały damy wyraźnie iść głosić po świecie ich wdzięki i swoją miłość, owszem, jak tego mianowicie jedna z teraźniejszych dam francuzkich konieczne wymagała, „publikować wszystkie szczegóły jej romansu,

wszystkie jej listy, nawet wszystkie doznane od niej pieśczęty”.

Musiał tedy rycerz, chcąc nie chcąc, wyruszać w świat. Żegnała go przy rozstaniu pobożna „benedykcyja” kochanki, nowa od niej „liberya”, a czasem i brzęcząca sakwa z pieniędzmi. Najżarliwsi wybierali się w drogę z ślubowanym plastrem na oku, albo z przymrużoną na cześć kochanki powieką, lub jak ów wzmiankowany już rycerz polski, bawiący temi czasy na królewskim dworze we Francyi, z łańcuchem złotym na ręce i na nodze. Które to wszystkie umartwienia trwały zwykle tak długo, aż póki jakiś ku czci damy dokonany czyn bohaterski nie uwolnił od ślubu. Na wszelki wypadek zaczynał rozkochany kawaler swój romans od dłuższej lub krótszej próby, a dopiero posłuszne jej przebycie pozwalało spodziewać się nagrody.

Wtedy, wróciwszy do ulubionej z wyprawy, przeżegnawszy się ze zdumienia nad jej niczem nieumniejszoną pięknoscia, doznawał rycerz z czasem tak poufalitych względów przyjaźni, o jakich dzisiejsza przyzwoitość nie pozwala marzyć kochankom. W tej mierze obyczaje rycerstwa nie mogą być sądzone według poezji społecznika powieści naszej, Petrarki. Platonizm poety włoskiego zdaje się być tylko jednym z nadobnych uniesień tego szału romantycznego, który w głowach powszednich, w ogólnym obrazie życia, tak dziwotworne wzbudzał zjawiska.

Nie mogąc zaś malować sobie tego ogółu życia według pojedynczych umysłów wyższych, do których w pierwszym rzędzie należy sama bohaterka naszego opowiadania, a które, mimo przeciwnego usposobienia otaczającej je epoki i ludzkości, są w każdym wieku piękne i światło — przychodzi o powszechnej przyzwoitości tamtoczesnego towarzystwa, mianowicie onych przyjaciółek rycerskich, najniepoehlebniejsze

powziąć wyobrażenie. Od lat dzieciństwa były one, dzięki samejże edukacji, obeznane ze wszystkim, co dziś do późna nie skala myśli i oka zacnej kobiety.

Przypuszcza nas do tego sekretu książka edukacyjna, napisana około r. 1371 przez ojca dla kilku córek. Jak wszystkie dawne pisma tego rodzaju, składa się ona po największej części z powiastek, mających przykładami wpajać moralność, obrzydzać grzech. Jakoż dla zachęcenia wychowanek do cnót panińskich, następują z kolei historie wszystkich grzesznie starego i nowego zakonu, zaczawszy od córek Lota, aż do rozpustnic społecznych. Przykłady ich występków są tak głęboko z samegoż dna zgorzienia zaczerpnięte, opisy grzechu tak zaraźliwie szczegółowe i dotykane, iż żadna z zepsutych kobiet dzisiejszych nie zdołałaby bez zarumienienia odczytać tych rad ojcowskich.

Lecz co najgorsza w edukacji średniowiecznej, to przykłady ówczesnej moralności. Oto np. opowiada ojciec ku zbudowaniu córek: Pewien rycerz, po raz trzeci już wdowiec, pragnął dowiedzieć się o losie swoich małżonek na tamtym świecie. Idzie zatem do jednego świątobliwego pustelnika; który po długich prośbach i modłach objawia mu, że dwie poszły do piekła, a tylko jedna jest w niebie. Jakież tedy grzechy stały się zgubą tamtych? jaka cnota zbawiła tę? Tamte „różowały się i lubiły stroje wykwitne.” Ta popełniła wprawdzie „dziesięć lub ze dwanaście razy” grzech, którego tu bliżej opisywać nie możemy, „i różnym innym mało znaczącym folgowała pokusom”, lecz ponieważ wyspowiadała się na łożu śmierci, przeto skończyło się na kilku leciech czyścica. „Bo — zamyka ojciec morałem — jeśli inne nie zajdą okoliczności (z którymi powiastka obeznawa panińki szczegółowo, a które tu podobnież zamilczeć musimy), dostaje się dusza za takie pomniejsze

grzechy tylko na siedmioletnią pokutę w ogień czyścicy.”

Czemże były złe wychowane kobiety owego czasu, jeśli przedmioty troskliwej edukacji miały tak dzikimi pojęciami głowę nabić, tak szpetnymi obrazami imaginację skalana! Przewrotny zaś umysł, skażona wyobraźnia, wynurzały się na zewnątrz nader rubasznym trybem znalezienia się w towarzystwie. Rozmowa kochanków rycerskich odślaniała swobodnie, co znarowione serce pożałowało wbrew godziwości. Nawet niewinne poruszenia, uczucia, wyrażały się w dziwaczny dzisiejszemu smakowi sposób.

Nieograniczona cześć dla pieniędzy, jak teraz, tak i wówczas zapewniających szacunek ludzki i wzajemność kochanki, redukowałą w rozmowie wszelkie przyjemności i smutki życia na pewną kwotę pieniężną, nadawała wywnętrzaniom się sentymentów dziwnie poziomą formułę rachunkową. „Wasze słowa życzliwe — odzywa się do papieża mówca cesarski — przejęły cesarza większą radością, niż gdybyście mu byli dali 100,000 grzywien srebrnych!” „Wolałbym być stracić 100,000 franków, niż zgubić tyle ludzi” — lamentuje po przegranej bitwie naczelnik wojska rozgromionego. „Rozkoszy, jaką sprawia widok bujnego lotu sokołów, nie dałbym za 1000 małych florenów!” — woła namiętny miłośnik łowów. Dziękując za co, mawiał wyższy do niższego: „Pięć tysięcy dzięków, mości rycerzy!” — niższy przeciwnie do wyższego: „Sto tysięcy dzięków, najmiłościwszy królu!”

A jak usta pospolitowały się lichwiarskiem takowaniem uczucia, tak pospolitowała się również ręka i noga ruchem prostaczym. „Ścisnąć za rękę — mówi wykwintny trubadur w rymowanych przepisach elegancji — jest to grzeczność, którą dama winna jest wszystkim; trącać się nogą pod stołem godzi się tylko kochankom.” Jakoż ta „wojna nogami” była

rzeczywiście jednym z najulubieńszych dowcipów miłości średniowiecznej. Opisując posiedzenie dwójka kochanków przy obiedzie, opowiada pewien wytworny romansopisarz wieku Jagiełły: „Owoż gdy tak przypijali do siebie, on do niej, a ona nawzajem do niego, zaczęły oczy coraz ognistsze miotać pociski, coraz silniej ku sobie pociągały się serca, zaczęły i nogi, długim zasłonięte obrusem, nuż powoli przybliżać się do siebie, nuż stykać się jedna z drugą, nuż wreszcie stapać jedna po drugiej.”

Śmielsze damy rzucały się pierwszemu lepszemu rycerzowi na szyję. „Pani hrabina de Montfort — opowiada kronikarz społeczny — wyszła naprzeciwko rycerzom, i ucałowała naprzód dowódcę, a potem każdego z towarzyszków, raz i drugi i trzeci, jako dziarska dama i pani.” Podobnie pan dostojny, wychodząc na spotkanie nadjeżdżających dam, całował w usta panią, córkę, panny francymery, „wszystkie, jedną po drugiej.” Cały sposób obchodzenia się z kobietami nacechowany był rubasnością bez granic. Na pokojach królewskich, w rozmowie pospolitej szlachty z królową i królem Francyi, panował tak swobodny ton konwersacyi, uchodziły tak prostacze zaloty, pozwalał sobie lada rycerz żartów z królową, od jakich dziś zarumieniłby się każdy przedpokój.

W jednej z najwykwintniejszych powieści owego czasu, malującej niektóre sceny u dworu francuskiego za dni Jadwigi, przypisanej poważnemu stryjowi królewskiemu, prosi rycerz monarchę o zrobienie pewnej uprzejmości królowej. Król przyrzeka ze śmiechem, a krotofilny rycerz zbliża się do niej, mówiąc: „Podziękuj mi pani bardzo pięknie.” — „Zacóż mam ci podziękować, Saintre?” — spyta królowa, widząc, że król i rycerz się śmieją. — „Podziękuj mi, pani, wprzód, a potem powiem.” — „Nie! — odrzekła królowa — nie podziękuję, bo zażartowałbyś ze mnie! Muszę pierwej usłyszeć, o co chodzi,” —

A gdy rycerz się wzbraniał, uchwyciła go królowa za rękaw i powiedziała: „Teraz nie puszcę cię, dopóki mi nie powiesz!” — „Xiężno! xiężno! ratuj mnie! — odezwał się rycerz do stojącej opodal damy, swojej kochanki. — Patrz, królowa chce mię z m o c o w a ć!...”

I opowiedział żartowniś nareszcie głośno swój sekret. Co zaś za dowcip wyszedł wtedy z ust wesołego rycerza na pokojach królewskich, ku zadowoleniu dworu całego, jakie przytem inne przymówki żartobliwe rozweselały konwersacyę, nie powtórzyć żadnej książce dzisiejszej.

Z takiej „wytworności” dworów królewskich można powziąć wyobrażenie o zabawach zamków rycerskich. Miał tedy zdeklarowany wielbiciel damy rycerskiej prawo spodziewać się poufałego przyjęcia po swoim powrocie z wyprawy na cześć kochanki. Jakoż zgadzały się na to powszechnie wyobrażenia honorowe onego wieku, iż „po jakimś czasie żadna uczciwa kobieta nie może wymówić się od wdzięczności dla rycerza swojego.” A ponieważ obyczaj żądał, aby każda miała rycerza, więc powszechna też wdzięczność rozgościła się po zamkach i komnatach rycerskich. „Sława walecznych rycerzy — tłómaczą sobie swe własne szczęście kochankowie ówczesni — kołatała tak długo do serc dziewiczych, aż wszystkie nakoniec złagodniały i rozwarły się.”

W tem zaś zwolnieniu serc i zwyczajów — „o jakże mylą się ci — skarży się jeden dokładny znawca wieków szwaleryi — którzy sądzą, iż miłość w czasach rycerskich była podobną do urojeń, jakie sobie o niej tworzą przyganiacze czasów dzisiejszych... Jakkolwiek zepsute mogą być czasy nasze, obyczaje onych wieków heroicznych były nieskończenie szpetniejsze.” Drugi wtórzy tej skardze twierdzeniem, „iż za czasów szwaleryi powszechna rozwiązłość panowała w stosunkach płci obojej... Naruszenie ślubów małżeńskich należało do niezaprzeczonych

przywilejów piękności i waleczności." Trzeci zapewnia owszem po kilkakroć: „iż nigdy jeszcze nie widziano tak wielkiego zepsucia obyczajów, jak za czasów rycerstwa, nigdy rozpusta nie była powszechniejszą...” Ztąd to ów dziwny pośpiech rodziców w wydawaniu córek czempredzej zamaż.

A przecież i w onych latach świecą niektóre przykłady dziwnej piękności uczuć. One to wydały nieśmiertelną miłość Petrarki. One to patrzyły na idealny romans króla angielskiego, Edwarda, z hrabiną Salisbury, uwieczniony opisem przytaczanej tu często kroniki i ustanowionym przez kochanka orderem, który po dziś dzień jest pierwszą honorową odznaką Anglii. Im to winni jesteśmy wzniosłą duszę Jadwigi.

Bo nie wygasnąć nigdy w piersiach ludzkości, w pojedynczych duszach wybranych, Bożej iskrze piękności. Jakkolwiek czasy swawolą i rubasznieją, one zawsze tem samem światłem świecą. Owszem, im ciemniejsze tło ogólnego widoku, tem jaśniejsze gwiazdy szczególne. I toż właśnie bywa zwyczajnie powodem mylnych sądów o różnych wiekach. Uderzeni światłością tych zjawisk pojedynczych, nie możemy przypuścić powszechnej ciemni ogółu. Tymczasem obrazowi historycznemu zależy właśnie przedewszystkiem na ogóle, gdyż piękność dusz pojedynczych, jako nieśmiertelny przywilej natury ludzkiej, jako dzieło Boże, zawsze też sama, niezawisła od wpływu dziejów; a tylko ogół, jako zmienne tworzywo czasów, dopiero długą pracą pokoleń dorabiające się światła i krasę, tylko powolną i często przerywaną pracą okrzyszującą się z snieci, stanowi najwłaściwszy przedmiot dziejopisarstwa.

Najmilszem zaś jego zadaniem: dostrzegać w różnokształtności epok i obyczajów, że ta praca dziejów nie jest do cała płonna, że nie coraz mniej, lecz coraz więcej światła, wdzięku i czci na świecie. Dlatego tak szerokimi obrazami rubaszności ówczesnej

wypadało otoczyć ledwie nacięniowany zarys nieśmiertelnie pięknej osobistości Jadwigi. Dlatego z tak szerokiego świata przyszło nagromadzić szczególnie obyczajowe w opisie charakteru Wilhelma i teraźniejszej uczy u Franciszkanów.

Już ona wnet u końca. Rozrywki franciszkańskie nie wykraczały po za granicę bardzo przyzwoitego umiarkowania. Niebawem wróci cisza w mury klasztorne, a owi staruszkowie zakonni, uskarżający się w obecnym zgiełku na brak zakątka, gdzieby swoją „regularną szklaneczkę” spokojnie wychylić mogli, zasiadą znów w refektarzu. Gdybyśmy zaś przed rozejściem się gości chcieli jeszcze spojrzeć po napełnionej niemi sali klasztornej, dziwnie różnobarwny przedstawiłby się nam widok.

Taż sama swoboda, do nieładu zbliżona, która do późna panowała na dworze polskim, a której ukróceniem zamierzonym margrabia Zygmunt temież czasy obudził niechęć powszechną, ożywiła wesołe zebranie u Franciszkanów. Dzięki towarzyskości i swobodnej jeszcze etykiecie ówczesnej, mieli w niej równy udział ziemianie i mieszczanie, przy wszelkich uroczystościach dworskich jednostajnie obecni. Oprócz krajowców, nie brakło nigdy gościnnych przybyszów z za granicy, gdzie bardzo wielka liczba rycerstwa ówczesnego okazuje się w pamiątnikach niemieckich i francuskich wielce świadomą okolic i miast polskich. Dalecy od narzucenia biesiadzie groźnego widoku zbroi żelaznej, świecą oni miękkim pstrokatym strojem, odpowiednim toalecie niewieściej. Niektórzy panowie polscy odznaczają się białymi chustkami na szyi, zawiązanymi w szeroki z boku węzeł, nibyto pamiątką dawnego mnichostwa Kazimierza Odnowiciela.

Panny poznałeś po „przetowłosem” ubraniu głowy i srebrnych albo złotych wieńcach. Podobnie jak kawalerowie, tak i one brzęczały gęstemi dzwoneczkami u stroju. Owszem, niektóre matki przyce-

piały im z umysłu jak najwięcej grzechotek u pasa, u rękawów i rąbków sukni, aby nieuciszone niczem brzękadła, ostrzegające o każdym kroku córki, chroniły ją od smutnych skutków niejednej z ówczesnych uczt za granicą.

Mężatki mają na głowie sute, wysokie, zwyczajnie bardzo kosztowne czepce i w tył odchyloną zastonę. Wszystkie wonięą mocnymi pachnidłami, które mi nawet pościel zaprawiano codziennie. Tu i owdzie polyska zwierciadełko, podawane z ręki do ręki. Niektóre z dam przechodzą się po sali, trzymając się za ręce, co pomiędzy równymi zapobiegało wielce niemiłemu przodkowaniu jednej przed drugą. Natenczas przed wzrokiem przechadzających mijają—tu jakiś zagraniczny rycerz „zielony”, oznajmujący barwą swojego stroju, iż zaciągnął się do cechu rycerzy „błędnych” — owdzie jakiś „kurtezan”, czyli niedawno z długiego pobytu przy dworze papieskim przybyły prałat — gdzieindziej jakiś stary rycerz, siedzący z zakrzyżowanymi nogami, w szanowny dla wszystkich znak, iż odbył pielgrzymkę do Ziemi Świętej.

Nareszcie uderzała jeszcze mnogość piesków o świecących obrózkach, które wraz z wielą innych zwierzątek, jak np. koty morskie, a nawet jeże, były ulubionem towarzystwem ówczesnych pań i panów, niezapomnianem na żadnym starym obrazie uczt dworskiej. Jadwiga otrzymywała w darze „potulne psięta” ze srebrną obwódką na szyi, a Wilhelm wychował sobie lwiatko, które po koniec życia z niezmiernem przywiązaniem lgnęło do pana.

Wtem zaczęło znowu krążyć wino z cukierkami i konfektami. Zapowiadało to chwilę rozejścia się. Zabrzmiały trąby przed odchodzącą Jadwigą i Wilhelmem, towarzysząc królowej aż na zamek, a księciu aż do mieszkania w mieście. Długo atoli trwało, nim całe towarzystwo opuściło progi klasztorne. Wymagał bowiem obyczaj średniowieczny robić nadzwyczajnie

czajnie wiele ceremonij przy każdym kroku. Gdzie zachodził pozór niezupełnej równości stanu, tam najmniejszy cień przodkowania stawał się krzywdą; pomiędzy równymi zaś należało do oznak „dobrego tonu” nie przyjmować od razu żadnej ofiarowanej sobie grzeczności, wzbraniać się „dłużej, niż kwadrans” wcześniejszego od towarzyszków przestąpienia progu przy wyjściu, wymawiać się również uporczywie od wzięcia honorowej strony w pochodzie. Niekiedy dopiero kilkakrotny rozkaz królewski kładł koniec zbytnim ceregielom rycerzów i zniewalał ich rozejść się wreszcie do domu.

Po jednym zebraniu u Franciszkanów następowało drugie. Wesole zabawy klasztorne powtarzały się. Oneż to dopiero, o ile sobie wytlómaczyć umiemy bieg wypadków, natchnęły dawne przywiązanie Jsdwigi potęgą rzeczywistej miłości. W dziecinnie żywej duszy, ogrzanej słońcem zmysłowości ówczesnej, a rozdrażnionej przeciwną koleją zdarzeń, rozbudzona raz skłonność dojrzała rychło w namiętność. Zgasł wszelki wzgląd na Jagiełłę, a utwierdziła się myśl dopełnienia miłej sercu ugody matczynej z ojcem kochanka.

Lubo oznaczony w Budzie termin pokładzin Jadwigi i Wilhelma w dzień Wniebowzięcia N. Panny przeminał bezskutecznie, nie traciły przeto waloru ani warunki powtórzonej wówczas umowy, ani uroczyste śluby Haimburskie, ani dawne życzenia ojca, tak silnie teraz przypominające się oblubienicy i córce. Mimo oporu panów koronnych i wykluczenia Wilhelma z zamku, była jeszcze przy pomocy stronnictwa przychylnego nadzieja, iż postanowione dotrzymanie wiary oblubieńcowi odniesie ostatecznie zwycięstwo. Należało tylko jakimkolwiek sposobem przyjąć Wilhelma na zamek.

Jakoby dla ułatwienia sobie tego zamysłu, dla umniejszenia liczby nieprzyjaciół, pojednała się Jadwiga w tym czasie z dawnym rywalem i przeciwni-

kiem. Był nim Piast Mazowiecki, Semko, pragnący niegdyś pozbawić ją albo tronu, albo kochanka. Aż dotąd nie przyszło do zakończenia dawnej z nim sprawy. Pozostawały wciąż jeszcze w jego ręku opasowane przed dwoma laty Kujawy i niektóre inne zamki królewskie. Teraz obmyślano ugodę, czyniącą zadość obojej stronie. Ziemowit zwracał Jadwidze wszystkie dawne zdobycze, a królowa zobowiązała się wypłacić mu zato 40,000 kóp groszy praskich okupu.

Ponieważ zaś nie znalazło się zaraz tyle w skarbie pieniędzy, więc zatrzymał Semko Kujawy w zakładzie na czas tak długi, aż póki nie nastąpi wypłata. Resztę opasowanych zamków i posiadłości koronnych zwrócił książę natychmiast i zniweczył nadto ugodę, zawarłą niegdyś z uszczerbkiem korony królewskiej ze szlachtą ziemi Łęczyckiej. Zaco królowa podjęła się wypłacić jeszcze długi, zaciągnięte przez Ziemowita u Żydowinów krakowskich. Zarazem ubezpiecza się wzajemnie wolność jeńcom obojej strony, zapewnia się przebaczenie królewskie wszystkim duchownym i świeckim panom, którzy dotąd trzymali z Ziemowitem, z wyjątkiem zdrajcy Małochy, i staje obietnica solenna nieczynienia sobie odtąd żadnej przekory. Zawarty został ten układ w Krakowie, w wigilię św. Łucyi, czyli dnia 12 grudnia r. p. 1835. Na zachowanym dotąd dokumencie pojednania nie podpisał się żaden z dygnitarzy koronnych.

W ten sposób wyjaśnił się nieprzyjazny stosunek między Jadwigą a Ziemowitem. Zawarcie ugody pomiędzy nimi w tej właśnie chwili, kiedy rada koronna sporzyła o Wilhelma ze swoją królową, stawia Ziemowita oczywiście po stronie Jadwigi, przeciwko radzie. I nazbyt zrozumiała zdaje się rzecz, iż młodzieńczy książę Mazowsza pałał niechęcią ku senatorom krakowskim, którzy, mimo wszelkich starań i nadziei, odciepli go od tronu. Mając rzec się Ja-

dwīgi, pragnął on przynajmniej utrudnić im ofiarowanie jej temu, z kim oni połączyć ją zamierzali. Ztąd pojednanie z Jadwigą przechylało go zarazem na stronę jej kochanka, Wilhelma.

Którym to zwrotem okoliczności wracał Ziemowit jedynie do pierwotnej roli książąt mazowieckich w swadźbie rakuzkiej, t. j. roli przyjaznego Rakuszanom poręczyciela traktatów ślubnych, jako mianowicie przed mniej niż pięciu laty pełnił w Węgrzech ojciec młodego księcia, stary książę Ziemowit. Jakóż zbliżył się teraz nasz młody Semko wistocie do najgorliwszych przyjaciół Wilhelmowych, bo do Krzyżaków. O ile ci życzyli sobie dojścia ślubów rakuzkich, nie potrzeba tłumaczyć. Rodzina Wilhelma liczyła się do przednich dobrodziejów zakonu. „Dowodem tego — pisze mistrz W. do Rzymu — sztan-dar rakuzki, wiszący na zamku w Maryenburgu.” Nie byłoż dla nich męża Jadwidze, nie było miłszego dla nich króla w Krakowie, nad Rakuszaną Wilhelma. Przeciwnie, Jagiełło mężem Jadwigi, W. Ks. Litewski na tronie Piastów, Polska podwojona połączeniem się z Litwą — cóż za złowrogi dla W. mistrzów widok!

Zaczem, jak później ubiegano się gwałtownie o podtrzymanie sprawy Wilhelma, tak i teraz podawano jej rękę, łączono się ze wszystkimi, którzy tem samem tchnęli życzeniem. Widząc w ich rzędzie Ziemowita, potrzebującego zawsze pieniędzy, pożyczili mu Krzyżacy do dawnych długów na Wisnę i ziemię Zawkrzyńską nowy przyczynek 1,000 kóp szerokich groszy praskich. Cokolwiek zresztą spowodowało tę pożyczkę, zawsze blizkoczesne pojednanie Jadwigi z Ziemowitem, a porozumienie się Ziemowita z zakonem wskazują na zamiysł utworzenia szerokiej ligi, przychylnej wprowadzeniu księcia rakuzkiego na zamek krakowski, w progi małżeńskie.

Wszakże i przeciwnicy nie spoczywali. Układy panów rad koronnych z Jagiełłą szły dalej. Jedno-

cześnie z przybyciem Wilhelma do Krakowa wrócili wyprawieni do Jagiełły posłowie, wioząc od niego owo dokumentne zeznanie, jako wszystko, co pierwsi wysłańcy litewscy oświadczyli najprzód w Krakowie, a potem w Budzie, jest rzeczywiście wolą Jagiełły. Po którym to pisemnem zatwierdzeniu ustnych punktów ugodnych wymagała dyplomacya krakowska wyprawić ostatecznie za Bug poselstwo, któreby się ułożyło z Jagiełłą względem sposobu i czasu jego przybycia do Krakowa.

Uzyskali wielmoże krakowscy bardzo ważną pomoc ku temu krokowi ostatecznemu. Jak wiadomo, mianowany został w Budzie, w umowie między ojcem Wilhelma Leopoldem a królową-matką Elżbietą, egzekutorem pokładzin oblubieńczych w Krakowie Opolski książę Władysław. Tymczasem wyznaczony pokładzinom termin minął bez skutku, a egzekutor opuścił trudną sprawę, której miał bronić. Owszem, nasz „miłośnik spokoju,” nasz zmienny w swoich losach „Naderspan,” niechętny sporowi z najmożliwszą częścią narodu, utwierdzony w tej niechęci obawą, aby teraźniejszym popieraniem Wilhelma nie pobudził narodu do temperszego odebrania mu kiedyś różnych ziem polskich, na koniec ujęty zapewne obietnicami i widokami korzyści związków z księciem litewskim—przeszedł stanowczo na stronę dziewczątów litewskich, nieprzyjaciół Wilhelma.

Widać to z wcale nowego składu postronnych okoliczności. Najprzód, wbrew wszelkim pobudkom do obopólnej niegdyś przyjaźni, wszczyna się odtąd nieprzyjazny stosunek między księciem a Krzyżakami, którzy niebawem wiążą się przeciw niemu z jego nieprzyjaciółmi. A mimo swego miłośnictwa pokoju, miał Opolczyk wszędzie wrogów bez liku. Wiodła go bowiem pokusa w nader częste starania o jakieś zyski wątpliwe, nabytki podejrzane, które w końcu ściągaly na niego rój adwersarzy. I tak, otrzymawszy bezprawnem rozrządzeniem króla Ludwika część

Kujaw, ziemię dobrzyńską i inne posiadłości, uznał się książę teraz ztąd i zowad zagrożonym w tych niesłusznych dzierżawach. Z jednej bowiem strony panowie małopolscy umawiali się z Jagiełłą względem odzyskania wszystkich uszczerbków korony, co Opolczyk zmuszało szukać przyjaznego porozumienia z panami i księciem litewskim. Z drugiej strony, widząc chwiejnem usposobienie naderspana, znachodząc sobie Krzyżacy innego do Opolczykowych ziem pretendenta, mianowicie książąt pomorskich Warcisława i Bogusława, którzy jako bratankowie poprzedniego księcia dobrzyńskiego Kazimierza, urodzonego z siostry Kazimierza W., głoszą się właściwymi dziedzicami ziemi dobrzyńskiej.

W czem, popierając obudwóch Pomorczyków, zawiera W. mistrz krzyżacki temż czasy wyraźny z nimi traktat „przeciwko temu, który nieprawnie mianuje się księciem dobrzyńskim.” Ponieważ jednak niebezpieczeństwo polsko-litewskie groziło bezpośrednio, przeto zniósł Opolczyk spokojnie groźbę Krzyżaków, a uznał się przyjacielem Jagiełły. Gdy panowie krakowscy wyprawiali teraz ostatnich posłów swoich do Litwy—znowuż, jak przed trzema miesiącami Włodka z Ogrodzieńca, poprzednio cześnika krakowskiego, obecnie starostę lubelskiego, Mikołaja, kasztelana zawichostskiego i Krystyna, starostę kazimierskiego, z przydatkiem podstolego krakowskiego, Piotra Szafranca—ten sam „książę pokoju,” który pod koniec lipca podjął się w Budzie egzekutorstwa pokładzin oblubieńców krakowskich, wydał teraz w połowie grudnia lub wcześniej listy wierzytelne do traktowania z Jagiełłą. I wyruszyli tedy wysłańcy małopolscy z glejtami i dokumentami panów i Opolczyka ku Litwie po Jagiełłę, a pozostałe w Krakowie strony przeciwnie, Jadwiga i jej rada królewska, nowymi wsparci sprzymierzeńcami, spieszyli użyć ostatnich chwil do walki.

Była to walka cicha, ale silna. Rada koronna

czuwała, aby Wilhelm niespodzianym sposobem nie stał się panem Jadwigi i zamku krakowskiego. Dworskie grono poufników Jadwigi starało się ułatwić jej wykonanie zamysłu, który miał uwieńczyć nadzieję Wilhelmore. Panom koronnym, strzegącym skarbu Jagielle, przodkował sędziwy starzec, „pan krakowski” Dobiesław, z nowym sojusznikiem z Opola. Poufnikom królowej przewodniczył podstępny Gniewosz z Dalewic i sprzyjał książę Semko, obecny pod tę porę w Krakowie. Stojąca pomiędzy nimi Jadwiga, uniesiona namiętnością, zgadzała się bezwiednie na wszystkie środki, podsuwane jej zamysłowi usługami radami powierników i moralną niewybrednością epoki.

Postanowiono wprowadzić Wilhelma potajemnie na zamek, do komnat młodocianej królowej. Kilkudniowy tam pobyt, dopełniający owego „pożycia małżeńskiego, „o które niedawno, jako o ostatnie uświęcenie ślubów Haimburskich, układano się w Budzie, niweczył wszelkie widoki Jagielle. Rzeczywista małżonka Wilhelma nie mogła oddawać ręki komu innemu. Los Jagielle, los dwóch narodów, wisiał na promieniu szczęśliwej lub nieszczęśliwej gwiazdy, która miała świecić tajnej schadzce miłosnej.

Nigdy zapewne czysto ludzkie uczucia dwojga dzieciennych serc nie współdziałały w poważnej pracy tak niezmiernie rozległych dziejów. I nigdy też w tajemnie dzieje tak wielkiej treści nie zbliżały się bardziej kształtem swoich wypadków do poetycznych zmyśleń fantazyi. Wpatrując się w sceny ówczesnych zdarzeń krakowskich, mniemamy widzieć przed sobą jeden z owych czarodziejskich romansów, w których tak lubowały pokolenia ówczesne. Jakby w wyobraźni poety, wznosi się tam zamek królewski na wysokiej sałe nad rzeką. W zamku mieszka samotna królowa dziwnie piękności. U stóp góry zamkowej tęskni młodzian książęcy, posiadający jej serce. Lecz nad ręką królowy trzyma straż grono surowych star-

ców, przeznaczających ją obcemu pogańskiemu księżciu.

Wtem — ciągnie dalej historia — poufnicy Jadwigi wiedzą Wilhelma potajemnie na zamek, do pokojów dziewiczych. Pod opieką swojego głównego stronnika, Gniewosza z Dalewic, dostaje się książę szczęśliwie w bramy zamkowe, do pałacu królewskiego do samych komnat „małżonki.” Lubo głęboka tajemnica osłania schadzkę, dzieje się przecież wszystko z powagą formalnego obrzędu weselnego. Towarzyszy oblubieńcowi liczna drużyna dworzan i panów wtajemniczonych, potrzebnych na przyszłość świadków wypadku. Nie jednego też lecz kilku następnych po sobie dni, wymagała solennie przestrzegana ceremonialność aktu. Starannie tajony nowożeniec miał przez czas dłuższy ukrywać się w murach zamkowych. Dopiero jutrzejszego wieczora gotowali się goście weselni oddać królowę Wilhelmowi.

Przy niejakiach środkach ostrożności sądzono się już blisko kresu, gdy nagle wszczyna się rozruch na zamku. Czuwająca nad królową rada koronna dość wcześniej spostrzegła zdradę. Najzuchwalsi z przeciwników Wilhelma rzucili się z trzaskiem ku komnatom królowej, aby przeszkodzić obrzędowi. Przekroczony przez księcia zakaz wstępu na zamek upoważnił zapamiętałców do targnięcia się na jego własną osobę. Każda chwila ociągania się groziła niebezpieczeństwem, niewolą. Sama Jadwiga upominała do czempreszej ucieczki. Piętnastoletni oblubieniec musiał ustąpić. Ocalił go tenże sam sposób, jakim przed kilku laty panie i panny fraucymeru starej królowej Elżbiety podczas rzezi węgierskiej ratowały ściganych na zamek Węgrów. W koszu, na linach, spuszczone młodzieńca przez okno, za mur zamkowy. Więcej nad tę „sromotną ucieczkę” nie chcieli tym razem gwałtownicy obrzędu zamierzonego. Królowa pozostała na zamku, a Wilhelm wrócił upokorzony do swego gościnnego przybytku w mieście.

Na niczem więc spełził zamiysł sprowadzenia księcia niemieckiego na Wawel. Pożądane tam „zamieszkanie” nie przyszło wcale do skutku. Ale nie przeszkodziło to ludziom snuć sobie najopaczniejsze powiastki o tem zdarzeniu. Nie łatwo im było przypuścić, iżby się mogło nie stać, co się stać miało. Powtarzano więc za granicą, zwłaszcza gdzie los Wilhelma budził współczucie, w Wiedniu u kronikarzy rakuzkich, w Prasiech u pisarzy krzyżackich, że książę przez wiele dni władał samowolnie na zamku. Przypominając sobie ceremonialne pokładziny dzieci w Haimburgu i słysząc o podobnym zamiarze w Krakowie, wkiłali opowiadacze różne miejsca i czasy, krzywdząc rzeczywistość niewinną.

Nie brakło przecież głosów, które już wówczas, i to nawet wcześniej od rozsiewaczy wieści fałszywych, dawały świadectwo prawdzie. Pochodzą one od osób najbliższych wypadkowi miejscem i czasem, bo w części tuż pod boki Krakowa jeszcze za życia Jadwigi przemawiających. Zresztą jako ludzie poważni i bezstronni, mają ci świadkowie współcześni niezaprzeczenie pierwsze, acz niedość znane dziś zdanie w tej sprawie.

Owóż jedną ze swoich częstych igraszek kazał los wyrokować w ten sposób o fortunie krakowskiej schadzki miłosnej—poważnemu radcy magistratu wiedeńskiego i jeszcze poważniejszemu opatowi klasztoru Żegańskiego na Szlązku. Obaj donoszą zgodnie, że piętnastoletni oblubieniec przed dojściem obrzędu weselnego musiał uciekać z zamku. I proza świadectw poważnych i zmyśleń romantycznych poezya walczą zarówno o udział w historii dziecinnych oblubieńców krakowskich.

Polacy ówczesni utrzymywali jednostajnie niezamieszkanie Wilhelma w grodzie królewskim. Z podwójną przecież bacznością czuwano odtąd nad bramą. Im większej zaś pilności wymagał obowiązek tej straży, tem niecierpliwiej spoglądali panowie

w stronę litewską, za wyprawionymi tamże posłami. Sstanawszy już w ziemi pogańskiej, zastali oni Jagiełłę niezdala od granic polskich, w Wołkowysku, przy trakcie lachim. W zamku po za miasteczkiem, którego szczątki do niedawna jeszcze istniały, nastąpiło przedłożenie księciu pogańskiemu ostatecznych zaprosin polskich. Przyznawały one sobie większą jednomyślność życzeń narodu, niż pono było wistocie.

Wobec blizkiej intronizacyi Ziemowita z Sieradza przez tak niezmierną liczbę narodu; wobec pewnej garstki przyjaciół, otaczających nawet Wilhelma, trudno było przypuścić, iż wszystka Polska wzywa Jagiełłę. Atoli zwyciężające stronnictwo, zwycięża zawsze w imię całości: W prawdziwie też zwycięskiej pysze brzmiało oświadczenie pisemne, którem stojący teraz przed Jagiełłą pełnomocnicy polscy, według ich własnych słów — „zapewnili mu, dali, darowali i odkazali” — swoją królową piętnastoletnią. Po akcie koszyckim jest to najważniejszy dokument naszej powieści. Posłuchajmy go przeto w całości, jak on d. 12-go stycznia r. p. 1386 odczytany został na zamku wołkowyskim, zadzierzgając unię Korony z Litwą.

„My, Włodko, starosta lubelski, Piotr Szafraniec, podstoli krakowski, Mikołaj, kasztelan zawichostski i Krystyn, dzierzawca kazimierski, podajemy do wiadomości. Jako w piątek przed oktawą Trzech Króli (12 stycznia) roku pańskiego 1386 przybyliśmy do niezwykłego księcia Jagiełły, z łaski Bożej najwyższego księcia Litwy, dziedzica Rusi, w poselstwie od szlachty i panów polskich, tak wyższych jako też niższych i od wszystkiej zgoda społeczności Królestwa Polskiego, z listami wierzytelnemi najjaśniejszego księcia Władysława, tem samem przejrzeniem Bożem dziedzica ziemi opolskiej, tudzież wspomnianych magnatów królestwa przerzeczonego.

Mocą którychto listów i w imieniu tychże panów ułożyliśmy warunkowo z pomienionym W. księciem Jagiełłą, i postanowiliśmy ostatecznie, iż go sobie obieramy i bierzemy sobie za pana i za króla królestwa tegoż, to jest Polski i zapewniamy mu, dajemy, darujemy, i odkazujemy najprzezacniejszą Jadwigę, urodzoną królową polską, do połączenia z nim ślubami prawowitego małżeństwa. Któremu to postanowieniu naszemu i ugodzie niniejszej przyrzekamy i ślubujemy według poselstwa, zleconego nam od wszystkich ziemian korony polskiej, nienaruszalną moc, władzę i zachowanie. Okrom czego omówiliśmy jeszcze, uchwalili i postanowili z tymże najwyższym księciem Jagiełłą, w imieniu przyrzeczonych ziemian, powszechny zjazd w Lublinie, w dzień Oczyszczenia N. Panny (2 lutego), blisko nadejść mający. Na który to zjazd tenże książę Jagiełło będzie mógł przybyć spokojnie i bezpiecznie, razem ze swymi braćmi i ziemianami, jakiegokolwiek stanu. I będzie mu też wolno rozestać w tym czasie z wszelkiem bezpieczeństwem swoje poselstwa, czyli posłów swoich po wszystkich pograniczach Królestwa Polskiego ku swobodnemu załatwieniu spraw swoich. A my, wyżej wspomnieni szlachta, przyrzekamy pod czecią i dobrą sławą naszą w imieniu wszystkich ziemian Królestwa Polskiego, najwyższemu księciu Jagielle jako też wszystkim jego braćmi i ludziom, znajdującym się na zjeździe wyżej umówionym, oraz też posłom jego bądź to przed zjazdem w Lublinie przejeżdżującym przez ziemię polską, bądź to stale przebywającym w niej, wszelkie bezpieczeństwo i wolność wszelką, działać i sprawować, co im będzie potrzeba. W świadectwo zaś i jawność tego kazaliśmy listowi mniejszemu przywiesić pieczęcie nasze. Działo się i wydano w Wołkowysku roku i dnia jak powyżej."

Za dwie przeto niedziele miał głośny w całym ówczesnym świecie książę pogan litewskich stanąć jako elekt koronny Piastów w granicach małopol-

skich. Tylko dwa tygodnie wolności pozostawały jeszcze „danej, darowanej i odkazanej” Jadwidze. Biedne dziecko w koronie nie znało tej dzikiej formuły dokumentu, lecz sama otaczająca je rzeczywistość, samo gwałtowne rozłączenie z oblubieńcem, z „małżonkiem,” dość już boleśnie dojmowało, aby wspaniała i dumna córka najstawniejszego z królów ówczesnych nie miała uczuć całej goryczy położenia swojego. Jakoż, nie mogąc znieść jej, uderza Jadwigę ni to ptak usidlany jeszcze raz skrzydłami o złotą klatkę swojej doli królewskiej, chce jeszcze raz połączyć się z „małżonkiem.”

Od czasu ucieczki Wilhelma z zamku ustały wszelkie jawne styczności pomiędzy młodą parą. Cała ich miłość zawisła obecnie na tajnych posyłkach między zamkiem a przybytkiem księcia w mieście. Coraz głośniejsze wieści o nadciągającym Jagielle rozdmuchwały skrytą iskrę tego znośnienia się w coraz namiętniejsze zamysły. Wiadomość o przybyciu pogańskiego księcia do Lublina przywiodła ją do wybuchu. Postanowiono bądź co bądź — widzieć się. Ponieważ Wilhelmowi przystęp do zamku był niepodobnym, przeto nie wahała się Jadwiga ze swego zamku do niego. Miała to głośno oznajmić światu, iż zawarte w dzieciństwie zaślubiny znajdują zupełne potwierdzenie w skłonności lat dojrzałych. Miała się oznajmić przez to nienaruszona ważność małżeństwa pierwszego, również stanowczo uświęcona tym krokiem, jak owem przeszkodzonem „zamieszkaniem” księcia w grodzie królewskim.

Oddaliwszy się zaś w tej myśli do oblubieńca, nie godziło się Jadwidze wracać na zamek inaczej, jak tylko wraz z Wilhelmem. Co gdy w obecnym składzie rzeczy nie mogło prawdopodobnie wróżyć sobie ziszczenia, gdy Jadwidze z Wilhelmem nie ścieśli się łatwy powrót do zamku, nie pozostawało mniemanym małżonkom nic innego, jak połączywszy się raz, nie rozłączać się więcej, choćby nawet przyszło

ujechać razem z Krakowa. Nie inaczej też tłumaczono sobie wówczas zamiysł młodocianej królowej. Jadwiga wybierała się do Wihelma, aby z nim uciec. Wybierała się oczywiście w skrytości, o mniej strzeżonej porze, drogą ustronną. Jsk bowiem los Jadwigi zależał obecnie od tego kroku, tak można się było obawiać, że i strona przeciwna, panowie dostojnicy koronni, również nim zagrożeni, raczej najsroźszej dopuszczają się ostateczności, niż przyzwolą na płoche zniweczenie wieloletnich zamiarów i trudów swoich.

Zaniosło się tedy na ostatnią próbę owej cichej, lecz krwawej walki między poważną radą koronną a piętnastoletnim dzieckiem w koronie. Uderzająca przytem stanowczość tegoż dziecka wzbudzała mniejszy wówczas podziw, niż dziś. Nadmieniono już kilkakrotnie o wcześniejszem dojrzewaniu serc i namietności, o nieskończeniu większej śmiałości niewiast ówczesnych. Objawiała się ona we wszystkim: w trybie towarzyskości, w codziennych zwyczajach życia, w nierzadkiej gotowości do pochwylenia oręża. Najwykwintniejsza dama podawała mężczyźnie rękę do uściśnięcia, usta do pocałunku powitalnego; każda musiała, chcąc nie chcąc, dosiadywać rumaka, jedyne go środka podróży, a zapewne nie sama tylko hrabina de Montfort, jedna ze spółczesnych Jadwidze bohaterki rycerskich, przyodziana w zbroję żelazną, harująca na koniu, „miała odwagę bohatera, serce lwie, a w rękę miecz zardzewiały, którym dziwnie dokazywała”.

Owszem, najwaleczniejsze z pomiędzy nich „nie przestawały już na zwykłych bachmatach damskich, potrzeba im było wierzchowców nieunoszonych. Lada niewiastka miewała kord u pasa”, a Bretania ówczesna, brzmiała poszczegiem wojny dwóch dam, przypominała wiek Amazonek. Córka takiego czasu, Jadwiga, nie odrodziła się od pokolenia swojego. Śmiała (jak to obaczmy) na czele wojska, w rozmowie z wrogiem hersztem Krzyżactwa, przed dostojnikiem nie

dość usłużnym, nawet wobec spowiednika swojego, przynosiła ona tem większą śmiałość do podjęcia ostatniej próby, mającej połączyć ją z oblubieńcem, ocalić ed związku z „barbarzyńcą”.

Bez trąb zapewne i bez fletni tym razem opuściła Jadwiga komnaty pałacu królewskiego, zmierzając w małym gronie powiernych ku bramom zamku. Progi pałacowe, strzeżone zwyczajnie przez osobnych odźwiernych, nie stawiały oporu. Taką samą łatwość wróżyła sobie młodociana królowa w bramie zamkowej. Należało minąć najprzód przestrzeń między pałacem a podwójnym murem całego grodu, a potem przebyć bramę w tym murze. Aby nie obudzać uwagi, obrano drogę furtą pomniejszą, zwyczajną stroną podobnych ujęć potajemnych.

Była to furtka południowa, przy starożytnej baszcie Lubranka, stanowiącej, niegdyś południowo-wschodni narożnik zamku. Wzdłuż jednej ze ścian baszty zniżały się schody kamienne, opatrzone taką samą poręczą, a wiodące ku furtce w dole. W nieco spokojniejszych czasach stała ona zwykle otworem. Teraz jednakże czuwała nad furtą zbrojna toporem straż i wisiały przy niej ogromne kłódki onego czasu.

Zdziwiona niemi Jadwiga wstąpiła już na schody i kazała sobie otworzyć. Straż odparła: „Nie wolno”. — Kto zabronił? — „Panowie.” — I mniej zabronią?! Królowej! Podajcie topór! — Tak dalece nie sięgał zakaz: podano. Piętnastoletnia ręka najpiękniejszego onych lat dziecka pochwyciła żywo ciężkie narzędzie, wymierzając je przeciw kłódkom. Kilka śmiałych uderzeń, a najkosztowniejszy skarb zamku królewskiego nad Wisłą, skarb całej świetnej przyszłości kraju stracony był koronie.

Zachował go wierny podskarbi koronny. W chwili najwyższego niebezpieczeństwa zbliżył się Dymitr z Goraja, jeden z teraźniejszych popleczników Jagiełły. Stary sługa dziada i ojca królowej, mianowicie od króla Ludwika łaskami i podskarbstwem

powtórnie odznaczony, ozwał on się błagalnym głosem do wnuczki i córki swoich panów, iżby odstąpiła zamysłu. Usilną prośbę starca poparły dalsze uwagi, wymowniejsze w takim razie od rzewnych błagań. Przedstawiały one Jadwidze bezskuteczność jej czynu. Zuchwałość ze strony Jadwigi groziła tem większą zuchwałością strony przeciwniej. Przy dojściu spraw publicznych do katastrofy obecnej przestała już królowa być panią własnej woli. Jak tylu innych królów onego czasu, była Jadwiga więźniem w swym własnym zamku.

Tak srodze zemściło się na rodzinie Andegawenńskiej podobnież gwałtowne wymożenie onego układu koszyckiego. Jedenaście lat temu królewski ojciec Jadwigi, dla zapewnienia córce korony polskiej, uwięził w tenże sam sposób przeciwnych Wielkopolan w murach koszyckich. Dziś córka Jadwiga nosiła koronę polską, lecz za koszyką niewolę Wielkopolan samiż przyjaciele królewskiej rodziny Andegawenńskiej, możni panowie małopolscy, w znacznej części ciż sami, którzy podówczas w Koszycach dopomagali gwałtowi króla Ludwika, narzucili stokroć boleśniejszą niewolę jego dziecku, przynieśli je w ofierze szczęściu swojemu.

Po schodach kamiennych obok baszty narożnej, jedynej dziś pamiątki tego wypadku, odprowadził Dymitr królowę napowrót ku pałacowi. Nie widziała ona już nigdy więcej Wilhelma. Położenie księcia rakuzkiego stawało się odtąd coraz niebezpieczniejsze. Dopuszczając się tak krwawej samowolności względem własnej królowej nie myśleli panowie krakowscy oszczędzać bynajmniej przybysza niemieckiego. Szczupła garstka zwolenników księżących nie dawała dostatecznej podpory. Wypadało wracać spiesźnie do Rakuz, albo narażać się na ciągły topór nad sobą.

Nie mogąc zdecydować się do odjazdu natychmiastowego, złudził Wilhelm nieprzyjaciół pozorem oddalenia się. Opuścił dotychczasowe mieszkanie

w mieście i przebrany za kupca, ukrył się w jednej z odleglejszych ustroni miasta. Niektórzy utrzymywali, iż księżę wyjechał wcale z Polski; inni, że wyjechał, lecz wrócił i przesiadywał potajemnie bądź to w łobzowskim zameczku pod Czarną wsią, bądź też w Krakowie, w domu Morsztynów, przy rogu dzisiejszych ulic Sławkowskiej i Szczepańskiej. Z rozkazu panów krakowskich poszukiwano go ściśle w obudwóch pomienionych przytułkach, a w dworcu Morsztynowym miał młodzian księżęcy jedynie tem ująć odkrycia, iż skoczył w komin i utaił się tam na belce.

Ponieważ zaś to uporczywe przechowywanie się żadnego nadal przynieść nie mogło skutku, a obawa uwięzienia Wilhelma tem boleśniej dręczyła Jadwigę nieszczęśliwą, więc doszła go od niej samej przestroga, aby uchodził czempredzej, gdyż każda chwila może go zgubić. Coraz bliższe kroki Jagiełły, ciągnącego już z Sandomierza ku Krakowowi, zamieniały tę smutną radę w konieczność. Podeczas, gdy Jagiełło jedną bramą odbywał wjazd do stolicy krakowskiej, Wilhelm drugą opuszczał ją na zawsze. W niedzielę, 4 marca r. 1386, stanął księżę z powrotem w Wiedniu. Za rzeczywistą stratę kochanki i tronu posagowego, pozostała mu tam jedynie mylna pogłoska, iż był koronowany w Krakowie i panował jakiś czas w Polsce.

Równie więc niepomysłnie zakończyła się swadziebna wyprawa obudwóch oblubieńców niemieckich po obiedwie córki Ludwika. Zygmunt po wojennem zdobyciu sobie starszej siostry, pani południa podtatrzańskiego, musiał wracać „piechotą” do Presburga. Wytworny Wilhelm, po ucztach i piasach z młodszą, panią północy nadtatrzańskiej, wrócił w ubogiem przebraniu do swego księztwa. Wszystkie sprowadzone przezeń skarby i kosztowności pozostały w lichych rękach człowieka, któremu księżę porучzył swoje losy. Zakupił Gniewosz z Dalewic później rozliczne za nie

włości, które jednakże, jako niecny nabytek, niedługo utrzymały się w jego rodzinie.

A podobnie, jak ta pieniężna spuścizna Rakusza nie przyniosła nikomu błogosławieństwa, tak i po wszelkich dalszych wspomnieniach Wilhelma w Polsce tylko gorycz wschodziła. Pamięć dawnego oblubieńca stała się dla Jadwigi źródłem wielorakich udręczeń. Chciwa tronu polskiego ambicja „ambitnego” księcia, nawet dłuższym przeciągiem lat nieuspiona, a szczęśliwym później obrotem spraw spółtowarzysza Zygmunta, szczęśliwym przezeń odyskaniem małżonki i korony węgierskiej tem żywiej podniecona, przemysłowała z cicha o ciężkim upokorzeniu Polski. Dawne zaś miejsce Wilhelmowego ukrywania się w Krakowie, mianowicie ów Morsztynowski budynek na rogu ulicy Sławkowskiej i Szczepańskiej, przybrały w uściech ludzkich cale obelżywe z czasem znaczenie, równające je przybytkom rozpusty i zepsucia.

Wszelka cześć i wszelka chwała ust ludzkich brzmiała odtąd onemu szczęśliwemu „prostakowi”, którego obecne zbliżanie się ku stolicy, uświetniło ją kilkotygodniowym szeregiem wielkich narodowych obrzędów — szeregiem następujących po sobie witań, chrztów, zaślubin i koronacji nowego króla Polski, Władysława II.

KONIEC CZĘŚCI CZWARTEJ.



